

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] I chociaż bardzo to przeżywał, powoli przyszedł do siebie i gdy razem opuściliśmy kościół, zaraz jeszcze przy świątyni, zaczął nam na gorąco opowiadać, co się wydarzyło w jego domu, a mówił tak: „*Nad ranem przed wschodem słońca, Ukraińcy napadli na nasz dom. Złapali moją mamę i zaczęli bić na podwórzu. Ja i moja żona Teofila siedzieliśmy w piwnicy na polu, tak że wszystko dobrze widzieliśmy z ukrycia. Fila bardzo kochała moją mamę i nie mogła patrzeć, jak się nad nią znęcają, jak ją tak bezkarnie maltretują. Miała nadzieję, że ponieważ jest w ciąży, to jej Ukraińcy krzywdy jakowejś nie zrobią, więc odważnie wyszła ze schronu. Poszła do nich wprost bronić mamy, wstawić się za nią i prosić o jej ocalenie. Tymczasem Ukraińcy wcale z nią nie rozmawiali, ale od razu zaczęli i ją mordować. Na początek rozkrzyżowali i bestialsko, leżącej na ziemi, wbili jej w brzuch pal, powyżej dziecka. Następnie postanowili jeszcze trochę nią zakręcić i zaczęli obracać ją na tym palu, trzymając za ręce i nogi, zrobili z niej taki kierat. Po kilku nieludzkich obrotach, zostawili tak ciało żony i odeszli. Wszystko to widziałem na własne oczy z ukrycia. Matkę oczywiście też zamordowali. Kiedy ci zwyrodnialcy odeszli, ostrożnie podeszłem do najdroższych mi osób i byłem przerażony, gdy zobaczyłem, że te nienarodzone dzieciątko, jeszcze w niej żyło i bardzo się tłukło, bardzo się rzucało. (Staszek w tym momencie się rozplakał i przez gorzkie łzy raz jeszcze dodał) To straszne. To straszne. Ja już nie chcę więcej o tym mówić, a dajcie wy mi spokój.”. Zapytałyśmy jeszcze tylko, co się stało z resztą jego rodziny, ale on już tylko krótko rzucił: „*A ja nie wiem, chyba wybici, jak nie wrócą!*”. Po tych słowach odszedł powoli i już więcej nigdy go nie widziałam. [...]”. Adela Roch z d. Rusiecka*

WSPOMNIENIA ADELI ROCH Z D. RUSIECKA Z KOLONII TERESIN W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1935 - 1947

Nazywam się Adela Roch, mam 87 lat, mieszkam we wsi Gajów 9, gmina Radków, powiat Nowa Ruda, woj. Dolnośląskie. Urodziłam się 07 maja 1927 r. we wsi Swojczów, gm. Werba, pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu. Mój tatuś nazywał się Jan Rusiecki, jego rodziców nie pamiętam. Moja mamusia miała na imię Zofia z d. Kalinowska, jej mama miała na imię Petronela, a imienia dziadzia nie pamiętam. Miałam zaledwie 3 latka kiedy rodzice opuścili Swojczów i przenieśli się do nowej kolonii Teresin. Tam nasz tatuś wybudował nowy dom, ale na początku spaliśmy w stodole przez całe lato. Dopiero na zimę wprowadziliśmy się do nowego, pięknego, drewnianego i dużego domu. Duży pokój nie był jeszcze wykończony, chociaż byłam mała pamiętam to doskonale.

W rodzinie było nas sześć siostr: Leokadia, Antonina, Janina, Michalina, Halinka i ja oraz dwóch braci: Leonard i Stanisław. Rodzice dbali o to, abyśmy byli najedzeni i nie marzli. Trzeba było od najmłodszych lat pomagać w gospodarstwie. Ja pasłam gęsi, a potem krowy. Zimą wyplataliśmy koszyki. Miałam dużo starsze rodzeństwo, to musiałam pilnować ich dzieci. W 1939 roku w marcu poszłam na trzy miesiące do szkoły, żeby nauczyć się czytać i pisać. Razem ze mną chodziła do szkoły Kazia Świstowska i jej kuzyn, Tońka Wawrynowicz, innych nie pamiętam. W tym roku w czerwcu byłam u I Komunii Św. a w sierpniu poszłam do Sakramentu Bierzmowania. Ksiądz tak zarządził w obliczu zbliżającej się groźby wojny.

We wrześniu 1939 roku przyszli do nas „ruskie”. Przez zimę siedziałam w domu wyplatając koszyki pod piecem, a także z konieczności, bo nie wystarczyło dla wszystkich butów. We wrześniu 1940 roku Rosjanie ponownie otworzyli w Teresinie szkołę, ale uczyli nas po rusku. Nie umiałam dobrze wymawiać i dzieci się ze mnie śmiały. Nie chciałam chodzić do takiej szkoły i nikt mnie do tego nie zmuszał. Ukończyłam dwa razy pierwszą klasę, raz po polsku, a drugi raz po rusku. Nauczyłam się czytać i pisać, a liczenie opanowałam podczas sprzedaży jaj. Liczyłam szybko i bezbłędnie. Do kościoła w Swojczowie było 5 km i uczęszczałam do niego tylko podczas wielkich świąt kościelnych. Chodziliśmy latem pieszo, ale zimą często brak ciepłej odzieży, uniemożliwiał mi uczestnictwo we Mszy św. Od czternastego roku

zycia musiałam już pracować, najczęściej była to praca w polu. A potem przyszło to najgorsze...

Póki co moje dzieciństwo było wesołe i beztroskie w naszej kolonii, było bowiem dużo dzieci, niemal w każdym domu, było pięcioro, sześcioro, ośmioro dzieciaków. Dlatego było się z kim bawić i niekiedy robiliśmy, taki harmider, jak trza. Najczęściej lubiliśmy się bawić w naszym ogródku. Tam były dwie ławeczki i tam schodziło się wiele dzieci, a do moich starszych braci i siostr wiele młodzieży. Do lasu chodziłam rzadko ponieważ z naszego domu, przynajmniej 1 km do lasu kohyleńskiego. Tylko niekiedy chodziłam z Halinką do lasu wolańskiego, było to około 3 km, aby przyciągnąć klocki. Miałam już wtedy około 11 lat. W naszej kolonii nie było właściwie Ukraińców, to była duża kolonia polska, mieszkało tu tylko dwóch Ukraińców: z rodziny Środa i Stolaruk oraz jeden Żyd o nazwisku Herszko i naturalnie jego rodzina.

OPIEKA I MIŁOŚĆ NIEPOKALANEJ

Dla Królestwa Niebieskiego narodziłam się w kościele pw. Narodzenia NMP w Swojczowie. Moim ojcem chrzestnym był Polak o nazwisku Kubiak, był komendantem policji w Swojczowie. Mamą chrzestną była zaś Helena Wawrynowicz, moja ciotka z Teresina. Gdy byłam mała rodzice zabierali mnie do naszego kościoła w niedzielę i na większe święta, a jak już byłam większa sama chodziłam na nauki przed I Komunią świętą. Moja pierwsza Komunia św. wypadła w Swojczowie w czerwcu 1939 r., zatem tylko na dwa miesiące przed straszną II wojną światową, a już 05 września 1939 r. otrzymaliśmy tam wielki dar Sakramentu Bierzmowania.

Pamiętam że Sakramentu udzielił nam nasz proboszcz ks Franciszek Jaworski z upoważnienia ks Bp dr Adolfa Szelażka z Łucka. Było nas dużo dzieci i gości też było b. dużo może dlatego, że wojna się zaczęła i ludzie od razu więcej zaczęli wołać do Boga. **Chociaż w naszej parafii i przed wojną, był b. pobożny lud choć ubogi, ale wierzył w Boga i do kościoła chodził. Lubiałam się modlić, a sympatia ta ogromna i chęć szczerą, nawet radość płynąca z modlitwy, były w naszych stronach b. powszechne.** Dziś w początkach 21 wieku, coraz częściej powtarza się, że do kościoła chodzą ludzie w podeszłym wieku. I rzeczywiście trudno oprzeć się wrażeniu, że gdy się jest w kościele, to większość stanowią babcie i dziadkowie, a naszej młodzieży, to jak na lekarstwo. Nieraz z troską myślę o moich wnukach, o mojej rodzinie i o naszym narodzie, gdzie to nasze, nowe pokolenie zaprowadzi nas w przyszłości. Czy aby nie daj Boże nie okryje naszego narodu, jakąś straszną hańbą w oczach narodów świata, bo przecież Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy i z siebie szydzić nie pozwoli. Niestety u naszych sąsiadów Czechów, tuż za miedzą chyba jest jeszcze gorzej, tam właściwie to już prawie nikt nie chodzi do kościoła, dosłownie pojedyncze osoby.

Tymczasem u nas na Wołyniu i w Swojczowie także kościoły w niedzielę były pełne, niemal pękały mury. Wszyscy chcieli się modlić, radośnie śpiewali, a każde spotkanie w kościele wyglądało, jak prawdziwe święto dziś. Urodziwe dziewczuchy potrafiły zasuwąć na bosaka po pięć km na nabożeństwo i nikt się tego ubóstwa nie wstydził, nie było też przypadków wyszydzenia młodzieży z tego powodu. Po prostu leciało się do kościoła i to było powszechne w tamtym czasie i było to wspaniałe. Po temu prawdziwym okazuje się w moim życiu stare, ludowe przysłowie: „*Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci*”, bowiem w moim wieku złotym b. kocham modlitwę, jest mi prawdziwie ucieczką od trosk wieku tego. **Modlitwa sprawia mi codziennie wiele radości, a serce moje przepelnia nadzieją, która umacnia wiarę, że może być w mojej rodzinie, parafii i w Polsce jeszcze kiedyś,**

taka miłość i wiara, jaka była w Swojczowie, jaka była tam w naszych sercach do Matki Bożej Swojczowskiej. [1]

[Całościowe i piękne spojrzenie na życie mieszkańców Swojczowa i okolic, zawdzięczamy **pani Petroneli Władysławie z d. Rusieckiej**. Przenikanie się kultur, beztroskie dzieciństwo, szczęście wielodzietnej rodziny, rozmodlone grupy wiernych, patriotyczne wychowanie dzieci i młodzieży w lokalnej szkole oraz wojskowe tradycje II Rzeczypospolitej Polskiej, to wszystko znajdziemy na kartach tychże wspomnień. Najcenniejsze są jednak wierne relacje z czasów demonicznej II wojny światowej, obrazujące narastającą z wolna wśród Ukraińców, nienawiść do Żydów i Polaków oraz do innych mniejszości. Poraża podłość i zakłamnie ukraińskich nacjonalistów, względem swoich polskich sąsiadów. Wstrząsający jest opis lipcowej zagłady starej, polskiej wsi Dominopola, a w końcu i samego Swojczowa. A pomimo to ponad tą bezduszną czeluścią okrucieństwa i rozlanego szeroko zła, rozbłyska z całą mocą światło Niepokalnej Maryi. Historia ta została dokładnie opisana w b. bogatych i cennych wspomnieniach pani Petroneli Władysławie z d. Rusieckiej ze wsi Swojczów na Wołyniu (68 stron), opublikowanych 02 maja 2012 r. na stronie o Wołyniu, oto adres: <http://wolyn.btx.pl/index.php/wolyn-wola-o-prawde/411-wspomnienia-petroneli-wadyga.html>, Dodane przez autora opracowania S. T. Roch].

Jako mała dziewczynka lubiłam szczególnie majowe nabożeństwa, kiedy śpiewaliśmy litanię do Matki Bożej. W naszym Teresinie nabożeństwo majowe, śpiewane było codziennie w domu starej panny Marceliny Wawrynowicz. Tam był ładny ołtarzyk i figurka Matki Bożej Niepokalanej. Przychodziło dużo ludzi, a litanię zawsze śpiewał Mieczysław Kisielewicz, który miał mocny i piękny głos. Czasami śpiewaliśmy majówkę w środku kolonii przed figurą Matki Bożej, która stała tuż obok domu rodziny Terleckich. Dwa razy w tygodniu wraz z Michalinką oraz Eugeniuszem Bortnowskim przez Teresin do naszego kościoła, chodziły też Rochy z Zastawia. I czasami na majówkę szedł z nami Tadeusz Roch oraz Bolesław Roch, przeważnie w soboty. Na majówkach widywałam także Mariana Rocha z żoną Anną i dziećmi.

Nabożeństwo czerwcowe na naszej kolonii, było odprawiane, ale cieszyło się mniejszym zainteresowaniem. O ile pamiętam wtedy właśnie w czerwcu, wypadały sianokosy oraz liczne prace w ogrodach, ludzie zatem zaczęli ciężko pracować i już nie było tyle czasu na modlitwę. Miło wspominać także pokutne nabożeństwo Gorzkich Żali. Nasi ludzie spotykali się u kogoś w domu, przeważnie młodzi i wspólnie śpiewali wszystkie trzy części. Osobiście b. lubiłam tę formę modlitwy i Gorzkie Żale śpiewam niekiedy, po dziś dzień. Bywa i tak że mi się dłuży i nawet wyczekuję nowego okresu postu, by sobie w tym klimacie znów pośpiewać.

ODPUST W SWOJCZOWIE

Nasz kościół był duży i murowany, piękny. Bardzo mnie zawsze ujmowało, że stał na takim wzgórku, a do kościoła wprost wchodziło się przez dużą bramę. W kościele były organy oraz śpiewał pięknie nasz rodzimy, parafialny chór. Niemal każda uroczystość w Swojczowie, gromadziła prawdziwe tłumy wiernych, a podniosła atmosfera sprawiała, że nogi same niosły do naszego Sanktuarium Matki Bożej Przenajświętszej. Jednak największą uroczystością w roku był oczywiście Odpust, który trwał trzy dni i przypadał 08 września na Narodzenie NMP zwany również potocznie Matki Bożej Siewnej. W tym dniu niektórzy szli nawet kilkanaście km drogi, choć byli i tacy, którzy na wozach przybywali nawet z bardziej odległych miejscowości. Poza tym Swojczów był celem wielu pieszych pielgrzymek, które przybywały pieszo do tronu naszej Matki i Królowej Swojczowskiej. Osobiście widziałam przychodzące pielgrzymki ze wsi Sielec, Łokacze i Horodło.

Bardzo lubiłam Odpusty, gdyż jako dziecko mogłam pobiegać pomiędzy straganami, gdzie zawsze było b. dużo przeróżnych zabawek, w tym lalek i kolorowych wiatraczków. A słodczyce były takie kuszące, że aż chciało się zjeść i choć miałam na to ubogie fundusze, ale zawsze coś się tam kupiło. **Jarmark przy kościele, był w tych dniach naprawdę wielki, dzieci biegały i piszczały, starsi**

rozmawiali żywo i śmiali się. Wszyscy byli pięknie poubierani, czysto i odświętnie, a radość gościła na każdej twarzy. W kościele modlili się ludzie, a msza święta była na dworze przy tzw. letnim Ołtarzu. Ludzie modlili się gorąco i szczerze. Dookoła kościoła, był jakby wysoki mur z zadaszaniem, tam stały konfesjonały i klęczniki i tam ludzie się spowiadali. Po końcowym błogosławieństwie, była jak zawsze uroczysta procesja dookoła naszej świątyni, w której brałam udział. Podczas tej procesji noszone były nasze sztandary kościelne. [2] [Piękne świadectwo o życiu wiernych w parafii Narodzenia NMP w Swojczowie, pozostawił **pan Antoni Sienkiewicz z kolonii Piński Most** na Wołyniu. Jako ministrant przy Ołtarzu i młodzieniec miał wiele okazji, by przeżywać wraz z innymi nie tylko rozmodlone i barwne odpusty swojczowskie, ale także wszelkie inne religijne uroczystości. Jest tu opis polskiej szkoły i bogatych tradycji kulturowych mieszkańców Ziemi Swojczowskiej. Jest to zarazem mocne, osobiste świadectwo ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej w roku 1943 we wsi Dominopol i na kolonii Piński Most oraz w całej okolicy przez zdegenerowanych banderowców z Wołczaka i Świnarzyńskiego lasu. Występują także relacje innych naocznych świadków, tych krwawych zapustów. Wspomnienia te (17 stron), dostępne na wielu stronach w internecie można przeczytać także na stronie naszych braci Czechów wołyńskich, pod tym adresem: <http://www.sevp.eu/downloads/roch/SIENKIEWICZ%20ANTONI.pdf> , Dodane przez autora opracowania S. T. Roch].

NA WOŁYNIU ŚPIEWALI WSZYSCY

Właściwie każde święta w Swojczowie miały b. radosny i naprawdę szczególny charakter. A w naszym domu najmilej wspominam święta Bożego Narodzenia bowiem tatuś przynosił z lasu dużą choinkę, która mocno pachniała świeżym lasem. I chociaż nie mieliśmy kolorowych bombek, to radości było co nie miara, przy strojeniu drzewka. Robiliśmy bowiem różne ozdoby z kolorowego papieru oraz wieszaliśmy dużo różnych ciastek.

W mojej rodzinie była przepiękna tradycja śpiewania wspólnie kolęd przy choince. Tatuś Jan wieczorami wyciągał kantyczkę i zaczynał pięknie śpiewać. Śpiewaliśmy z nim wszyscy, mamusia Zofia, ja i moje siostry, nawet nasi goście chętnie z nami siadali i wspólnie śpiewaliśmy. Lubiliśmy kolędować, podobnież wszyscy nasi sąsiedzi z Teresina, nasi parafianie i cały chyba Wołyń. Tradycją były także wizyty kolędników z gwiazdą i szopką. Nas najbardziej cieszyły przebrania kolędników, były takie różne i fikuśne. Ja pamiętam janiola z takimi dużymi skrzydłami, diabła z b. długim ogonem, a na końcu jeszcze zakrzywionym, króla co chodził w ornacie i śmierć co to dzierżyła kosę. To byli zwykle chłopcy z naszej kolonii, przeważnie Mieczysław Zieliński i Tadeusz Kasperski. Nawet nasz tatuś Jan miał swoją dużą szopkę, a w niej św. Rodzinę, Pastuszków i Trzech Króli. Stawiał ją na wóz i podjeżdżał pod domy i razem z innymi niósł szopę pod dom gospodarza, a jak było miejsce, to i do domu, a potem śpiewali gromko kolędy, aż się chaty trzęsły. Ja sama nigdy nie chodziłam kolędować, gdyż było przyjęte, że kolędują wyłącznie mężczyźni.

Na Wołyniu śpiewali chyba wszyscy i przy każdej możliwej okazji, a śpiewali przy tym pięknie i z sercem, taki to był po prostu śpiewny, wołyński naród. Śpiewano wdzięcznie na Teresinie i kochano śpiewać u Rochów na Zastawiu w Kohylnie. Do nas na Teresin najczęściej przychodziła Zosia Roch ze swoją mamą Amelią, zatrzymywały się na przeciw naszego domu, u bratowej Heleny. I Helenka i Zosia pięknie potrafiły śpiewać, lubiłam i ja z nimi śpiewać, choć nie miałam tak ładnego głosu jak one miały. Ulubione piosenki Zosi to: „Podolanka”, „W sadzie liście padają” i „Przez Kohylno wieś”.

Podolanka

I *Na Podolu leży kamień, Podolanka siedzi na nim
Przyszedł do niej Podoleniec, daj mi droga, daj mi wieniec.
Ja bym Tobie wieniec dała, żebyś brata się nie bała.
Utruj. Utruj brata swego, będziesz miała mnie młodego
Jak ja nie wiem kiedy umrę, tak ja nie wiem, co mam bratu dać.*

II *Idź do sadu wiśniowego, znaleźć węża zjadliwego
Pokraj jego na drobniuszko i ugotuj na słodziuszko
Gdy przyjdzie brat z Myślina, podaj siostrze bratu wina
A brat pije z konia leci, siostrze, siostrze dbaj o moje dzieci.
Gdybym ja o dzieci dbała, to bym truczy nie dawała.*

III *Pisze liścik do miłego, już utrułam brata swego
I miły jej odpisuje:
Jak utrułaś brata swego, to utrujesz mnie miłego.*

Przez Kohylno wieś

I *Przez Kohylno wieś jest ścieżeczka jest
Wydeptała ją Kasieńka, jak nosiła jeść
Jak jeść nosiła, to Boga prosiła
Dopomóż mi mocny Boże, bym Twoją była. X2*

II *Kiedy lata przyszły chłopca poznała
Tak się dziewczę zakochała, że serce mu dała.
On zazdrosny był i tego nie krył
Rzucił Kasie swę kochanie, w swoim świecie żył.*

III *Chodzi i puka, swego szczęścia szuka
Kiedy już je spotkać może z oczu płynie łza
Bo mu Kasia w sercu z miłością została
I to szczęście, niepojęte na czas zatrzymała.*

IV *Tak skruszony rzekł, co ja robić mam?
Wróć ja do swej dziewczynki i jej radość dam.
Wrócił chłopiec blady do kochanej stóp
Proszę Kasiu weź różyczkę i coś ze mną zrób.*

V *Gdy miłego widzi serce jej się kraje
Ale jemu zbiedzonemu, poznać się daje
I tak rzecze srodze, ku jego przestrodze
Zraniłeś mi serce draniu, to i teraz odejdz.*

VI *Ty będziesz moja, a ja będę Twój
Tylko proszę Cię Kasieńko z innymi nie stój
A ja będę stała i rozmawiała
Bo od Ciebie mój Jasieńku słówka nie miałam.*

VII *I Jaś chodził do stóp Królowej, w Swojczowie
I tam Boga prosił, za dziewczyny duszę
Tam klęczał i tam wołał*

Daj mi proszę Matko Kasię, niech moją zostanie.

AMELKA I ZOSIA ZOSTAŁY MI W SERCU

Jeszcze jako mała dziewczynka chodziłam niekiedy z moją bratową Heleną Rusiecką z d. Roch do wsi Kohylno na Zastawie. Tam mieszkała duża rodzina Rochów i też było dużo dzieci i młodzieży. Mama bratowej miała na imię Amelia Roch, była osobą szczerą i otwartą. Nie lubiła plotkować, ale jeśli trzeba było, to mówiła wprost. Poza tym była pracowita i gospodarna. Wyszła wcześniej za mąż mając zaledwie lat 17 i to niecałe. Władek Roch miał już dwoje dzieci: Helenkę i Kazimierę, opiekowała się nimi jak prawdziwa matka i była dla nich b. dobra. Sama miała jeszcze troje własnych dzieci: Romana, Tadeusza i Zosię, przy czym mąż jej zmarł, jak miała zaledwie 28 lat. Od tej pory była młodą wdową i sama musiała sobie radzić. Z tego co mi wiadomo, radziła sobie b. dobrze i choć była uboga, obie przybrane córki, zdołała wychować i wydać za mąż. **Lubiłam chodzić do niej na Zastawie i widziałam, jak Amelia ciężko pracowała. Uderzało mnie, że choć w jej domu ubogo, to jednak zawsze było czysto, schludnie i zawsze przyjmowała b. gościnnie.**

Uśmiechnięta, była po prostu dobra, choć na zewnątrz wydawała się być sroga. Myślę, że to samo życie nauczyło ją być, tak mocną i stanowczą. Zawsze ją żalowałam bowiem po ludzku rzecz biorąc, to ona na tym świecie nic nie użyła. Bratowa Helenka opowiadała mi raz pewne zdarzenie, mówiła tak: *„Moja mama Amelia, była już wysoko w ciąży, ale mimo wszystko udała się w pole, by scinać sierpem zboże. Pole to było oddalone około 1km od domu na Zastawiu. Gdy tam sama pracowała, przyszedł na nią czas i rozpoczął się poród. Nawet nie próbowała wracać do domu, tylko tam urodziła swego pierwszego syna Romana. Załatwiła sama co trzeba na miejscu. Jak już było po wszystkim, małego synka zawięła w fartuch, który miała przy sobie i położyła na miedzy. A potem jak gdyby nigdy nic poszła z powrotem do ciężkiej roboty, żniwiarskiej w polu. Użnęła już nawet trzy kolejne snopki zboża, gdy połąną drogą nadjechał znajomy Ukrainiec i posłyszał płacz dziecka na miedzy. Schodzi z woza patrzy, a to mały Romek, leży ledwo w fartuchu na miedzy. Pyta się zatem zmieszany Amelii, co to za dziecko, a ona do niego spokojnie, że właśnie go niedawno urodziła. To on do niej: ‘Durnaja Amelka szo ty robisz? Dawaj ja cię zawiozę do domu.’. A ona mu na to: ‘Jedź, Jedź! A kto to za mnie tu robi.’. Ponieważ jednak ten Ukrainiec się uparł, że jej tu bez pomocy, ot tak nie zostawi, musiała wsiąść z nim na wóz z dzieckiem i tak szczęśliwie wrócili, cali i zdrowi do domu.”.*

Ogarnia mnie żal i współczucie, że nawet pod koniec jej, tak trudnego, wymagającego wielkich poświęceń życia, nacjonaliści ukraińscy zadali jej śmierć męczeńską. Tym bardziej, że ona im tak ufała, była tak głęboko przekonana, że jej i jej dzieciom nic złego nie uczynią.

I WACUŚ CO BEZ PARDONU OBJEŻDŻAŁ KONIA

Zaprzyjaźniłam się z Zosią Roch ponieważ była tylko rok młodsza i była wesołą dziewczynką, serdeczną klezanką. Z Zosią najczęściej chodziłyśmy na łąki nad duży staw i tam zrywałyśmy kwiaty, najbardziej lubiłyśmy żółte kaczeńce i stokrotki. Pletłyśmy wdzięczne wianuszki i tak przyozdobione chodziłyśmy sobie w nich. Niekiedy przychodziła do nas Janina Roch, córka Grzegorza, była troszkę starsza ode mnie i mówiła: *„Zrób mi wianuszek, a będę Cię bardziej lubiała.”.* To była drobna i bardzo spokojna dziewczynka i właściwie lubiłam ją. Słyszałam od innych, że była niepełnosprawna umysłowo, ale chociaż widziałam ją wiele razy nie zauważyłam nic dziwnego, dlatego nie wiem dlaczego, tak o niej wtedy mówili.

Nawet mi się skarżyła: „Zaproś mnie do siebie, bo mnie nie puszczają!”. Brat Leonarko wspominał mi, że w tym stawie, były drobne rybki, na moście widziałam dwóch chłopaków młodych z wędkami, dwóch innych łąziło z siatką po wodzie. Często z Zosią bawiłyśmy się z małą Czesławą Rusiecką, córką Heleny. Kilka razy spotkałam też Zosię Szymanek, która przychodziła z Kohylna, gdzie mieszkała, ale jakoś nie miałyśmy wspólnego języka.

Poznałam też Wacka i Marysię, to były bliźniaki, dzieci Grzegorza i Staszki Roch. **Do dziś pamiętam, jak Wacusi lubił podejść konia starego, pasącego się na łące, a robił to tak: na początek zachodził od go od tyłu, następnie po ogonie wdrapywał się na konia, zaraz przechodził po jego grzbiecie i frywolnie zjeżdżał na dół po jego głowie.** A koń o dziwo, ani go nie kopnął, ani nie wierzgnął, nie próbował zrzucić, a tym bardziej nie ugryzł, tylko wcale się nim nie przejmował i skubał sobie spokojnie trawę, jak gdyby Wacka wcale tam nie było, jak gdyby był powietrzem. [3] [Opis wołyńskiego gospodarstwa, praca w polu oraz uprawy rolne, a nawet dokładny opis produkcji konopi i lnu, możemy poznać poprzez lekturę osobistych wspomnień **pani Ludwiki Podskarbi z d. Szewczuk z kolonii Mohylno** na Wołyniu. Znajdziemy tam także opisy zdrowej pobożności kresowej, tradycji minionych, pięknego dzieciństwa, wśród wielodzietnych rodzin i zielonych sadów owocowych. A były to czasy, gdy pilność i zaradność, były w cenie. Niestety sowiecka opupacja, hitlerowska machina wojenna i banderowskie ludobójstwo, zniszczyły to wszystko do gołej ziemi. Przeczytamy tam także o trwodze nocnej ucieczki, gdy płonęły polskie wsie i kolonie, upokorzeniach, chorobach i głodzie, o niewolniczej pracy dla okupantów, o goryczy wieloletniej tułaczki i wszędobylskiej biedzie rodzin kresowych. To wszystko i jeszcze więcej, opisała z wielkim sercem pani Ludwika Podskarbi, po wojnie zamieszkała w Darłowie na Pomorzu. Do końca nie mogła pogodzić się z przemilczaniem, ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej w kolonii Mohylno na Wołyniu i na Kresach. Pisała zatem mocno i bez owijania w bawełnę, ale przy tym z wielką klasą. Wspomnienia te (29 stron), opublikowane na stronie Stowarzyszenia Pamięć i Nadzieja w Chełmie są dostępne dla pod adresem: http://www.pamiec-nadzieja.org.pl/pin1/articles.php?article_id=33 Dod. autor opr. S. T. Roch].

Jako mała dziewczynka mając 10 lat, zaczęłam paść gęsi na Karczunku, tam właśnie był duży staw i gęsi miały wodę. Najczęściej chodziłam tam z siostrą Halinką, było tam też wiele innych dzieci z naszej kolonii. Raz spotkałam starszego pana, jak siedział na wysokim pniaku i ostrzył nóż. Długo tak siedział i nic go więcej nie interesowało. Za to ja i Halinka przestraszyłyśmy się, pobiegłyśmy do naszego domu i powiedziałyśmy do naszego tatusia Jana: „*Tato my nie będziemy tam paść gęsi, bo tam głupi chłop siedzi.*”. A nasz tatuś poszedł i zdziwił się kiedy zobaczył, że to Michał Roch z Zastawia. Mówi zatem do niego: „*Michał co ty dzieci straszysz?*”. A on ze śmiechem: „*Ani ja się do nich odzywałem, ani ja na nich patrzyłem. Siedzę tu i jedynie krowy swoje pilnuję.*”. Śmiechu było z tego, co nie miara.

Co ciekawe nawet na pastwisku nie spotykałam ukraińskich dzieci, po temu w dzieciństwie nie spotykałam się z żadnymi przykładami napaści na Polaków. Nie pamiętam nawet jednego przykładu antyukraińskich zachowań u naszych dzieci, czy nawet u naszych starszych. Czegoś takiego po prostu nie było.

TO TYLKO JAKIŚ CZERWONY ŚLUP NA NIEBIE

Przed wybuchem II wojny światowej, chodziłam przez trzy miesiące do I klasy, a potem miałam rok czasu przerwy. Po tym czasie zakwalifikowali mnie od razu do klasy II i uczyłam się jeszcze przez około rok czasu, ale to była już wojna i czas okupacji. Jako beztróskie dziecko właściwie nic nie wiedziałam, że ma wybuchnąć wojna, choć niektóre zdarzenia mogły takie myśli sugerować. Dla przykładu latem 1939 roku, zapewne było to już po Wielkanocy nasz tatuś wszedł do naszego domu i powiedział głośno jakiś przejęty: „*Chodźcie, zobaczcie chłopaki, że Włodzimierz Wołyński się pali!*”. Było to już późnym wieczorem i na dworze było ciemno. W naszym domu był wtedy Zdzisław Wawrynowicz, Stefan Bojko i

Eugeniusz Bortnowski. Na podwórze wyszedł wtedy sam Zdzisław i oglądał **niebo nad miastem Włodzimierzem. Zaraz przyszedł z powrotem do domu i powiedział do nas wszystkich: „E pan Rusiecki coś bajdurzy, to nie Włodzimierz się pali, tylko jakiś czerwony słup na niebie!”**. I znowu zaczęli grać w karty.

Rano następnego dnia na nasze podwórko przyszła nasza ciocia Helena Wawrynowicz oraz nasz sąsiad Władysław Oźga. Ciocia pytała się tatuśka tak: „*Jasiek ty widział, co wczoraj było na niebie?*”. A tatuś zaraz odpowiedział: „*Widział! Widział!*”. Ciotka więc dopowiedziała: „*No to się posuwało z zachodu na wschód*”. A Władek Oźga, który się przysłuchiwał powiedział na to: „*No tak to się przesunęło z tego miejsca w te!*”. I ręką pokazał, jak mi się wydaje z zachodu na południe. **A ciotka za nim jeszcze dodała: „A to coś niedobrego, bo to takie krwawe było!”**. Ale nasz tatuś tego nie komentował, tylko zabrał Władka i gdzieś się udali, a ciocia Hela poszła do naszej mamusi. Wiem o tym dobrze, bo sama byłam świadkiem tego wszystkiego, widziałam te rzeczy i słyszałam te rozmowy. Lecz sama się tym nie zajmowałam, jakoś mało mnie to interesowało, innych chyba też i więcej ta sprawa, już w rozmowach nie wracała. [4] [W zamyśle Bożej Opatrzności znaki na wołyńskim niebie, miały jednak ogromne znaczenie, lecz o tym i w tamtym czasie nie mogli wiedzieć mieszkańcy kolonii Teresin. Niezwykle bogatą relację o tych znakach, zawdzięczamy **pani Kazimierze Kowalczyk z d. Czerwieniec, bylej mieszkance kolonii Karczunek Wołyński** na Wołyniu. Wspomnienia te (11 stron) są zarazem mocnym dokumentem o ludobójstwie, dokonanym na ludności polskiej przez OUN-UPA w miasteczku Uściług nad Bugiem i w okolicach. Są także pewne informacje na temat polskiej samoobrony, placówki AK, która stacjonowała w pobliżu i która przyszła z pomocą. Informacje przekazał po wojnie pan Józef Szewc, partyzant, uczestnik tej bitwy. Opublikowane 07 września 2013 r. na stronie Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ Solidarność, dostępne pod adresem: http://www.solidarnosc.org.pl/oswiata/attachments/1644_KOWALCZYK%20KAZIMIERA.pdf, Dodane przez autora opracowania: S. T. Roch]

Tuż przed wojną w wojsku służył nasz brat Stanisław, był skoszarowany we Włodzimierzu Wołyńskim. Jego uroczysta przysięga miała być 01 września 1939 r., ale nieoczekiwanie tatuś Jan dostał zaproszenie, już na 25 sierpnia i udał się naturalnie na tę uroczystość. Gdy wrócił powiedział do nas wszystkich w domu: „**Coś szykuje się chyba na wojnę!**”. Coś tam jeszcze z mamusią szeptali, ale ja już nie słyszałam tylko patrzyłam, czy tatuś ma jakieś prezenty z miasta dla nas.

WRZEŚNIOWE DNI KLĘSKI

Zaraz od 01 września 1939 r. nasza rodzina, była dobrze poinformowana o wojnie. Mieszkał bowiem na Teresinie pewien inwalida wojenny o nazwisku Świstowski, który posiadał własne radio, a spodziewając się że będą, u niego w domu robić przeszukania, oddał je na przechowanie do brata Leonarda. Tak oto b. dobrze byliśmy poinformowani, co dzieje się na froncie. Nasz brat również walczył na froncie, brał udział w zaciętych walkach nad rzeką Bzurą. Tam został ranny i dostał się do niewoli niemieckiej. Przebywał w niej, aż do końca wojny, aż do wyzwolenia jego obozu jenieckiego przez wojska sowieckie.

Tymczasem do wojska zabrali także najstarszego brata Leonarda, który trafił ze swoim oddziałem, gdzieś w okolice Łucka na Wołyniu. Kiedy jednak 17 września Sowieci zdradziecko przekroczyli granicę wschodnią II Rzeczypospolitej Polskiej, to jego oddział został rozwiązany i każdy żołnierz na własną rękę wracał do swego domu. **Brat po drodze napotkał grupy Ukraińców, takie luźne bandy, które wysługiwały się Sowietom i rozbrajały polskich żołnierzy, wracających z frontu.** Kiedy brat wrócił szczęśliwie do domu, to opowiadał nam wtedy, że i jego tak zatrzymano i wypytywano się skąd wraca.

W naszej okolicy wrześniowe dni klęski, przebiegły b. spokojnie i właściwie nic się dziwnego nie działo. Gdzieś około 18 września zobaczyłam pierwszych

żołnierzy sowieckich i wyglądali raczej b. marnie. Jeden z nich częstował mnie nawet cukierkami, ale ja nie chciałam, bo były brudne.

SOWIECKI RAJ OBIECANY

Od pierwszych do ostatnich dni okupacji sowieckiej, było u nas cicho i spokojnie. Sowietci o dziwo okazali się dobrymi, życzliwymi ludźmi, a to co mnie w nich urzekło, to to że byli naprawdę otwarci i szczerzy. W lesie kohyleńskim urządzili potężne koszary dla b. dużej liczby wojska. W naszym domu mieszkało dwóch lejtnantów i u nas się stołowali. Ukraińcy w tym czasie, też zachowywali się b. spokojnie i nie pamiętam, aby były z nimi w tym czasie, jakiegokolwiek problemy. Nikt w tym czasie nie wzbraniał, chodzić ludziom do kościoła, a w pokoju w którym spali Sowietci, nawet nie musieliśmy, zdejmować świętych obrazów ze ścian.

Ojciec Jan miał w tym czasie, jeden nieprzyjemny zgrzyt z Żydem na targu we Włodzimierzu Wołyńskim. Pojechał tam bowiem miał drzewo do sprzedania, lecz kiedy zobaczył go pewien Żyd, powiedział do tatusia bez pardonu: „**Uciekaj stąd i nie stawaj mi tu! Wy już w worku, tylko was zawiązać!**”. I nasz tatuś zmuszony był z drzewem wyjechać z ul. Farnej na inną ulicę i dopiero tam spokojnie sprzedał wszystko.

Już w pierwszą zimę od stycznia 1940 r., zaczęło się wywożenie polskich, pojedynczych rodzin na straszną Syberię. Na początek zabrali naszego stryja Stanisława Rusieckiego i całą jego rodzinę ze Swojczowa. Sowietci przyszli po nich w nocy i mieli tylko 15 minut na zabranie, najbardziej potrzebnych rzeczy ze sobą. Kiedy po latach wrócili znowu do Polski, to osiedli w Hrubieszowie i wszystko nam ze szczegółami opowiadali. Byłam w jego domu wiele razy, gdyż przyjaźniłam się z jego córkami z Antoniną i jeszcze z jej dwiema siostrami. One wszystkie po wielu dramatycznych przejściach, zdołały wrócić z mroźnej Syberii. Właśnie wtedy stryj Stanisław opowiadał nam wszystkim, jak to było w sowieckim rajku obiecany i na sowieckich, darmowych wczasach. Staszek mówił zatem tak: „**Przyszli do nas nocą, było już około północy. To było czterech żołnierzy NKWD i dali nam tylko 15 minut na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy. Właściwie nic ze sobą nie zabraliśmy. Dzieci nam płakały, a żona ledwie dwa miesiące wcześniej, urodziła bliźniaczki: Zosię i Kazimierę. Zabrali nas wszystkich i wsadzili na furmankę. Potem zawieźli nas do Włodzimierza Wołyńskiego, a tam na torach stały, już wagony bydłce i właśnie do jednego z nich zapakowali i nas wszystkich. Było tam już dużo ludzi i było b. zimno, gdyż wagony były drewniane i nie były ogrzewane. A to przecież środek zimy, był styczeń i b. duże mrozy. Nawet nie było okien, tylko dziury zakratowane. Razem z nami jechał jeden enkawudzista, którego zmieniano na każdą dobę. Zimno było strasznie, a ten pociąg stawał na każdej stacji i stał tak niekiedy, dość długo. Przy tym wszystkim nie wolno nam było patrzeć do okna.**

Tak jechaliśmy dwa tygodnie, byliśmy już b. umęczeni. W końcu wysadzili nas w Nowosybirsku. Tam trzymali nas w barakach przez dwa miesiące, pracowałem przy drzewie. Następnie zawieźli nas dalej w tajgę. To już był obóz dla takich jak my za drutami. Tam już naprawdę nie dało się żyć bowiem nie było co jeść, a ludzi było dużo i to z różnych narodów. Ciężko pracowałem w lesie, ścinałiśmy drzewo, dostawałem za to chleba, ale i tego nie starczało dla nas wszystkich. Sytuacja z dnia na dzień stwała się, coraz trudniejsza i brakowało mi zwyczajnie sił, by temu sprostać. Nie miałem już w sobie siły, by to wszystko unieść i wtedy zaczęła nachodzić mnie myśl, by ze sobą skończyć, by popełnić samobójstwo.

Wiele się nad tym nie zastanawiałem, tylko czując się załamany, po skończonej pracy jednego dnia, udałem się do lasu z taką myślą, że się dziś powieszę. Gdy już

byłem w lesie i szukałem odpowiedniego drzewa, zobaczyłem na przeciwko piękną, dużą łanię. Nie uciekała, ale stała spokojnie. Zbliżyłem się do niej wolno i widzę, że ma duże, piękne wymię. Tak sobie pomyślałem: 'Boże żebyś ty moim dzieciom, dała trochę mleka!'. I rzeczywiście łania, jak zaczarowana nadal stała w miejscu i dała mi się podejść. Wydoilem ją spokojnie, sam się mleka napiłem i jeszcze zaniósłem swoim dzieciom w swojej skurzonej czapce. Następnego dnia znowu poszedłem w to miejsce, a łania znów tam stała. Tym razem miałem jednak ze sobą garnuszek i nadoilem dużo mleka, tak że moje dzieci trochę się nim wzmocniły, a mnie samemu wróciła chęć do życia. Już nie myślałem więcej o tym, aby popełnić samobójstwo. Tak chodziłem przez cały tydzień do lasu po mleko, a łania zawsze była w tym samym miejscu. Po tych dniach, tak dla nas szczęśliwych, po prostu znikła i już nigdy więcej, z pomocą się nam nie pokazała. Do mnie jednak w tym czasie dotarło, co też ja bym właściwie uczynił, gdybym się tamtego dnia powiesił, jak wielką szkodę wyrządziłbym swojej, utrudzonej małżonce i naszym dzieciom. Zostaliby oto sami, by dalej zmagać się z tą potworną biedą, głodem i strasznymi mrozami. Bardzo żałowałem, że taką piekielną myśl, ku sobie dopuścił.

W tym obozie było wielu pobożnych ludzi, chętnie modliliśmy się wszyscy razem, nawet zrobiliśmy sobie kapliczkę ze śniegu i tam wspólnie modliliśmy się przed naszą Figurką ze śniegu. Kiedy nie mieliśmy znów co jeść, to ja i moja żona i dzieci nasze zbieraliśmy korzenie i parzyliśmy liście. Dla przykładu po liście lipy trzeba było chodzić nawet 10 km, ugotowane były gorzkie, ale moja żona Antosia robiła z nich placki. Dzieci ich nie chciały i płakały, ale my starsi jedliśmy i to nawet z myślą, aby tylko przeżyć na tej nieludzkiej ziemi.

Tak było do 22 czerwca 1941 r. do momentu kiedy Hitler napadł na ZSRR bowiem już kilka dni później, dali wszystkim dość dużo prowiantu i nasza sytuacja uległa gwałtownej poprawie. Przynajmniej było teraz co jeść, a poza tym nic się nie zmieniło. Nadal trzymali nas za drutami pod strażą i co dzień gonili nas do ciężkiej, niewolniczej pracy. Około 30 km dalej pracował mój syn, który potem trafił do Armii Polskiej Gen. Władysława Andersa na zachodzie. Inni nasi chłopcy trafili potem z kolei do I Armii WP Gen. Zygmunta Berlinga i Wandy Wasilewskiej. Tuż przed naszym wyzwoleniem z obozu, zmarła jedna z naszych bliźniaczek, ale wszyscy pozostali zdołali przeżyć, tę wprost niewiarygodną gehennę polskich rodzin kresowych. Ja i moja rodzina, jak tylko Sowieci zdołali pokonać III Rzeszę, wróciliśmy do Polski, naturalnie za zgodą władz sowieckich i osiedliśmy w Hrubieszowie. Wróciliśmy szczęśliwie do domu.”

Niestety stryj Stanisław żył jeszcze tylko około pół roku i zaraz pomarł, tak mocno był schorowany, a właściwie to wycieńczony sowieckimi wczasami. Jego dzieci do dziś żyją ze swoimi rodzinami we wsi Czerniczyn k. Hrubieszowa. [5] [Cała historia zesłania na Syberię rodziny Stanisława Rusieckiego, jego żony Stefani z d. Antoniuk oraz ich dzieci z kolonii Czesnowka, została pięknie opisana przez ich córkę **Jadwigę Grusiewicz z d. Rusiecka**, która po wojnie osiadła w Mrągowie na Mazurach. Można tam znaleźć także pewne informacje na temat mordów we wsi Twerdynie oraz w polskiej kolonii Ossa. Wspomnienia te (8 stron), opublikowane 14 października 2012 r. są dostępne pod adresem: <http://radio.radiopomost.com/ze-swiata/772-wspomnienia-jadwigi-grusiewicz-z-kolonii-czesnowka-na-wolyniu>, Dod. autor opr. S. T. Roch]

Słyszałam także od ludzi z naszej kolonii i nie tylko, że Sowieci wywieźli na Syberię wiele innych polskich rodzin, ale już dziś nie pamiętam tych ludzi z imienia i nazwiska. Wiem natomiast, że NKWD planowała wywiezienie, całej naszej kolonii Teresin na Syberię. Była już nawet wyznaczona data, a nawet dzień kiedy miało się to dokonać, to miało być 23 lub 25 czerwca 1941 r.. **Lista wszystkich mieszkańców kolonii Teresin, była już u Ukraińca, sołtysa sąsiedniej ukraińskiej wsi Kohylno.**

Gdy na Wołyń wkroczyli Niemcy, mój brat Leonard jakimś sposobem zdobył, te papiery od sołtysa z Kohylna i cały ten plan wywózki nas wszystkich. Cała nasza rodzina i ja także oraz wszyscy mieszkańcy naszej kolonii, mogliśmy osobiście oglądać te papiery i zbrodnicze plany Sowietów. Pamiętam że to był papier kancelaryjny, na którym był rozrysowany, dokładny plan wkroczenia do naszej kolonii, jednocześnie z dwóch stron, a cała kolonia miała być w tym czasie szczelnie otoczona, tak by nikt nie zdołał uciec. Był tam też dołączony spis wszystkich mieszkańców polskiego Teresina. Na szczęście nie zdążyli bowiem 22 czerwca 1941 r. na ZSRR, uderzył z całą mocą Hitler, odsuwając w czasie zagładę naszej kolonii o jakieś dwa lata, jak się miało wkrótce okazać.

NIEMIEC ŻELAZNĄ PIĘŚCIĄ ZAGARNIA KRESY

Nic nie zapowiadało, że ma wybuchnąć wojna, ale dosłownie nic. Jednej nocy do naszego domu przybiegł żołnierz z lasu, zastukał do okna i krzyknął przerażony: „*Tawarisz Lejtnant balszaja trwocha! Wojna!*”. Sowietci zaraz pobiegli do lasu, gdzie stało ich wojsko i już więcej ich u nas nie było. Zaraz za nimi pobiegła żona, ale nawet ona już ich tam nie zastała, tylko sama warta jeszcze tam stała. Wróciła więc do nas i tak powiedziała: „*Tych naszych żołnierzy, co to nad Bugiem na granicy stali, już Niemcy wzięli do niewoli, a nasi poszli na front.*”. Spakowały się zatem te dwie żony i odjechały samochodem na wschód. Jedna z nich jeszcze wróciła do nas i przez jakiś czas ukrywała się u nas, a potem wyjechała w październiku na wschód.

Widziałam jak Niemcy jechali koło Tartaku kohyleńskiego, wojsko piękne, czyściutkie i zmotoryzowane. Pili wodę na Teresinie i pojechali dalej. Nie słyszałam, aby ktoś ich witał kwiatami, lub żeby budował dla nich bramę powitalną. **Zaraz na początku hitlerowcy ogłosili nabór do policji i wielu Ukraińców zgłosiło się na ochotnika. Hitlerowcy dali im broń i z tą chwilą, to Ukraińcy strzegli porządku w naszych okolicach, jak się potem miało okazać, stało się to jedną z najważniejszych przyczyn ludobójstwa na Żydach i Polakach na Kresach.**

W tych dniach Niemcy ogrodzili Tartak kohyleński i napędzili tam sowieckich jeńców. Codziennie też wyganiaли ich pieszo do majątku do wsi Elizabetpol. To był duży majątek i ci jeńcy sowieccy, tam cały dzień ciężko pracowali, a ukraińscy policjanci ich pilnowali. Zdarzało się, że gonili tych jeńców przez nasz Teresin, oczywiście był to widok straszny. Było tych jeńców około 100, a samych pilnujących Ukraińców z bronią około 15. Nie mogę powiedzieć, by była tych jeńców większa liczba, a już na pewno kilkuset. Nic nie słyszałam o jakimś zbiorowym buncie w tym obozie jenieckim, ale doszło do mnie, że kilku z tych jeńców zdołało uciec podziemnym tunelem przez kotłownię. Niemcy szukali ich potem z psami, po całej naszej kolonii Teresin i w całej okolicy. Zaraz po tej ucieczce Niemcy zlikwidowali ten obóz jeniecki na Tartaku, ale nic nam nie wiadomo, co stało się z tymi jeńcami. hitlerowcy gdzieś ich zabrali i gdzieś ich zgładzili zapewne. Z tym dniem na naszej kolonii i w całej okolicy, był względny spokój.

DEMON NIENAWIŚCI ROZWIERA SWĄ PASZCZĘ

Już w marcu 1942 r. miejscowi Ukraińcy na własną rękę, zebrali wszystkich Żydów z Tartaku kohyleńskiego i pogonili pieszo do Włodzimierza Wołyńskiego. Tymczasem to nie był jeszcze właściwy czas holocaustu i hitlerowcy naszych kohyleńskich Żydów, odesłali z powrotem i Żydzi mieszkali jeszcze na Tartaku do czerwca 1942 r.. Latem hitlerowcy gonili tych Żydów do niewolniczej pracy w tym samym majątku we wsi Elizabetpol, w którym wcześniej pracowali jeńcy sowieccy. A gdy prace zostały właściwie zakończone, już na jesień wszystkich Żydów zabrano do miasta. Hitlerowcy zaczęli masowo zwozić Żydów do Getta we Włodzimierzu

Wołyńskim.

Wiem o tym dobrze ponieważ ja oraz wielu innych Polaków i Ukraińców również byliśmy w tym majątku, ale pracowaliśmy w innych grupach, niż tamci Żydzi. I gdy Żydów już pomordowano, my pracowaliśmy aż do marca 1943 r., kiedy to skończyliśmy omloty. Była to ciężka praca, niewolnicza bowiem nikt nam za tą pracę nie płacił. Jednak byliśmy zapisani i musieliśmy tam chodzić przymusowo. Ukraińcy zachowywali się podczas tych prac spokojnie i nie robili nam żadnych przykrości, nawet żyliśmy b. zgodnie.

W tym samym czasie trwały wywózki polskiej młodzieży do niewolniczej pracy w III Rzeszy Niemieckiej. Roman Roch i wielu innych młodych chłopaków z Teresina i z okolic zabrano już w czerwcu 1942 r., wśród nich byli: Józef Czamara, Tadeusz Krochmal, Zdzisław Kukułka, Jan i Stanisław Krakowiak. Co jakiś czas na naszej kolonii głośno było, że znowu kogoś dopadli i wywieźli.

Gdzieś od wykopków od października 1942 r. zauważyłam ja i inni Polacy, że Ukraińcy zaczynają od nas wyraźnie stronić i coraz częściej, przebywają tylko we własnym gronie. Co ciekawe zupełnie nagle przestali z nami rozmawiać w języku polskim, który doskonale znali, ale jedynie w języku ukraińskim, a i to było już raczej rzadkością. Z tą chwilą gołym okiem było, już widać rozdzwięk między nami, podział na Polaków i Ukraińców. Już byli dla nas niekoleżeńscy, ale jeszcze nie posuwali się do czynienia przykrości i napadów. W rezultacie jeszcze tej zimy było u nas spokojnie, ale już po Wielkim Poście w roku 1943, osobiście widziałam jadących dwoma wozami Ukraińców, traktem tuż obok naszej kolonii i słyszałam jak śpiewali: „*Nie zabudem tego świta. Bude koniec Żydam, Lacham i Moskiewskiej Komunie. Znajesz Sasza!*”. Oni chyba jechali do Gnojna i było to już późnym wieczorem, ale noc była jasna.

Mój mąż Roman Roch opowiadał mi, że także osobiście spotkał się ze śpiewaniem przez Ukraińców, wrogich piosenek na Polaków we wsi Kohylno i to już w maju w roku 1942. **Był właśnie na okolicznościowej zabawie u Ukraińców, z których wielu było jego bliskimi kolegami. Niektórzy z nich, jak popili sobie dobrze wódki, to zaczęli głośno śpiewać wrogie piosenki właśnie na Polaków. Romek jak to osobiście usłyszał, to się zasmucił i był b. zaskoczony.** Tymczasem jeden z jego bliższych kolegów, Ukrainiec rzekł do niego: „*Ej Romek idź do domu. Oni się popili. Nie słuchaj durnych.*”. I mąż opowiadał, że wrócił na Zastawie, ale od tej pory, już tam nie chodził i raczej stronił od Ukraińców z Kohylna. Niedługo później zabrali go na roboty do Niemiec, skąd wrócił dopiero po klęsce III Rzeszy.

Józefa Pieczonka z d. Roch mieszkała ze swoim mężem Eugeniuszem i trójką dzieci: Danusią, Eugeniuszem i Marianem na Tartaku kohyleńskim. Razu pewnego wybrałam się wraz z moim tatusiem Janem oraz z bratem Leonardem po białą glinę, a miejsce to było b. blisko domu Pieczonków. Działo się to zaraz po ukraińskich świętach Wielkiej Nocy. Tam spotkaliśmy Józję, która właśnie stała przy drodze i zaczęła z nami rozmowę. Mówiła tak: „*Ciekawe dlaczego to Ukraińce święcili kosy zamiast ciasta?*”. I zaraz dodała: „*Szłam z Kohylna od mojej rodziny na Zastawiu i zobaczyłam, że Ukraińcy święcą ostre narzędzia w tym kosy, e tam i siekiery i noże. Wszystko tam było w tym koszu, zamiast ciasta. To była Wielka Sobota ukraińska i oni święcili to przy dużym stawie od strony Kohylna, ale ja się nawet nie zatrzymywałam, tylko zdziwiona poszłam dalej. Narzędzia święcił pop ukraiński, który był wśród Ukraińców.*”. Ale mój brat Leonard to zbagatelizował i powiedział tylko: „*Oj Józia, Józia! Ciebie to zawsze coś się trzyma!*”. I my pojechaliśmy wozem dalej, zostawiając ją samą z tymi pytaniami. [6] [Tymczasem sytuacja była już niezwykle groźna i był to ostatni moment, by się obudzić i podjąć zdecydowane działania. Potwierdza to wielu

innych świadków naocznych. Wierny i bogaty opis życia wielodzietnej, polskiej rodziny Karbowiaków w zacisznej leśniczówce Budki Kohyleńskie oraz polskich rodzin w całej okolicy, zawdzięczamy **pani Helenie Wójtowicz z d. Karbowiak, żołnierzowi 27 Wołyńskiej DP AK ps. „Dama”**. Jest to zarazem dokument o ludobójstwie dokonanym przez ukraińskich nacjonalistów na kolonii Teresin i w całej okolicy. Szczególnie ważne są opisy narastającej wśród Ukraińców w Kohylni nienawiści do swoich sąsiadów Polaków, jeszcze na wiele lat przed rzezią. Na uwagę zasługują także wspomnienia pani Heleny z czasów walk w partyzance, jaki i po wojnie, gdy b. czynnie brała udział w przeróżnych wydarzeniach, organizowanych przez, byłych żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK. Te piękne, osobiste wspomnienia z Wołynia (26 stron), opublikowane 13 czerwca 2011 r. od kilku lat można przeczytać na stronie: <http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/251-wspomnienia-heleny-wojtowicz-z-d-karbowskiak-z-osady-budki-kohyleskie-w-pow-wodzimierz.html> , Dod. autor opr. S. T. Roch].

CZERWONE ŁUNY NA WOŁYŃSKIM NIEBIE

W Wielki Czwartek 1943 r. przed naszym domem na trawniku, zeszło się trochę naszych sąsiadów w tym Helena Wawrynowicz i Władysław Oźga oraz nasza rodzina. Siedzieliśmy. Siedzieliśmy wszyscy na ziemi i rozmawialiśmy, o tych pożarach, które dzisiaj w nocy, tak bardzo były widoczne na choryzoncie. Wszyscy byli bardzo zaniepokojeni i pytali zwyczajnie, co to ma niby znaczyć i co się właściwie w tych okolicznych wsiach wydarzyło. **Do tej pory bowiem, takie pożary zdarzały się tylko w pojedynczych gospodarstwach, a ostatniej nocy paliły się niemal całe wsie i to z wielu stron.** Ponieważ jednak wciąż nie wiedzieliśmy, co się dzieje tatuś namawiał swoją rodzoną siostrę Helenę Wawrynowicz, aby pojechała do Polaka Kędzierskiego ze wsi Mikołajpol, który jeździł niekiedy do młyna w Dominopolu. Miał nadzieję, że tam więcej wiedzą, co to za łuny ognia od strony Świnarzyna. Zaraz też mamusia nasza, taka zrezygnowana powiedziała do nas: „*Nie mam chęci nic robić i nie będę nic piekła!*”. A wtedy Halinka powiedziała tak: „*Niech mamusia piecze, jak Wy nie przeżyjecie, to ja przeżyję i wszystko pozjadam!*”. Tak to spotkanie dobiegło końca i wróciliśmy do domu.

Po południu mamusia poszła z ciotką Helenką do Kędzierskiego, ale on także nic właściwie nie wiedział, mówił: „*Nic nie wiem, bo most na Turii spalony, do młyna mnie nie puścili. Dobrego nic się tam nie dzieje, tyle wam powiem.*”. [7] [Dokładny i wierny opis życia we wsi Dominopol oraz w parafii Narodzenia NMP w Swojczowie, można doczytać **we wspomnieniach Kazimierza i Antoniny Sidorowicz z d. Turowska**. Wspomnienia tego pobożnego, b. poczciwego, kresowego małżeństwa (22 strony), zawierają także liczne świadectwa innych naocznych świadków ludobójstwa, które miało tam miejsce w Krwawą Niedzielę 11 lipca 1943 r.. Poza tym można tam znaleźć także wiele cennych informacji o życiu rodziny Roch w Kohylni na Zastawiu oraz o dramatycznych losach polskich rodzin w sąsiedniej wsi Smolarnia. Wspomnienia te opublikowane 11 maja 2011 r., dostępne są dla zainteresowanych na stronie: <http://btx.home.pl/kresy/menu-serwisu/wspomnienia/11-wspomnienia-kazimierza-i-antoniny-sidorowicz-> , Dod. autor opr. S. T. Roch].

To była już połowa kwietnia i było bardzo ciepło. Póki co trwały porządne przygotowania do Świąt Wielkanocnych. A podobnych dziwaczności na niebie nie było ani w piątek, ani w sobotę, ani podczas samych Świąt, takich pożarów już nie było. W Kohylni miało miejsce jednak niezwykle ważne zdarzenie, które nam Polakom na długo pozostało w pamięci. **Otóż Ukraińcy przed Wielkanocą święcą nad wodą ciasto, to ich taki stary zwyczaj religijny. W roku rzezi w Kohylni razem z ciastem, pop poświęcił im również noże i siekiery.** Jakaś kobieta powiedziała o tym Leonardowi Rusieckiemu, ale jej nie uwierzył. Później potwierdziły to inne osoby. Wiadomość ta okazała z czasem prawdziwa, także przez nieludzkie ludobójstwo jakiego ukraińscy nacjonaści, dopuścili się na niewinnej ludności polskiej na Ziemi Swojczowskiej i na całym Wołyniu. Istnieje tu niestety silny związek przyczynowo-skutkowy, który pozwala nam przypuszczać, że owe poświęcone noże i siekiery, były potem używane podczas demonicznych pogromów na ludności polskiej.

REZUREKCJA W SWOJCZOWIE POD LUFA BANDEROWCÓW

W niedzielę raniutko, już robiło się na dworze widno, nasz tatuś nas pobudził i pojechaliśmy na rezurekcję do Swojczowa. W domu została tylko Halinka i Janina z 3-letnią Marysią. Dzień był mglisty i była mżawka. W kościele było raczej mało ludzi, ale odprawiało się pięknie. Ja stałam w środkowej części kościoła za filarem. **Podczas nabożeństwa, gdzieś w połowie do kościoła weszli Ukraińcy z bronią na ramieniu, a za pasem mieli granaty. Mineli mnie i podeszli pod Ołtarz. Ksiądz Franciszek gdy ich zobaczył zmieszał się, zatrzymał modlitwę, ale po chwili jak gdyby nigdy nic, zaczął modlitwę i odprawiał dalej.** Tymczasem Ukraińcy postali tam chwilę, zawrócili z powrotem i wyszli ze świątyni. Było ich tylko dwóch, w każdym razie widziałam tylko dwóch, ale muszę przyznać, że nie patrzyłam co się dzieje za mną więc możliwe że było ich więcej. Ukraińcy jeszcze widać chcieli zachowywać pozory, gdyż w kościele zachowali się spokojnie. Po nabożeństwie i po końcowym błogosławieństwie nie było już procesji dookoła świątyni. **Zatem zaraz wróciliśmy do domu i świętowaliśmy, były to już jednak inne święta. Smutniejsze niż w poprzednich latach, odczuwało się narastający strach przed Ukraińcami.** Atmosfera była już wprost pogrzebowa. Na dodatek Niemcy przyszli do wsi kupić jajka, a ludzie zrobili z tego groźną łapankę, tak że trafiłam do dziury w oborze. Tam przesiedziałam z siostrą Michaliną prawie cały I dzień Świąt. [8] [Bardzo dokładny i cenny opis z tamtych dni i w ogóle z ludobójstwa na kolonii Teresin i na całym Wołyniu, zawdzięczamy pani Janinie Topolanek z d. Rusiecka, która jest starszą siostrą Adeli Roch. Wspomnienia te (45 stron), niezwykle bogate we wszelkie informacje, są prawdziwą kopalnią wiedzy o tamtych czasach, ludziach i o tamtych tragicznych wydarzeniach. Znajdziemy tam opis swojczowskich odpustów parafialnych, lokalnych tradycji, niezmaconej niczym młodości na kolonii Teresin. Jest tam także wiele cennych informacji odnośnie rodziny Roch w Kohylnie na Zastawiu. Opublikowane na wielu stronach w internecie w tym 26 marca 2011 r. pod adresem: <http://wolyn.btx.pl/index.php/wolyn-wola-o-prawde/100-wspomnienia-janiny-topolanek.html> , są dostępne dla każdego badacza i dla wielu poszukujących śladów o swoich przodkach na Ziemi Swojczowskiej. Dod. autor opr. S. T. Roch].

KRWAWY PORACHUNKI

Na trzeci dzień do naszych sąsiadów przyjechali uzbrojeni Ukraińcy i wypytywali się o Władysława Ożgę, a ponieważ go nie zastali, wstąpili do nas, ale ojciec ich odprawił, mówiąc że nie wie gdzie on przebywa. Tymczasem Władek siedział właśnie w naszym domu. Poza tym już w pierwsze dni po świętach, znów pojawiły się łuny ognia na niebie. I znać było widać wyraźnie, że paliły się domy, domyślaliśmy się tylko, że to się palą polskie gospodarstwa. Zaraz po świętach nasza rodzina i większość mieszkańców Teresina, już powszechnie rozmawiało o tym, że Ukraińcy mordują skrytobójczo Polaków. Tłumaczyliśmy sobie pamiętam, że to porachunki sąsiedzkie.

W pierwszych dniach maja gruchnęła wiadomość, że rodzina polska Wilów, mieszkająca na skraju wsi Chobułtowa, została napadnięta i bestialsko zamordowana przez Ukraińców. Kazimierz Zymon opowiedział mi po wojnie w naszej wsi Gajów, że Wil to była jego bliska rodzina, że mianowicie żona Wila była z Rudnickich. Właściwie to nie wiem już dziś, czy on się nazywał Wil, czy Rudnicki, a Wil to było takie potoczne przydomko. W każdym razie tak o nim mówili wszyscy w naszej kolonii. Wiem o tym bowiem na miejsce tej tragedii, chodził osobiście nasz rodzony brat Leonard i oglądał uważnie to miejsce. Został tam matkę, której córka właśnie od wczoraj zaczęła w tej nieszczęsnej rodzinie pracę. Zachowywała się jak oszalała, krzyczała i darła włosy, nie mogła odżalować dziecka, tym bardziej że sama namawiała córkę, by się udała do Wilów, jeszcze w sobotę. Leonard próbował jakoś jej pomóc, ulżyć, coś w tej sytuacji zaradzić. Poszedł zatem do piwnicy i otworzył

drzwi, a gdy zobaczył pełno krwi i trupów, przekonał się że to prawda. Matka zaś krzyczała w rozpacz: „*Ja! To ja ją zabiłam. Ona nie chciała iść w sobotę, ale ja ją namówiłam, aby jednak poszła. Ja tego nie przeżyję!*”. Tymczasem dom się już dopalał. Leonard odprowadził tę kobietę do jej rodziny, aby się nią zaopiekowała, wrócił do domu i wszystko nam opowiedział. Gdy nasz tatuś Jan to usłyszał, powiedział tak: „*A on był zادیorny, miał porachunki z Ukraińcami, nam to nie grozi.*”. [9] [Niestety jak b. w swych nadziejach, przypuszczeniach, zacny pan Jan Rusiecki się pomylił, pokazała dosłownie najbliższa przyszłość. Później co prawda pan Jan zmienił zdanie, ale na działanie, było już za późno i pozostała, już tylko ucieczka. Niestety poskie nadzieje składane w dawnych wiekach w Rusinach, a w ostatnich czasach w Ukraińcach, często i trzeba to powiedzieć, nawet wykrzyczeć, co niektórym do ucha, zbyt często, kończyły się niezwykle krwawymi pogromami, a czterokrotnie: 1648, 1652, 1768 i 1943 r. nawet okrutnym ludobójstwem. Ginęły wtedy całe lokalne społeczności i niewinne rodziny. O goryczy z ostatniego ludobójstwa, pisze w swoich krótkich, ale treściwych wspomnieniach pani Leokadia Pawłowicz z d. Gaczyńska z kolonii Mohylno na Wołyniu. Wspomnienia te (3 strony), opublikowane 03 czerwca 2012 r. na stronie pana Ryszarda Antolaka „Kresy”, można przeczytać pod adresem: <http://antolak-kresy.blogspot.co.uk/2012/06/wspomnienia-pani-leokadii-pawlowicz-ze.html#!/2012/06/wspomnienia-pani-leokadii-pawlowicz-ze.html> , Dod autor opr. S. T. Roch].

BLEF BANDEROWCÓW

W krótkim czasie po mordzie na Wilu i jego rodzinie, w maju 1943 r. na naszą kolonię przyjechało trzech Ukraińców z bronią i czterech młodych Polaków bez broni. W tym dwóch braci z okolic Pińskiego Mostu, na jednego mówili potocznie: „*cyćko*” Omańskich. Na Teresinie mieszkała ich ciotka Maria Omańska i to ona właśnie namówiła swoją córkę Zofię lat 16, aby zrobiła bilety z zaproszeniem dla naszej młodzieży na wspólną potańcówkę. Jej młody brat Franciszek przyniósł zaproszenie także dla mnie. Do mojej siostry Michaliny przyjechał w tym czasie narzeczony Eugeniusz Bortnowski i wspólnie udaliśmy się na zabawę do Marii Omańskiej. Było tam raczej mało młodzieży. Mieczysław Buczko przygrywał na skrzypcach, a inni tańczyli. Ja też tańczyłam z Janem Bojko z Mikołajpola, ale jakoś od początku nie było między nami przyjaznej atmosfery. Ci goście nie budzili w nas większego zaufania i nie bardzo mogliśmy się dogadać. **W pewnym momencie Omańska postawiła wódkę i gdy Ukraińcy się napili i mieli już trochę w czubie, to zaczęli śpiewać swoje ulubione piosenki.** Oczywiście nie obeszło się i bez tej, którą już nie raz mogłam osobiście usłyszeć, choćby i na naszej kolonii, oto jej słowa: „*Smert Zydam i moskiewskiej komunie.....(tu było b. znaczące pomrukiwanie 'yhymm', które miało zwyczajnie oznaczać Lachów)*”, ale tego oczywiście, już na takiej imprezie nie śpiewali. Po czym jeden z Ukraińców powiedział do drugiego znacząco: „*Ty Waśka nie zaczynaj, jak nie umiesz tych słów.*”. **Po tych słowach jeden z tych Ukraińców wyszedł na środek pokoju, zakręcił się dookoła i powiedział do nas na głos: „Jak bym ja chciał, to bym tu na środku najlepszą dziewczynę wykorzystał seksualnie wobec wszystkich!”.** Jak on tylko to powiedział, to ja i inne dziewczyny przestraszyłyśmy się i zaraz po cichu uciekłyśmy do naszych domów. Natomiast tych chłopaków, już więcej nie widziałam. [10] [Degeneracja młodych banderowców na Wołyniu, sięgała samego dna piekła. Kłamstwo i skrytobójcze mordy, dokonywane na wiosnę 1943 r., miały oczyścić teren z młodych ludzi, którzy jeszcze mogliby ewentualnie stawić opór w dniach, zbliżającego się wielkimi krokami lipcowego i sierpniowego ludobójstwa. Od wiosny nasi chłopcy zapadali się pod ziemię, pisze wprost **pani Leokadia Michaluk z d. Południowska z kolonii Jesionówka** na Wołyniu. Dalej wiernie opisuje tragedię Dominopola oraz ucieczkę własnej rodziny z rodzinnego domu, a w końcu i samą rzeź ryzunów na kolonii Jesionówka. Jak wszyscy Kresowianie, miała zaznać goryczy tułaczki. Po wojnie pani Leokadia osiadła wraz z mężem Edwardem we wsi Gdeszyn na Zamojszczyźnie, lecz nigdy nie porzuciła w pamięci, tych wszystkich, którzy na Wołyniu, pozostali już na wieczną wartę. Kiedy w lipcu 1992 r. powstało w Zamościu Stowarzyszenie Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu w latach 1939 - 1945,

natychmiast, jak wielu innych Wołyniaków, nawiązała kontakty. Szczególnie mocno przeżywała poświęcenie krzyża w Swojczowie, w miejscu zburzonej w sierpniu 1943 r. przez Ukraińców świątyni, którą tak bardzo kochała. Wspomnienia te (17 stron), dostępne są dla zainteresowanych pod adresem: <http://www.nawolyniu.pl/wspomnienia/leokadia.htm>. Dod. autor opr S. T. Roch].

Życie toczyło się nadal tak samo, co wieczór chowałam się z Michaliną do naszej dziury bowiem w nocy przychodzili Ukraińcy z Niemcami i zabierali naszą młodzież na roboty do III Rzeszy. Właściwie można się było ich spodziewać w każdej chwili, gdyż sołtysem wsi, był już wtedy Ukrainiec o nazwisku Środa. Władysław Bortnowski Polak, był jego zastępcą. Właśnie to Władek wraz z ukraińskimi policjantami przychodzili przeważnie do polskich domów. Ponieważ jego syn Eugeniusz zalecał się do naszej Michalinki, ostrzegał nas którego dnia mają przyjść do nas i tak udało nam się umknąć, zabrania na te roboty przymusowe.

OFIARY BYŁY MASAKROWANE PRZEZ SPRAWCÓW

Około 20 czerwca do naszego domu przyszły dwie dziewczynki Janina lat ok 10 i Sabina lat ok 7, zapłakane opowiedziały naszemu tatusiowi co się stało w ich domu. Mówiły razem zgodnie tak: „***W nocy do naszego domu przyjechali wozem uzbrojeni Ukraińcy i nakazali naszemu tacie Władysławowi Nowaczyńskiemu, aby wskazał im drogę, ale zaraz potem zabrali go dalej ze sobą. My chciałyśmy jechać z tatusiem, ale Ukraińcy b. wyraźnie nakazali nam: 'Kładźcie się spać, tatuś zaraz wróci.'*** My jednak nie poszłyśmy spać, ale w ukryciu pobiegłyśmy za wozem. Kiedy tak szłyśmy, usłyszałyśmy, że Ukraińcy biją naszego tatusia, a on zaczął strasznie krzyczeć. Nagle usłyszeliśmy także głos naszej macochy, która była Ukrainką: 'Ty myślał, że tobie to ujdzie na sucho? To masz za pierwszą żonę, a to za drugą żonę!'.

W tym czasie słyhać już było tylko ciche mamrotanie i jęki, znać było, że zatkali mu czymś usta, albo był już nieprzytomny, bo całkiem przestał krzyczeć. Nagle ktoś strzelił z pistoletu, b. się przestraszyłyśmy i po prostu uciekłyśmy zaraz do domu. Czekałyśmy całą noc do ranka w domu, a gdy się rozwidniło poszłyśmy znów poszukać tatusia. Gdy byłyśmy już pod lasem pod krzakiem znalazłyśmy uszy, a pod drugim krzakiem palce, pod trzecim język tatusia, a dalej pod czwartym leżało już całe ciało bardzo zmasakrowane. Widać było że ciągneli go po ziemi, bo była tam krew, możliwe że sam przez dwa, trzy metry się czolgał, aż skonał przy krzaczku róży. W dłoniach mocno ścisnął ziemię, widać było że z piekielnego bólu. Od razu przybiegłyśmy na waszą kolonię do was, aby zawiadomić naszą rodzinę, co się u nas we Władysławówce wydarzyło.”

Pragnę wyjaśnić, że Władek nie był rzeczywiście dobrym mężem dla swojej pierwszej żony Anieli z d. Liśkiewicz, zdarzało się bowiem, że potrafił nawet ją dotkliwie pobić. Raz nawet uciekła biedna do naszego domu, jeszcze w Swojczowie. Ponieważ jednak Władek prosił ją, wróciła się do niego, ale chyba nadal była mocno bita, choć już się do tego nie przyznawała, tak przynajmniej ludzie w okolicy między sobą powiadali. W końcu chyba odbił biednej nerkę i Anielę mocno zachorowała, a Władek odwiózł ją do szpitala. Tam jednak nie mogli jej już pomóc, umierała. Przed śmiercią wypowiadała się, a kiedy westchnęła ku wszystkim: „*Ja już umieram....*”. Jej siostra Helena Wawrynowicz powiedziała: „*Anielciu nie szkoda ci umierać, dzieci zostawiać, męża?!*”. Wtedy chora odpowiedziała: „*Oj szkoda, szkoda mi dzieci, a on żeby ze skóry przed śmiercią oblazł!*”. Na to Helena załamała ręce, a potem chciała delikatnie położyć dłoń na jej buzi i mówiła do siostry: „*Anielciu toż ty dopiero po spowiedzi, po komunii świętej!*”. I wtedy Anielka jeszcze rzekła: „*Jeden Pan Bóg wie i mnie to wybaczy!*”. Zaraz zaczęła słabnąć, mrużyć oczy, ciężko oddychać i po paru minutach skonała na ich oczach. Męża Władka przy jej konaniu nie było, a do szpitala we Włodzimierzu Wołyńskim wcale nie przyjechał. Dopilnował jednak pogrzebu i

Aniela Nowaczyńska z d. Liśkiewicz spoczęła na cmentarzu w Swojczowie. To wydarzyło się już za pierwszej okupacji sowieckiej.

Władek chciał się potem ożenić raz jeszcze, tym razem z Wiktorią Bojko z kolonii Teresin, ale powiedziała mu wprost: „*Zamordowałeś swoją żonę, a teraz chcesz mnie załatwić. Trzeba było swoją żonę szanować! Daj mi spokój!*”. Wiem to od niej samej bowiem kiedy spotkała ją moja siostra Antonina, opowiedziała jej to osobiście, a ja podслуchałam. Władek po pewnym czasie znalazł jednak chętną Ukrainkę i znów się ożenił. Dopiero po jego tragicznej śmierci, dowiedzieliśmy się od jego dzieci, które osierocił, że nawet pierwsze doświadczenie nie nauczyło go rozumu i wojował także z drugą żoną. Dzieci mówiły tak: „*Nasza druga mama, była dla nas dobra, ale z naszym tatusiem zgodzić się nie mogła i od nas uciekła.*”. [11] [Mord na Władysławie Nowaczyńskim odnotował w swoich wspomnieniach także Zdzisław Schab, mieszkaniec polskiej kolonii Władysławówka. **Relacja państwa Zdzisława i jego żony Reginy Schab z d. Kaliniak** jest porażającym wprost świadectwem, masakry ludności polskiej we Władysławówce i w okolicy, dokonanej przez zdziczałych Ukraińców. Jest b. cennym dokumentem naocznych świadków tamtych wydarzeń. Można w niej znaleźć także b. ważne informacje, odnośnie ekshumacji i przeniesienia po wojnie na pobliski cmentarz, ciał pomordowanych z rodziny Schab i z drugiej rodziny Nowaczyńskich. Znajdziemy w niej także wiele cennych informacji, odnośnie losów dużej, polskiej rodziny Kaliniak oraz opisy banderowskich mordów na kolonii Ewin i w okolicach Swojczowa. Wspomnienia te (20 stron), opublikowane są dostępne dla czytelników na stronie: http://www.stankiewicz.com/ludobojstwo/zr_schab.html , Dod. autor opr. S. T. Roch].

Pogrzeb Władysława Nowaczyńskiego był w poniedziałek, nasz tatuś Jan pojechał, mamusia i bratowa Helena, żona Leonarda. Tatuś zostawił konie i wóz na podwórzu swojego stryja Karola Rusieckiego, to był rodzony brat naszego dziadzia, którego imienia, już dziś nie pamiętam. Wiem tylko, że dziadzio zmarł, jak nasz tatuś Jan miał około 15 lat, babcia żyła dłużej. Z pierwszym mężem Rusieckim miała dwoje dzieci: Józefę i Jana, a gdy wyszła za mąż po raz drugi za Liśkiewicza, urodziła jeszcze dwie dziewczynki: Anielę i Helenę.

INNE ZNAKI ZBLIŻAJĄCEGO SIĘ POGROMU

Tatuś zostawił konie u Karola i był w kościele, a potem udali się na cmentarz. Gdy uroczystość się skończyła, a tatuś wracał po konie i wóz, wtedy na drodze spotkali go Ukraińcy i koniecznie chcieli zabrać go ze sobą na „*poszpant*” do lasu świniarzyńskiego. Tatuś zaczął ich bardzo prosić, że tam kobiety na cmentarzu na niego czekają i to jeszcze z małymi dziećmi. Jeden z tych Ukraińców wyjął zeszyt i zapytał ojca: „*Czy ty jesteś Leonard Rusiecki?*”. Tatuś odpowiedział, że to jest jego syn. Wtedy Ukrainiec rzekł tak: „*My wiemy, że Leonard przed wojną, był w wojsku sierżantem i na pewno ma swoją broń.*”. Tatuś odpowiedział, że rzeczywiście tak jest, ale broni w domu nie ma. Zapowiedzieli więc wtedy, że przyjadą do domu i sprawdzą to osobiście. Po tych słowach puścili go i tatuś zaraz wrócił do domu. Zaraz powiadomił syna, że Ukraińcy pytają się o niego i powiedział wprost: „*Musisz się ukrywać, bo jak przyjadą to cię zabiorą i zabiją! Na to się zanosi.*”. **A brat odpowiedział ojcu tak: „Ja jeden zginę, a wy będziecie żyć spokojnie i chować moje dzieci.**”. Po chwili brat się uparł i postanowił, że trzeba koniecznie zebrać siano złożone, już w kopki na łąkach żydowskich niedaleko Teresina.

Pojechaliśmy więc na te łąki, tam pracując spotkaliśmy Stanisławę, Polkę z kolonii Władysławówka, która właśnie uciekała z domu do miasta. Miała ze sobą tylko lekki bagaż, taki tłumok. Powiedziała do nas tak: „**Rusiecki ty jeszcze tu przy sianie pracujesz, tobie ono nie potrzebne, ludzie ledwie z duszą z domów uchodzą! Zapamiętaj moje słowa.**”. To była Stanisława Rudnicka lat około 30, poszła dalej w kierunku Włodzimierz Wołyńskiego i nie wiem, co się później z nią stało. Mój brat Leonard powiedział jednak na te słowa: „*Tato co będziesz ją słuchał, kto Staszki nie*

zna?”. Idalej pracowaliśmy ciężko, naładowaliśmy siana i wróciliśmy do domu.

Tej nocy po raz pierwszy jednak, już nikt nie nocował w naszym domu, ale wszyscy pochowali się w kryjówkach, baliśmy się by nas bandziory w nocy na śnie nie napadli i nie pomordowali. Następnego dnia wtorek był bardzo piękny i słoneczny, tym razem Leonarko się uparł, że trzeba pojechać na nasze łąki, aż za Kohylno, aż pod Barbarówkę i tam również zebrać nasze siano. Tym razem pojechali oprócz mnie: tatuś Jan, brat Leonarko, bratowa Helena i Janina. Konie zostawiliśmy na Zastawiu na podwórku u Amelii Roch. W tym czasie na Zastawiu, było jeszcze spokojnie i wszyscy mieszkali w swoich domach, jeszcze nikt nie uciekł do miasta. Tatuś nie chciał zachodzić do domu, mówiąc: „*A Amelka zaraz będzie szykować poczęstunek, a tam nie ma do czego.*”.

W tej sytuacji poszliśmy od razu na naszą łąkę. Tatuś kupił ją wraz z kawałkiem karczunku od Żyda o nazwisku Kac, jeszcze przed wojną. Poszliśmy na łąki, złożyliśmy siano, a wracaliśmy piechotą przez ukraińską wieś Kohylno. Tam mieszkali prawie wyłącznie Ukraińcy, to była duża wieś, było około 150 numerów. Dom stał koło domu. W środku na górze, otoczona lipami stała cerkiew. Przed wojną żyliśmy z tamtymi ludźmi w zgodzie, niemal jak z braćmi. Jak wkroczyli Niemcy, to Ukraińcy zaczęli się zmieniać, zaczęli od nas stronić i z każdym dniem było niestety coraz gorzej. Właśnie przechodziliśmy obok dużego stawu, gdzie spotkaliśmy starego Ukraińca z synem, byli z Kohylna. Stary Ukrainiec chciał z nami porozmawiać, zapalić papierosa, ale jego syn go nie puszczał, a nawet krzyczał na niego, wyraźnie zły na niego z tego powodu. W końcu jednak stary podszedł do nas i zapytał tatusia o tytoń. Skręcili papierosa i zaczęli rozmawiać. Ukrainiec zapytał tak: „*Ty Rusiecki do miasta nie uciekasz?*”. A tatuś na to: „*A co ja komu wyrządził, żebym zaraz musiał uciekać do miasta?*”. Ten Ukrainiec wtedy powiedział: „*Ja też na razie nie zamierzam uciekać, a może wiecie kto te żydowskie łąki pokosił?*”. Tatuś mu odpowiedział, że w okolicy kosił kto mógł. **Na to Ukrainiec tak powiedział: „To teresiu wszystko wykosił, ale wam to nie będzie już potrzebne.”** Przy czym to ostatnie zdanie powiedział, już sciszonym głosem, jakby się czegoś bał może nie chciał, aby usłyszał to jego syn. Jednak w tym momencie, gdy z nami rozmawiał nie wiedzieliśmy, o co mu chodzi i do czego to przyłożyć. Chociaż nasz tatuś, już się domyślał i my już wyczuwaliśmy, że szykuje się coś niedobrego, coś strasznego.

Wracając z łąk droga do domu, wiodła przez Kohylno i chociaż przeszliśmy całą dużą wieś nie spotkaliśmy, nawet jednej osoby. Gdy już opuszczaliśmy Kohylno tatuś Jan powiedział do nas: „Jednak Had Hadem, już mają zaczepkę!” Po tych słowach spokojnie wróciliśmy do domu na Teresin. Po pewnym czasie wozem przyjechał także brat Leonard oraz Tadeusz Roch, który przyprował konie na pastwisko, aby się pasły przez noc.

Z TYM DNIEM ROZPĘTAŁO SIĘ PIEKŁO

Od tego dnia nasz tatuś miał już złe przeczucia i nie ufał Ukraińcom, spodziewał się że napadną na nasze rodziny. Dlatego postanowił, że tej nocy nie będziemy nocować w naszym domu. Udał się też do naszych sąsiadów do Władysława Ożgi i Aleksandra Świstowskiego, aby zorganizować ucieczkę do lasu. Władek już od pewnego czasu, był poszukiwany przez Ukraińców, już kilka razy przychodzili po niego do jego domu. Przed wieczorem wszyscy załadowali się na wozy i wspólnie wyjechaliśmy do lasu na noc. To była bardzo straszna noc bowiem na początku padał mały deszcz, **ale po pewnym czasie rozpętała się prawdziwa burza. Pioruny waliły mocno, jeden za drugim, aż chwilami było jasno, dzieci płakały, wszyscy przemokliśmy do suchej nitki, lecz nie wiedzieliśmy jeszcze, że z**

tą straszną nocą, na Ziemi Swojczowskiej, niejako symbolicznie rozpętało się najprawdziwsze piekło.

Nad ranem kiedy się uspokoiło, wróciliśmy na kolonię na nasze podwórko. Szybko spostrzegliśmy, że choć drzwi były zamknięte, ktoś wlaźł do domu przez okno. Kiedy weszliśmy do środka wszystko było splądrowane i przewracane. Widać było gołym okiem, że ktoś szabrował w domu, czegoś szukał. Domyśliliśmy się że to byli Ukraińcy, tym bardziej że tak było w każdym domu polskim. Po wojnie dowiedziałam się od Jana Bojko, już w naszym domu w Pasterce na Ziemi Kłodzkiej, że tej nocy kiedy my byliśmy w lesie, on spał u sąsiada Świstowskiego na strychu na sianie. Tam znaleźli go Ukraińcy i zabrali ze sobą, tej samej nocy złapali jeszcze Stanisława Bojko, brata Jana i zawieźli ich aż do Smolarni. Tam nieoczekiwanie powiedzieli do nich: *„Po co my was tu przywieźli, wracajcie do swoich rodzin i powiedźcie niech wszyscy wracają do swoich domów i pracują. Niech robią żniwa, włos im z głowy nie spadnie!”*. Stanisław i Jan wrócili zaraz na naszą kolonię i opowiedzieli wszystko, co im się przytrafiło.

SKRYTOBÓJCZY MORD POD LASEM

Tatus Jan jak zobaczył, co się stało w naszym domu i usłyszał o czym opowiadali także nasi sąsiedzi, powiedział tak: *„Nie ma co dłużej czekać, uciekamy wszyscy do miasta!”*. Tatus zarznął barana i kazał gotować mięso, mamusia doiła krowy, a ja wypędziłam gęsi do lasu na pastwisko. W pewnym momencie brat Leonarko zobaczył na polnej drodze dwóch mężczyzn, jak biegli tylko w samej bieliźnie od strony karczunku od strony lasu, który należał do Żyda Kaca. Zobaczył ich też Kazimierz Bortnowski i krzyknął: *„Ukraińcy biegną z bronią!”*, ale na szczęście tylko tak to wyglądało, bo ci dwaj podpierali się kijami. Zaraz jednak Bortnowski dodał: *„Wiśniewski!”*, przypuszczalnie rozpoznał jednego z tych Polaków. Leonarko czekał na nich, a gdy przybiegli do niego, powiedzieli tak: ***„Bierzcie dusze i uciekajcie, bo my z jamy wyleźli, spod trupów!”***. **Leonard przyjrzał im się i rzeczywiście jeden z nich, był bardzo zakrwawiony. Oni jednak zaraz pobiegli dalej,** dopiero po chwili zatrzymali się już na kolonii i tam jeden z naszych sąsiadów o nazwisku Piotr Ratajczak, podał im tak potrzebne rzeczy.

Potem gdy siostra Leokadia uciekała wraz z innymi, spotkała Ratajczaka, a on mówił do niej tak: *„Durna babo zastanów się, prowadzisz dzieci na nędzę, chcesz je głodem zamorzyć? Przed chwilą dwóch takich bandytów tu leciało, ja im dał spodnie.”*. Nie wiem co się z nim później stało, ale jestem niemal pewna, że został zamordowany bowiem od tej pory nikt, już o nim więcej nie słyszał. Zanim uciekliśmy nasza mamusia spotkała jeszcze jednego uciekiniera, obok naszej obory, on również bardzo potrzebował naszej pomocy i mamusia dała mu spodnie taty. Już w mieście we Włodzimeirzu Wołyńskim brat Leonard opowiadał przy mnie losy tych dwóch, których spotkaliśmy na Teresinie, mówił tak: ***„Ukraińcy około 50 chłopaków wywieźli pod las i kazali im wykopać duży dół, a potem kazali im się rozbierać. Następnie wzięli spośród nich pierwszą grupę, ustawili w szeregu i z broni rozstrzelali, gdy tych pierwszych już zabili, przyprowadzili drugą grupę, tak samo ustawili w szereg i w tej drugiej grupie, było właśnie tych dwóch, oni udali że nie żyją, że też są zastrzeleni, choć nawet nie zostali trafieni. Po nich Ukraińcy rozstrzelali jeszcze jedną taką grupę młodych Polaków, a ich trupy przykryły, tych którzy wciąż żyli. Gdy się trochę uspokoiło, zdołali wyjść spod tej kupy trupów i uciekli.”*** [12] [Całkiem możliwe że jest to właśnie koniec polskiego oddziału partyzanckiego, kwaterującego we wsi Dominopol, dowodzonego przez podoficera, nauczyciela ze Swojczowa Stanisława Dąbrowskiego. Oddział zorganizowany kilka miesięcy wcześniej za zgodą banderowców w nocy z 10 na 11 lipca, zanim doszło do rzezi mieszkańców Dominopola, został podstępnie wyprowadzony pod las i wszyscy

młodzi ludzie zostali zastrzeleni. Koronnym świadkiem zagłady Dominopola, dużej i starej wsi polskiej jest Bronisław Nieczyporowski ps. „Krepy”, żołnierz 27 Wołyńskiej DP AK, a wcześniej partyzant wymordowanego oddziału Stanisława Dąbrowskiego z Dominopla. Z rzezi kolegów młody, krępy Bronisław zdołał, wyratować się dosłownie cudem. Jego osobista relacja o tych wydarzeniach, została uwieczniona **we wspomnieniach państwa Czesława i Heleny Życzko z d. Furtak z kolonii Kisielówka** w pow. Horochów na Wołyniu. Praca ta jest zarazem pięknym źródłem o życiu mieszkańców parafii Narodzenia NMP w Swojczowie oraz znakomitym dokumentem o ludobójstwie banderowców, dokonanym na ludności polskiej w koloniach Kisielówka, Czesnówka i w całej okolicy. Wspomnienia te (41 stron), dostępne są na wielu stronach w tym na stronie naszych braci Czechów: <http://www.sevp.eu/downloads/%C5%BBYCZKO%20CZESLAW%20I%20HELENA.pdf>, Dod. autor opr. S. T. Roch].

BRAK ZAUFANIA DO UKRAIŃCÓW OCALIŁ NAS

Gdy nasz tatuś zobaczył tych dwóch, nawet nie czekał, aż mięso się ugotuje, ale kazał je załadować na wóz i powiedział krótko: „Uciekamy do miasta!”. Po tych słowach ja, Michalinka, Antonina, Leokadia i mamusia oraz wielu innych naszych sąsiadów drogą przez Teresin, udaliśmy się na główną drogę, prowadzącą do Włodzimierza Wołyńskiego. Nikt nas nie zatrzymywał, a w okolicach wsi Włodzimierzówka wyszliśmy na główną drogę i spokojnie dojechaliśmy do miasta. Kiedy już dojeżdżaliśmy do miasta spotkałam Stanisławę Roch lat około 60, która właśnie wracała z jedną kobietą z miasta. Gdy zobaczyła Helenę Rusiecką z d. Roch powiedziała tak: „*Helka co ty robisz, opamiętaj się, gdzie ty dzieci wiesz? Tam nie ma gdzie mieszkać, nie ma nawet wody!*”. A tatuś jej odpowiedział tak: „*Ty opamiętaj się! Rzeka płynie.*”. Tak rozstaliśmy się i pojechaliśmy dalej do miasta. Tam spotkaliśmy jeszcze Halinkę i zamieszkaliśmy w magazynie w piekarni w pobliżu koszar na ulicy Kowelskiej.

Po kilku dniach nasz brat Leonard przyszedł do domu i powiedział tak: „*Helka matka jest tu w mieście.*”. Poszli po nią i przyprowadzili do nas, ale ciotka moja **Amelia Roch**, była z nami tylko trzy lub cztery dni, po czym powiedziała nam wszystkim: „*Ludzie wracają do domów i ja też chcę wrócić na Zastawie. Ja nic Ukraińcom nie zrobiła, tyle lat z nimi żyła i będę dalej żyła.*”. Mój brat Leonard namawiał ją gorąco, aby porzuciła ten pomysł, bo obawiał się o jej i dzieci życie. Ale Amelia zdenerwowała się i powiedziała do niego ostro: „*Ty się do moich dzieci nie wtrącaj. Masz swoje dzieci, to je wychowuj.*”. I dodała zdecydowanie: „*Tadzik idziemy do domu!*”. Wiem o tym bowiem byłam osobiście przy tej rozmowie i słyszałam wszystko. Tadeusz Roch miał wtedy około 21 lat i nie miał ochoty wracać do Kohylna, ale usłuchał się matki i wraz z młodszą siostrą Zosią, która miała około 14 lat, wszyscy wrócili do swego domu na Zastawie. Czy ktoś jeszcze wtedy z nimi wrócił, tego już nie wiem.

W tym czasie wiele rodzin polskich wracało do swoich domów, aby robić zniwa. Podobnie na kolonię Teresin wiele osób wróciło, tak że znowu było tam dużo ludzi, ale z naszej rodziny nikt nie wrócił. Tatuś nasz i my wszyscy nie chcieliśmy tam wracać, gdyż za grosz nie ufaliśmy Ukraińcom. I to nawet pomimo że wielu Ukraińców, nawet nam znajomych, namawiało nas na powrót do domu, mówili zwykle tak: „*A to bujda, że was nasze Ukraińce mordują, my tyle lat przeżyli i dobrze było. A teraz te napady na Polaków, to pojedyncze, osobiste porachunki. Wracajcie spokojnie do domu, będziemy dalej jako wspólnie żyć.*”.

Ukraińcy podawali nawet Polakom ulotki, w których zachęcali do powrotu do rodzinnych chat, obiecywali przy tym jak zwykle spokojne życie na wsi. Wiem o tym dobrze od ludzi z Włodzimierza Wołyńskiego, którzy o tym sobie opowiadali. Przez dwa tygodnie od momentu powrotu wielu Polaków do swoich domów, było w całej okolicy wyjątkowo spokojnie, taka niesamowita cisza, jak to niekiedy bywa przed

straszna nawałnicą. Polskie rodziny robiły wspólnie żniwa, ciężko pracując w skwarze słońca na polach. [13] [Kłamstwo w ustach zdziczałych, zupełnie zdegenerowanych banderowców, było rzeczą normalną. Propaganda ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu, osiągnęła szczyty diabolicznych wprost możliwości. Nie sposób pojąć dlaczego wielu Polaków, po tak bestialskich mordach, jak w Dominopolu, Porycku, Kisielinie, Chrynowie i w wielu innych miejscach, wciąż była skłonna wierzyć banderowskim ulotkom i zapewnieniom o ich dobrych, przyjaznych celach. Właśnie o tym można przeczytać w porażającym liście Bolesława Doleckiego ze Swojczowa do starszego brata Stefana Doleckiego, zamieszkałego w Warszawie. Relację zamieścił w swoich osobistych wspomnieniach, najmłodszy ich **brat Zdzisław Dolecki, po wojnie zamieszkały w Gdańsku**. Jest to zarazem niezwykle przejmujący opis ludobójstwa, dokonanego na ludności polskiej w Swojczowie w nocy z 30 na 31 sierpnia 1943 r.. Poza tym cała historia zesłania Zdzisława na Syberię oraz jego przeżycia w szeregach Armii Polskiej Gen. Władysława Andersa na Zachodzie, ze zdobywaniem Monte Cassino włącznie, aż po prześladowania w powojennej Polsce. Wspomnienia te (21 stron), opublikowane 05 maja 2013 r. można przeczytać na stronie: <http://lubiehrubie.pl/region/wspomnienia-zdzislawa-doleckiego-ze-wsi-swojczow-na-wołyniu> , Dod. autor opr. S. T. Roch].

LUDOBÓJSTWO NA KOLONII TERESIN

Jednego dnia udałam się do kościoła farnego p.w. świętych Joachima i Anny z moją siostrą Janiną na mszę świętą. Gdy przyszyliśmy rano, zobaczyliśmy, że przy Ołtarzu głównym przy barierce klęczy młody mężczyzna w samej bieliźnie. Byliśmy tym bardzo zaskoczone, ale chociaż był tyłem do nas wyglądał nam na Stanisława Krochmala z Teresina. Gdy on się tak modlił ks. Stanisław Kobyłecki udzielił błogosławieństwa kończącego mszę świętą, podszedł i poprosił go na zakrystię. Tam musieli o wszystkim na gorąco rozmawiać. My tymczasem już domyślałyśmy się, że znów był napad polską rodzinę, a może nawet pogrom na całej naszej kolonii i byłyśmy bardzo ciekawe, jak on zdołał uciec z rąk tych zbrodniarzy. Czekałyśmy więc cierpliwie na niego w kościele.

Po pewnym czasie, jakieś pół godziny, Stach wyszedł z zakrystii i wtedy miałyśmy okazję zobaczyć, jak bardzo jest zniszczony na twarzy. Nie ogolony, wychudły na twarzy, a oczy zapadły się głęboko, ogólnie wyglądał na bardzo zmęczonego. Znać było po prostu, że jest skrajnie wyczerpany. Kiedy nas zobaczył z początku nie poznał nas, był wyraźnie zdenerwowany i to my pierwsze musiałyśmy zacząć z nim rozmowę. Pytałyśmy go o ostatnie wydarzenia na Teresinie, jak ocalał z rzezi i co stało się z jego rodziną? Jego pierwsze słowa były bardzo wymowne: „*To straszne! To straszne!*”.

My jednak uprzejmie prosiłyśmy go, nalegałyśmy by powiedział, co się właściwie stało? I chociaż bardzo to przeżywał, powoli przyszedł do siebie i gdy razem opuściliśmy kościół, zaraz jeszcze przy świątyni, zaczął nam na gorąco opowiadać, co się wydarzyło w jego domu, a mówił tak: „*Nad ranem przed wschodem słońca, Ukraińcy napadli na nasz dom. Złapali moją mamę i zaczęli bić na podwórzu. Ja i moja żona Teofila siedzieliśmy w piwnicy na polu, tak że wszystko dobrze widzieliśmy z ukrycia. Fila bardzo kochała moją mamę i nie mogła patrzeć, jak się nad nią znęcają, jak ją tak bezkarnie maltretują. Miała nadzieję, że ponieważ jest w ciąży, to jej Ukraińcy krzywdy jakowejś nie zrobią, więc odważnie wyszła ze schronu. Poszła do nich wprost bronić mamy, wstawić się za nią i prosić o jej ocalenie. Tymczasem Ukraińcy wcale z nią nie rozmawiali, ale od razu zaczęli i ją mordować. Na początek rozkrzyżowali i bestialsko, leżącej na ziemi, wbili jej w brzuch pal, powyżej dziecka. Następnie postanowili jeszcze trochę nią zakręcić i zaczęli obracać ją na tym palu, trzymając za ręce i nogi, zrobili z niej taki kierat. Po kilku nieludzkich obrotach, zostawili tak ciało żony i odeszli. Wszystko to widziałem na własne oczy z ukrycia. Matkę oczywiście też zamordowali. Kiedy ci zwyrodnialcy odeszli, ostrożnie podeszłem do najdroższych mi osób i byłem przerażony, gdy*

zobaczyłem, że te nienarodzone dzieciątko, jeszcze w niej żyło i bardzo się tłukło, bardzo się rzucało. (Staszek w tym momencie się rozplakał i przez gorzkie łzy raz jeszcze dodał) To straszne. To straszne. Ja już nie chcę więcej o tym mówić, a dajcie wy mi spokój.” Zapytałyśmy jeszcze tylko, co się stało z resztą jego rodziny, ale on już tylko krótko rzucił: „A ja nie wiem, chyba wybici, jak nie wrócą!”. Po tych słowach odszedł powoli i już więcej nigdy go nie widziałam. Nie wiem co się z nim potem stało, czy przeżył to piekło wojny i wyjechał do wolnej Polski. Natomiast ja i Janina wróciłyśmy do naszego miejsca zatrzymania.

Pamiętam że to była niedziela, po południu wraz z moją siostrą Michaliną, około godziny 16.00 wybrałyśmy się za miasto w okolice, gdzie był dom starców przed wojną. Tam lubiałyśmy spacerować czasami, tym razem spotkałyśmy Polaka, który był żołnierzem służącym w policji polskiej we wsi Chobułtowa. Miał na imię Zenon lat około 22 i przychodził do mojej siostry Michalinki. To on właśnie powiedział nam: „**Dziś znaleźliśmy dwóch mężczyzn, którzy uciekli z kolonii Teresin, a którą ostatniej nocy napadli Ukraińcy. Wypytywaliśmy ich co się tam zdarzyło, a oni powiedzieli, że Ukraińcy urządzili rzeź Polaków.**”. Zaraz potem rozstaliśmy się, a ja z siostrą szybko wróciłyśmy do naszego tymczasowego domu i zaraz wszystkich poinformowałyśmy o ostatnich, tragicznych wydarzeniach.

W I DZIEŃ PO RZEZI OCALENI NAPŁYWAJĄ DO MIASTA

W poniedziałek rano do naszego domu przy ul. Kowelskiej, ktoś z naszych przyprowadził mieszkankę Teresina Stanisławę Gdyra z d. Brzezicka lat ok. 35. Wraz z nią przysłała pani Krakowiak lat ok. 40 oraz dwoje jej dzieci: Krystyna lat około 10 i chłopiec lat około 6. Wszyscy płakali bardzo i prosili o pomoc dla mężczyzn i tych ludzi, którzy zostali wrzuceni do studni, a którzy może jeszcze żyją. W tej sytuacji nie było czasu do stracenia i ja poszłam z nimi do polskiej żandarmerii w mieście, która powstała pod niemieckim dowództwem. Sądziłam że im pomogę ponieważ miałam tam wielu znajomych żołnierzy. Najlepiej znałam Zdzisława Bieliniak lat 20, pochodził z kolonii polskiej Barbarówka. Dobrze znałam też Fabiana Kuszpita lat ok 21, który pochodził z Zastawia w Kohylnie bowiem wiele razy pasłam z nimi krowy na łąkach. Wielu innych poznałam, już w mieście podczas przelotnych rozmów na ulicach miasta Włodzimierza Wołyńskiego.

Kiedy prowadziłam Staszkę i Krakowiaczkę na ten posterunek one zaczęły więcej opowiadać, co tam się wydarzyło. Mówiła przede wszystkim pani Krakowiak, zagadnęłam ją bowiem tak: „*Toż pani miała więcej dzieci!*”. A ona na to, tak mi wyznała: „*Bolek na Wólce u Ukraińców.*”. Znałam Bolesława Krakowiak, był o wiele młodszy ode mnie, został oddany na służbę do Ukraińca. Chyba został zamordowany bowiem wszelki słuch o nim zaginął. A Krakowiaczka mówiła dalej: „**Dwoje moich dzieci spało w domu, gdy Ukraińcy zaczęli mordować Teresin. Chciałam je budzić, ratować, ale nia miałam już czasu. Czulałam, że zanim je pobudzę, to bandziory złapią nasz wszystkich i pobiją. Pomyślałam sobie, że moje biedne dzieci śpią, to nie będą tak strasznie cierpieć, gdy będą je zarzynać i zdecydowałam się je zostawić, a wzięłam, te które miałam właśnie pod ręką.**”. Krakowiaczka miała za męża Władysława Krakowiak i miała z nim dwanaścioro dzieci, w tym: Jan, Stanisław, Zofia, Tadeusz, Józef, Bolesław, Wiktor, Krystyna, tych pamiętam. Mąż pani Krakowiak zmarł jeszcze przed II wojną światową.

Pani Krakowiak była już zatem wdową i było jej b. ciężko wyżywić i wychować, tak wiele dzieci. Po temu szukała wsparcia i zapewne także związała się w latach wojny z żołnierzem sowieckim, który służył w koszarach w lesie kohyleńskim. Miała z nim nawet jeszcze jedno dziecko, to był chłopczyk lat ok 3, on

także został zamordowany przez zbrodniarzy ukraińskich.

Byłam w tamtym czasie ciekawska i z wieloma ludźmi rozmawiałam, pytając zawsze o to, co się w ich stronach wydarzyło. To było niesamowite, ale w tamtych dniach powstała między nami wielka solidarność, ludzie byli braterscy, chętnie opowiadali sobie o swoich tragicznych przeżyciach, nawzajem współczuli sobie i tak jak mogli, nawzajem jeden drugiemu pomagali sobie. I ja również nie byłam inna, stąd miałam możliwość poznać wielu Polaków i usłyszeć o niejednej tragedii.

Tak więc poszliśmy do żandarmerii, zawołałam jednego chłopaka, a on Zdzicha Bieliniak, ten zaś nas wysłuchał i mówi tak: *„To trochę potrwa, muszę znaleźć dowódcę i opowiedzieć mu wszystko. Ja was rozumiem i chciałbym pomóc, ale ja tu nie decyduję.”*. Gdy on odszedł my cierpliwie czekaliśmy, ale to wszystko bardzo się wydłużyło. Kobiety płakały i jęczały: *„Ale to długo, ale to długo.”*. W końcu przyszedł jeden z żandarmów i powiedział: *„Nie pojedziemy tam, bo mamy inne sygnały groźniejsze.”*. Widać było, jak ciężko było mu nam to zakomunikować. Te kobiety były załamane, zaraz po wyjściu rozeszliśmy się i kiedy wróciłam do domu słyszałam wyraźnie mocną strzelaninę. Wracając spotkałam jeszcze starszego gościa i zaczęliśmy rozmawiać. Gdy dowiedział się, że idę od polskiej żandarmerii, powiedział do mnie tak: *„A i tu nas wytłuką, o jak tam się biją w Iwaniczach. Spotkałem ludzi, którzy mi opowiadali, że jakiś cywil stamtąd uciekł i dał znać o napadzie Ukraińców na naszych chłopaków.”*. Zaraz wróciłam do domu, ale nic nie powiedziałam o napadzie na Iwanicze ponieważ nie chciałam martwić naszej rodziny. Obawiałam się że mamusia będzie bardzo płakała za naszym bratem Leonardem, który tam właśnie służył, wraz z innymi pilnując porządku.

DWA DNI PO RZEZI

Następnego dnia we wtorek wysłałam z moją siostrą Michaliną na koniec ul. Kowelskiej i tam przed południem spotkałyśmy Polaka z Teresina o nazwisku Buczkowski. Wyglądał dość dobrze, ale był załamany i gdy rozpoznałyśmy go, zatrzymałyśmy go i zaczęłyśmy wypytywać, co się wydarzyło w jego rodzinie podczas pogromu. A on odpowiedział tak: *„Cała moja rodzina poszła i z sześciu osób, tylko ja jeden został. Ojej po co ja jeden został?”*. To ja powiedziałam wtedy: *„To niech pan idzie do nas.”*. Ale on odpowiedział, że pójdzie do Buczkowskich, że to jego znajomi w mieście. I w tym momencie rozstaliśmy się, nie miałyśmy odwagi, już więcej go wypytywać, taki był cały roztrzęsiony.

Wróciłyśmy do domu i jak zwykle opowiedziałyśmy, kogo spotkałyśmy, a wtedy nasza siostra Janina opowiedziała, że do miasta przyszła także jej teściowa Topolanek wraz ze swoimi dziećmi. Ona tak jak wielu innych Polaków z Teresina, zdołała wcześniej uciec z całą swoją rodziną do miasta, ale potem uwierzyła w kłamliwą propagandę oraz w ukraińskie zapewnienia. A raz jeszcze wspomnę, że Ukraińcy dwoili się, a nawet troili, aby przekonać polskich uciekinierów, że już będzie spokojnie na wsi, że już nie będzie żadnych innych morderstw na Polakach. Zatem Topolankowa raz jeszcze dała wiary w te wieści i wróciła z miasta na naszą kolonię z całą swoją rodziną. Tym bardziej, że potwierdzała to jej córka Weronika, która miała kontakty z młodymi Ukraińcami, którzy przyjeżdżali konno na Teresin. Z relacji i zapewnień, w całej okolicy rzeczywiście było bardzo spokojnie, a banderowcy wciąż ogłaszają na lewo i prawo: *„Niech ludzie śmiało pracują i nieczego się nie obawiają.”*. I Józefa Topolankowa oraz wiele innych rodzin polskich, tak właśnie dało się namówić, by wrócić do swoich gospodarstw na żniwa. Janina powiedziała także: *„Jeszcze z nimi nie rozmawiałam, ale potem pójde do Warzechy i dowiem się dokładnie, co się w ich rodzinie dokładnie wydarzyło i jak przeżyli ten*

straszny napad.”. Zaraz przyszła też do domu bratowa Helena i powiedziała: „*Trochę uciekają ludzie, podobnoż i Kukulki zdolali uciec.*”.

TRZY DNI PO RZEZI

Trzeciego dnia, już rano w środę wstałam i znowu z siostrą Michaliną wybrałyśmy się na koniec ul. Kowelskiej. Liczyłyśmy na to, że znowu spotkamy kogoś uciekającego z Teresina. I rzeczywiście, spotkałyśmy małą dziewczynkę, która była bardzo zapłakana, cała rozmazana i widać że głodna. Zatrzymałyśmy ją bowiem poznałyśmy, że to Leokadia Buczkowska lat około 6. Zaraz zaczęłyśmy z nią rozmawiać, ale ona nas nie poznała i bardzo się bała. My natomiast bardzo się ucieszyłyśmy i postanowiłyśmy zabrać ją do jej tatusia. Kiedy już tam szłyśmy, mała Lodzia bardzo wystraszona, wciąż pytała nas, gdzie my teraz idziemy. Nie potrafiła zrozumieć, że jej tata wciąż żyje, płacząc powtarzała w kółko: „*Ja nie mam taty, ja nie mam taty, puść mnie.*”. **My jednak zprowadziłyśmy ją do Buczkowskiego, a gdy jej ojciec zobaczył ją bardzo się ucieszył, ale nawet wtedy mała Lodzia nie rozpoznała swojego tatusia w tak wielkim szoku, było to małe dziecko.**

Tak ich razem zostawiłyśmy i jeszcze przez jakiś czas kręciliśmy się po mieście z nadzieją, że znów kogoś spotkamy i może jakoś pomożemy. I rzeczywiście spotykałyśmy różnych naszych znajomych, a ci mówili nam, że trochę ludzi z Teresina się wyratowało. Dowiedzieliśmy się dla przykładu, że do miasta przybyła rodzina Świstowskich. Potem wróciliśmy do domu i pisałyśmy listy do Romka Rocha oraz do innych chłopaków, którzy także i z naszej kolonii, byli zabrani na przymusowe roboty do III Rzeszy Niemieckiej.

NA CZWARTY DZIEŃ PO RZEZI

W czwartek rano podobnie, jak i w poprzednie dni, zjadłyśmy śniadanie i razem z Michaliną, udałyśmy się na koniec ul. Kowelskiej. Tym razem przed południem spotkałyśmy panią Buczkowską, Polkę z Teresina. Była cała zapłakana i bardzo zniszczona, uderzało w niej ogromne przygnębienie. Dziś wydaje mi się, że trzeba by było cały miesiąc sprawiać drugiemu, poważne przykrości, żeby przywieźć człowieka do takiego stanu. Podeszłam do niej i objęłam ją za szyję, przytuliłam mocno z drżeniem i powiedziałam: „*Pani Buczkowska.*”. A ona nie poznała mnie i zapytała: „*A kto to?*”. Rzekłam: „*Nie poznała pani? My do Olesi przychodziliśmy. Pani przecież nas, tak dobrze zna.*”. **Ale ona się do nas nie odzywała, tylko szła dalej milcząca za nami, a my ją prowadziłyśmy do jej męża i córeczki. Kiedy przyszłyśmy na miejsce, mąż ją od razu rozpoznał i zawołał na nią po imieniu, ale ona go nie rozpoznała, tak głęboki szok przeżyła, że była jakby wciąż nieprzytomna, jakby nieobecna.** I tym razem my wyszłyśmy spiesźnie.

Jeszcze przez jakiś czas chodziliśmy po mieście, spotykałyśmy ludzi z okolic wsi Sielec. To była polska rodzina, trochę nam znajoma, ale nie pamiętam ich nazwiska. Pochodzili ze wsi Chmielówka. Widziałyśmy ich, ale nie rozmawiałyśmy z nimi, ponieważ gdzieś dalej pojechali furmanką, a my z Michaliną zaraz wróciliśmy do naszego miejsca pobytu.

Tego samego, czwartego dnia, po pogromie na naszej kolonii Teresin, wyszłam na miasto jeszcze raz. Tym razem z bratową Helenką, która dowiedziała się dzisiaj od kogoś, że Janek Brzezicki przeżył pogrom, uciekł i jest w mieście na ul. Farnej. Helena bardzo chciała się z nim zobaczyć bowiem Jan Brzezicki, był jej szwagrem. Janek pochodził z Teresina, jego ojciec miał na imię Michał i również pochodził z Teresina. Janek wziął sobie za żonę Kazimierę Roch z Zastawia, córkę Władysława Roch i jego pierwszej żony Stanisławy.

Ślub Jana Brzezickiego i Kazimieri Roch odbył się około roku 1934 w kościele w Swojczowie. Młodzi zamieszkali w domu rodziców Jana na kolonii Teresin. Przez sześć lat nie mieli dzieci, aż w końcu w 1940 r. urodziło się pierwsze ich dziecko, córeczka Halinka, a w roku 1943 Kazimiera znów spodziewała się dziecka, była w stanie błogosławionym. Szczęśliwego rozwiązania spodziewano się właśnie we wrześniu. Jakżesz inaczej, tragicznie potoczyły się tymczasem losy ich rodziny.

Ponieważ Helena Rusiecka nie umiała czytać, poprosiła mnie o pomoc i poszliśmy razem. I rzeczywiście w jednej z kamienic, przy ul. Farnej znaleźliśmy Janka. Był sam i płakał, mocno przeżywał tragedię swojej rodziny. Przywitałyśmy się i usiłowałyśmy mu współczuć. Helena zapytała: „*Ty sam? A gdzie Kazia?*”. A on dopiero po chwili, wydusił z siebie tak: „*Stało się, ja sam, nie wiem, jak to się stało!*”. I po chwili zaczął nam opowiadać, co zaszło w jego rodzinie, podczas napadu Ukraińców na kolonię Teresin, mówił zatem tak: „*Tego ranka mnie i innych obudziło szczekanie psów oraz inne podejrzone głosy. Na naszej kolonii, coś się działo niedobrego. Powstawaliśmy wszyscy i wyraźnie zaniepokojeni nie wiedzieliśmy co robić, wahaliśmy się, czy zostać w domu, czy natychmiast uciekać. Wtedy zobaczyliśmy, że u naszych sąsiadów, u Kasperskiej Sabiny i u Bojków jakiś taki ruch, taka bieganina. Wtedy powiedziałem zdecydowanie: ‘Nie ma na co czekać, uciekamy. Prędkiej! Prędkiej!’.* Wybiegliśmy za nasz dom do lasu (do lasu przez drogę było około 50 metrów). Przebiegłem zatem tę odległość, obejrzałem się za siebie, a żony już nie było. Nawet nie wiem, w którym momencie się od nas odłączyła, zacząłem jej szukać po krzakach. **A wtedy moja rodzona siostra Eugenia powiedziała do mnie: ‘Patrz ona pod domem!’.** **I wtedy spojrzałem w kierunku naszego domu i zobaczyłem wielu Ukraińców na naszym podwórku.** *W tym momencie odruchowo upadłem na ziemię, gdyż bardzo się obawiałem, by nas rezuny nie wypatrzyły, ukrytych w tym lesie. Leżeliśmy w tych krzakach i nasłuchiwaaliśmy, co się dzieje. Po chwili usłyszałem ja i inni, straszny krzyk mojej córeczki Halinki lat 3. Dziecko bardzo piszczało. Słychać też było jęki starszych osób. Nagle usłyszałem krzyk którejs z kobiet: ‘O Jezuu!’.* **Ale głos ten był nieco stłumiony, tak że nie poznałem, czy to moja żona, czy matka krzyczała.** *W domu byli także moi rodzice, tatuś Michał i mamusia. W tej sytuacji, widząc co się dzieje, że mordują moją rodzinę, a nie widząc żadnych szans na pomoc, zaczęliśmy chyłkiem uciekać w głąb lasu, a potem kierowaliśmy się na Włodzimierz Wołyński. Tak dotarliśmy do miasta. Razem ze mną przez las uciekała moja siostra Eugenia, jej mąż Jan Gdyra oraz kilka innych osób.”.* Tak jego świadectwo się zakończyło.

Widać było, jak Jan cierpiał i męczył się, gdy nam to wszystko opowiadał. Dlatego nie siedziałyśmy za długo, pożegnałyśmy się i wróciłyśmy do domu. Potem długo się z nim, już nie spotkałam. Dopiero po wojnie, latem 1946 r. pojechałam z bratową Heleną, by go raz odwiedzić. Mieszkał we wsi Ossa koło Hrubieszowa. Rozmawiałyśmy z nim, ale niechętnie wspominał tamte czasy, wciąż bardzo przeżywał to, co się stało na jego oczach, podobno nie mógł odżalować utraty swojej rodziny. Gdy potem jego towarzyszka życia, pokazywała nam swój ogród, właśnie wtedy powiedziała nam, te znaczące słowa: „**Janek wciąż wspomina swoją pierwszą żonę, chodzi i często powtarza: ‘Moja pierwsza żona. Moja pierwsza żona.’**”. Potem się roztaliśmy i już go więcej nie spotkałam.

W czwartek wieczorem spotkałam też swoją koleżankę Antoninę Wawrynowicz, która zamieszkała po ucieczce z Teresina również na ul. Kowelskiej. Właśnie ona powiedziała mi, że spotkała Lutkę, a ja od razu wiedziałam, że to chodzi o Lucynę Wesołowską, która mieszkała na Teresinie, ale już przy samym lesie blisko

miejsca, gdzie Sowieci mieli swoje wille, całe piętrowe domy z drzewa. Tam właśnie były też cztery piętrowe studnie i właśnie do tej najbliższej położonej domu Wesołowskich, wrzucono pięciu mężczyzn, w tym Stanisława Gdyrę lat 31. O tym mówiła mi sama Staszka.

Na drugi dzień ja i Antosia poszliśmy do tej Lutki, mieszkała w pożydowskim domu. Przywitałam się z nią i spytałam: „*Jak to wy uciekli, a gdzie wasz tatuś?*”. A ona odpowiedziała tak: „*Durny był i zginął!*”. I mówiła dalej: „*Mój tatuś był na naszym podwórku, gdy nagle usłyszał wybuch granatu, zaraz tam pobiegł zobaczyć, co tam się stało i zginął.*”. Słuchała tego mama Lutki i dodała: „***Widziałam jak Walka złapali Ukraińcy przy studni, bez żadnych ceregieli wrzucili go tam także i zaraz był drugi wybuch granatu. Przestraszyłam się bardzo i zaraz z córką, uciekłyśmy w zboże, a potem przez błota i do miasta.***”. Spotykałam się z nimi potem w mieście, a po wojnie gdy one zamieszkały w Hrubieszowie, jeszcze przez pewien czas się z nimi widziałam.

PIĄTY DZIEŃ PO RZEZI

W piątek po śniadaniu ja i moja bratowa Helena Rusiecka, poszliśmy przed południem, odwiedzić rodzinę Buczkowskich. Zastaliśmy ich w domu, ucieszyli się, jak nas zobaczyli. My poprosiliśmy, aby nam opowiedzieli, co się tam na Teresinie wydarzyło. Zgodzili się i choć pani Buczkowska bardzo płakała, opowiedzieli nam, jak doszło do tej wielkiej tragedii oraz jak ona przebiegała. Zaczęła Buczkowska i wspominała tak: „*Robiliśmy spokojnie żniwa, życie płynęło spokojnie i nikt nas nie zaczepiał. Nawet nikt nas specjalnie nie nachodził, tak było każdego dnia i nic, naprawdę nic nie zapowiadało, żeby w najbliższym czasie miało dojść do tak wielkiej i strasznej tragedii. W ostatni dzień przed rzezią na naszej kolonii, to jest w sobotę pracowaliśmy, jak dotychczas cały dzień, był to piękny, słoneczny dzień. **Ponieważ tego dnia zakończyliśmy wszyscy żniwa, Ukraińcy urządzili na naszej kolonii, prawdziwą zabawę. Dziś możnaby powiedzieć, jakby takie dożynki z okazji zakończenia lokalnych żniw. Była orkiestra i tańce, a jakże. Poza tym każdy otrzymał po kawale mięsa z zarżniętej na tę okazję jałowki. Mniejsza rodzina otrzymywała 1 kg mięsa, a większa 2 kg mięsa.***

Zabawa była w środku kolonii (chyba u Omańskich w domu) i trwała do późnych godzin wieczornych. Ja nie byłam na tej imprezie, ale chodziła tam nasza córka Aleksandra lat około 20, potem w domu opowiadała nam co tam było. Ponieważ nie bardzo lubiła takie imprezy, to dość wcześnie wróciła do domu, mimo wszystko nie mieliśmy do Ukraińców zaufania, a ja sama jakoś nie miałam dobrych przeczuć. Dlatego i tej nocy nie nocowaliśmy w domu, ale jak w poprzednie dni, kryliśmy się w swoich wybranych kryjówkach. Każdy miał jakiś swój ką, gdzie się zwykle na noc chował. W domu została tylko moja teściowa Buczkowska lat około 70. Ja ukryłam się w stodole.”

W tym momencie mała Lodzia zaczęła opowiadać, gdzie pochowały się dzieci, mówiła tak: „*Moje siostry Eugenia i Aleksandra, tej nocy spały na małym stryszku (Adela Roch domyślała się w tym momencie, że tak jakby nad chlewnią lub kurnikiem). Ja byłam schowana, tuż obok za ścianką. Tam spałyśmy całą noc, gdy już było widno, usłyszałam jak moja siostra Olesia mówi tak: ‘**Moją babcię biją Ukraińcy.**’. A potem była już cisza. Olesia poszła na dół bronić babci, chyba Gienia też pomyślała, że we dwie to babcię szybciej obronią i też zeszła sama na dół przed dom. I wtedy dopiero usłyszałam straszne krzyki i piski na naszym podwórku.*

Razem ze mną była ukryta Wiktoria Sobolewska i ona powiedziała do mnie: ‘Cicho! Cicho siedź!’. I ja pomimo tych strasznych pisków moich sióstr, siedziałam

dalej cicho w ukryciu. Potem wszystko ucichło. Wikcia pobiegła do swojego domu zobaczyć, czy i tam jeszcze ktoś żyje, a ja nadal siedziałam w ukryciu. Potem wyszłam z domu i płacząc szukałam swoich z rodziny. Wołałam koło domu mamusię i tatę, ale nikt się nie odzywał. Potem chciałam kogokolwiek spotkać na naszej kolonii, ale nie było żywej duszy. A ja płacząc szłam drogą, aż wyszłam na pola i dalej szłam przed siebie, ponieważ kiedyś słyszałam od ludzi, że trzeba uciekać do miasta. Wiedząc że gdzieś to miasto musi być, tak szłam i go szukałam. Po drodze zmęczona usnęłam w zbożu, potem szłam dalej, aż doszłam do miasta.” [14] [W rzeczywistości, było trochę inaczej z tym dotarciem do miasta. Mała 10 letnia Lodzia po rzezi, została przygarnięta przez starszą Wiktorię Sobolewską i razem z nią oraz innymi osobami, dotarła szczęśliwie do miasta. Jest to dokładnie opisane we wspomnieniach pani Wiktorii Baumgart z d. Sobolewska z kolonii Teresin na Wołyniu oraz przez samą panią Leokadię Miedzianowską z d. Buczkowska. Oto adres tych wspomnień: <http://wolyn.btx.pl/index.php/wolyn-wola-o-prawde/466-wspomnienia-wiktorii-baumgart-z-kolonii-teresin-pow-wodzimierz-woyski-na-woyniu.html> . W pierwszych dniach po rzezi ludzie zwyczajnie bali się, nie ufali już nikomu i niektóre epizody, zwyczajnie ukrywali, by nie narażać swoich wybawicieli i dobroczyńców. Wspomnienia te (16 stron), są wprost bezcennym dokumentem o ludobójstwie, dokonanym przez ukraińskich chłopów z OUN - UPA na niewinnej ludności polskiej Teresina i w całej okolicy. Dod. autor op. S.T. Roch].

W tym momencie ja ją zapytałam: „A teraz Lodzia wiesz, kto ja jestem?”. A ona na to: „Ta co przychodziła do naszej Oleśki od Rusieckich.”. Ja w tym momencie zapytałam: „A jak pani Buczkowska, tyle dni głodna wytrzymała? Co pani jadła w tych dniach, czym się żywiła i gdzie?”. A ona odpowiedziała tak: „A ty myślisz, że chce się jeść, tylko wody mi się chciało pić.”. I opowiadała dalej tak: „Siedziałam w ukryciu cały dzień i całą noc, a potem wyszłam ze stodoły i poszłam za dom, ponieważ widziałam tam świeżą ziemię. Podeszłam tam bliżej i zobaczyłam, że leży tam dużo rąk. W tym momencie ogarnął mnie wielki żal myślałam, że tam wszyscy moi bliscy, zakopani leżą. Więc wyruszyłam piechotą do wsi Gnojno, gdzie był sztab ukraińskiej bandy. Przyszłam do Gnojna i od razu skierowałam się do Ukraińców, którzy tam stali i mówię do nich tak: ‘Jak wybiliście mi całą rodzinę, to i mnie zabijcie!’. A drugi Ukrainiec zobaczył mnie i pyta się: ‘A co ona chce?’. Na to ten co ze mną rozmawiał rzekł krótko: ‘Przyszła i chce, żeby ją zabić.’. A do mnie zaraz dodał: ‘Ty durnaja, kto was tam bijut? Wszystkie do miasta wtikajut. Idź tam do Środy, tam jeszcze oni jest.’.

W tej sytuacji postąpiłam tam chwilę i widząc, że on się ze mnie śmieje, a mnie wcale nie rusza, poszłam więc z powrotem na naszą kolonię Teresin do sołtysa Środy. Gdy przyszłam na jego podwórko, zobaczyłam kilku uzbrojonych Ukraińców, jak tam sobie chadzali, przeszłam tuż obok nich, ale nie rozmawiałam z nimi, a oni o dziwo nie zaczepiali i mnie. Widząc, że nie ma tam innych ludzi, poszłam przez Karczunek na Włodzimierz Wołyński. Tak spokojnie doszłam do samego miasta przez nikogo nie czepiana, dopiero tu spotkałam was. To chyba wola Boża, tak mnie kierowała.”.

W tym czasie jej mąż przysłuchiwał się nam, a kiedy ona skończyła opowiadać rzekł: „Popatrz my byli w jednej stodole ukryci i o sobie nic nie wiedzieli.”. Po tych słowach Buczkowska zaczęła wspominać swojego syna Augustyna, którego Niemcy zabrali razem z Romkiem Rochem na roboty. Mówiła wtedy: „Może przynajmniej on przeżyje. Pan Bóg mnie pokarał, bo ja chciałam, żeby Gucio został w domu, a Oleśka i Gienia pojechały za niego.”. Podczas całego tego opowiadania płakała i co chwilę lamentowała. Widząc jak bardzo to przeżywa, pożegnałyśmy się z nimi i wróciłyśmy do naszego domu.

RAZ JESZCZE O ŚWIĘCENIU KOS NOŻY I SIEKIER

W pierwszej części wspomnień opowiadałam, jak świadkiem święcenia ostrych narzędzi przez popa w Kohylnie, była zupełnie nieświadomie i przypadkowo

Jozefa Pieczonka z d. Roch. Okazuje się że takich upiornych zdarzeń na Wołyniu, było niestety znacznie więcej. Podobny przypadek miał miejsce we wsi Chmielówka, gdzie mieszkała nasza babcia Petronela Kalinowska. Opowiadała mi o tym moja cioteczna siostra Wanda Kalinowska, którą spotkałam we Włodzimierzu Wołyńskim, jeszcze przed wyjazdem do Polski mówiła tak: „*Ja wyjechałam wcześniej z mojej wsi Chmielówka bowiem mój mąż Jan Kalinowski dowiedział się, że Ukraińcy planują go zamordować i wtedy po prostu uciekliśmy. Tymczasem męża siostra Felicja Białaniec została tam i gdy zaczął się pogrom, zdołała wydostać się z matni ryzunów wraz z trójką swoich dzieci. A uciekając do miasta, jeszcze we wsi w ogrodzie, znalazła ranne niemowlę i zabrała ze sobą. Mówiła także, że widziała wcześniej, jak pop prawosławny święcił ostre narzędzia w ich wsi, przy wodzie.*”. W tym momencie podeszła do nas właśnie Felicja Białaniec i słysząc o czym rozmawiamy, potwierdziła mówiąc: „*Tak tak ja widziałam to na własne oczy!*”.

W mieście w tamtych dniach pełnych bólu i łez mówiło o tym wielu ludzi. Pamiętam, że powszechnie mówiło się, że popi prawosławni święcili przed rzezią wołyńską ostre narzędzia. I gdy potem rozpały się na Wołyniu czerwone nocy oraz rozpętało się banderowskie piekło, wielu ludzi sądziło, że to właśnie było święcenie kos, noży i siekier na rzeź Polaków. I choć nikt nie miał oczywistych dowodów, powszechne były takie domysły właściwie w każdym kresowym sercu.

Kilka dni wcześniej Felicja osobiście opowiadała mi tę dramatyczną historię bowiem spotkałam ją właśnie, gdy sponiewierana dotarła do miasta z wymordowanej Chmielówki. Gdy wjechała na nasze podwórko w mieście, zaraz ją wszyscy okrążyliśmy i wypytywaliśmy, co się u nich wydarzyło. A ona zaczęła tak nam opowiadać: „*Rano wstałam i wyszłam na swoje podwórko i wtedy zobaczyłam, jak z sąsiedniej wsi ucieka w wielkiej trwodze wielu ludzi. Natychmiast domyśliłam się, że tam już banderowcy mordują niewinnych Polaków. Szybko wróciłam do domu, pobudziłam swoje dzieci, tak jak były i wrzuciłam z pościelą na wóz i od razu uciekałam, co koń wyskoczy do miasta. Po drodze zobaczyłam w jednym z ogrodów naszej już wsi ciało zabitej matki oraz malutkie dziecko, które stało przy matce i b. płakało. Zatrzymałam się i choć b. się bałam, dobiegłam do niego, było ranne w głowę czymś ostrym i krwawiło. Złapałam to dziecko i już razem uciekaliśmy do miasta.*”. Felicja jeszcze przez jakiś czas mieszkała z dziećmi w mieście, a potem już nie wiem co się dalej z nimi stało. To biedne dziecko sierotę, zabrała jakaś miejscowa kobieta mówiąc: „*A to ja wezmę to dziecko i zaniosę do szpitala.*”. [15] [Jeśli takie rzeczy się działy pod słońcem nie można się dziwić, że opętani potem banderowcy, dokonywali wprost barbarzyńskich mordów, nawet na wiernych, zgromadzonych w kościołach i kaplicach, podczas trwającego nabożeństwa. Otóż wierne świadectwo z tych „*bohaterskich zapustów*”, spisał naoczny świadek ludobójstwa pan Zygmunt Abramowski, ministrant przy Ołtarzu i uczeń gimnazjum, wówczas 18 lat, b. mieszkaniec Chrynowa. Relacja ta została ujęta we **wspomnieniach pani Wiesławy Danuty Nowackiej z d. Sądło z kolonii Bolesławówka na Wołyniu**. Pani Wiesława jeszcze jako małe dziecko jest także naocznym świadkiem, do jakiego stopnia nienawiść banderowców do Polaków, Żydów, Rosjan, Ormian i innych mniejszości, zatrała skutecznie serca, nawet ludzi wysoko wykształconych, w tym lekarza z Włodzimierza Wołyńskiego. Wspomnienia te (7 stron), opublikowane 02 lipca 2012 r. na stronie ks. Tadeusza Isakowicza – Zaleskiego pod tytułem: „*Masakra wiernych w kaplicy w Chrynowie*”, są dostępne dla zainteresowanych, tą tematyką pod adresem: <http://www.isakowicz.pl/index.php?page=news&kid=121&pkid=126&nid=6383>, Dod. autor opr. S. T. Roch].

JAK STOLARUK HOWNO SPOD RZEŹNICKIEGO NOŻA WYPUŚCIŁ

Nadal mieszkalam wraz z moimi najbliższymi we Włodzimierzu Wołyńskim, ale już więcej nie spotkałam ludzi, którzy uciekli z Teresina, a którzy opowiadaliby mi osobiście swoje przeżycia. Tylko moja mamusia Zofia opowiedziała mi w

pierwszych dniach po rzezi losy Heleny Brzezickiej, mówiła tak: „*Helena Brzezicka tak jak inni na naszej kolonii ukrywała się po nocach przed Ukraińcami. Pomyślała sobie, że Ukraińiec Stolaruk jest kumotrem (ojcem chrzestnym) jej dziecka, to była dziewczynka (kilku miesięczne dziecko), to nie robi jej krzywdy i może nawet u niego będzie bezpiecznie. Dlatego zaczęła chodzić do niego na noc i tam się ukrywać. Chodziła tam cały tydzień. Jednej nocy znów przyszła się skryć na noc. Weszła do chaty, a jej niemowlę, dostało jakiś konwulsji, zaczęło się rzucać jej na rękach, miało tak mocne drgawki, aż nim całym rzucało, jak piłka do góry. Helena się przestraszyła, a Ukrainka, żona Stolaruka również przerażona zapytała: ‘Helka a było jemu kiedy tak?’.* Na to Brzezicka: ‘*Nie! Ja nie wiem, co się z nią dzieje.*’.

Wtedy jakby jej się oczy otworzyły i zobaczyła, że Stolaruk ostrzy taki duży nóż. I nic się ani słowem nie odzywa, nawet na nią nie patrzy, tylko ten nóż dalej ostrzy. Helena tak wspominała te chwile: ‘Coś mnie tknęło i ogarnęło mnie straszne przeczucie, że chce mnie i dziecko dziś zamordować. Położyłam dziecko na stole, a ono dalej się rzucało. Ja już dłużej nie czekałam, ale rzuciłam się mu do nóg i zaczęłam bardzo go prosić, błagać tymi słowami: - Stolaruk, Stolaruk, co ty chcesz z nami zrobić, daruj nam życie, toż to twoja chrześnica!’. - A on ani słowem się do mnie nie odezwał, tylko robił dalej swoje. To ja nie rezygnuję i całuję go po nogach i rękach. On mnie odepchnął i znów słowa nie powiedział. *W tym momencie podeszła do męża Stolarukowa i powiedziała krótko: - w domu nie! – Wtedy ja zrozumiałam, co mnie tu ma spotkać. Byłam już niemal pewna, że chcą nas tu dziś zarżnąć. To Stolaruk i tym razem nic nie powiedział.*

*Ledwie ona odeszła, a przyszedł syn Stolaruka lat około 23, który w tym czasie był już od pewnego czasu w ukraińskiej bandzie w lesie. Wszedł do domu, a Stolaruk nawet z nim nie rozmawiał tylko od razu: – o Wołodka – . A jego syn od razu opowiedział znacząco – nie budu – i wyszedł z domu. *A ja cały czas klęczałam, koło niego, wcale nie wstawiałam, wtedy on w końcu rzekł do mnie: - Helka zabieraj to howno i żebym ja cię tu więcej nie baczył! - . Wtedy złapałam swoje niemowlę i wyszłam prędko z domu na podwórze, chwilę się zatrzymałam, a potem poszłam przed siebie.*’.*

Helena opowiadała także, że poszła przez bagna i dalej przed siebie, aż znaleźli ją chłopcy z polskiej policji, która stała we wsi ukraińskiej Chobułtowa. Oni to udzielili jej pomocy i skierowali ją do miasta Włodzimierz Wołyński. Tam z kolei spotkała swoją rodzinę, swoją mamę o nazwisku Siuch oraz swojego męża Józefa Brzezickiego. Matka zaopiekowała się dzieckiem, a ona została odprowadzona do szpitala bowiem była na skraju wyczerpania psychicznego. Tam jednak odzyskała swoje siły i choć jeszcze przez parę miesięcy, dochodziła do pełnego zdrowia, to jednak było z nią coraz lepiej.”.

Rodzina Siuchów była polska i pochodziła ze Swojczowa. Nie wiem co się potem z nimi wszystkimi stało, w każdym razie przeżyli wojnę i wyjechali do Polski, podobno zamieszkali gdzieś w Hrubieszowskim. Historię tę znam od mojej mamusi Zofii, która osobiście rozmawiała z mamą Helki, zaraz jeszcze we Włodzimierzu Wołyńskim. W kontekście powyższego warto wspomnieć i to, że gdy jeszcze mieszkaliśmy na Teresinie, dowiedziałam się od naszych sąsiadów, iż raz u pewnego właśnie Stolaruk miał wyznać: „*Mobilizacja, mój poszedł do lasu.*”. Naturalnie każdy kto słyszał te słowa, już wiedział, gdzie poszedł i do jakiej armii. Nie trzeba było się więcej pytać.

DZIELNA ŻONA GAJOWEGO STEFANOWICZA

Jeszcze we Włodzimierzu Wołyńskim, już było około miesiąc po pogromie na

kolonii Teresin, spotkałam panią Stefanowicz. To była Polka z Teresina, żona gajowego Alberta Stefanowicza, mieszkali na naszej kolonii. Zapytałam ją gdzie się urodziło jej malutkie dziecko, a ona zaczęła opowiadać losy tego noworodka. Mówiła tak: „*Dziecko urodziło się, tuż przed pogromem. Kiedy usłyszeliśmy, że Ukraińcy napadli na Teresin i już mordują ludzi, szybko naradziliśmy się w domu co robić. I wtedy mój mąż powiedział tak: ‘To maleństwo trzeba zlikwidować bowiem podczas ucieczki, zdradzi płaczem nas wszystkich i zginiemy wtedy wszyscy.’. Ale ja stanowczo się sprzeciwiłam, mówiąc: ‘W żadnym wypadku, to moje dziecko. Najwyżej i ja zginę razem z nim! Wy idźcie przodem, a ja będę szła za wami.’. I tak się stało. Szłam za nimi i nawet kilka razy się przewróciłam, bo było ciemno, gdy jednak szczęśliwie dotarłam do miasta, okazało się że dziecko jest całe i zdrowe. Zatem pomimo tych upadków, nic mu się nie stało, mało tego przez całą drogę nie płakało i dopiero w mieście zaczęło trochę płakać.”.*

LOSY RODZINY BOJKO

Gdy już mieszkalam z moim mężem Romanem we wsi Pasterka, gm. Radków, poszłam raz na spacer z dziećmi do wsi Karłów, gdzie była ładna reustauracja. Przyjeżdżało tam wiele wycieczek. Przypadkowo spotkałam Jana Bojko z Teresina, syna Mikołaja i Marii z d. Szwarz. Ucieszyliśmy się i zaczęliśmy rozmawiać, wspominając tamte życie na Wołyniu. Mówiąc o tamtej tragedii, powiedziałam tak: „*Ja nie ufam chłopom, bo jak to może być, że oni nie pilnują żony i dzieci, tylko myślą o sobie!*”. A on sądził chyba, że ja to mówię odnośnie Antoniego Bojko, jego rodzonego brata, który ocalał podczas rzezi na Teresinie. Przy czym żona Antoniego, miała na imię Maria z d. Janiszewska lat ok. 30 oraz dwoje jego dzieci: chłopczyk lat ok 4 i dziewczynka lat ok 2, wszyscy zostali zamordowani przez ukraińskich siepaczy w swoim domu na Teresinie. Zatem Jan powiedział od razu tak: „*Nie trzeba tak myśleć, bo Antoni w ostatniej chwili wyskoczył oknem z domu.*”.

Wiedziałam o śmierci Marysi Bojko i jej dzieci już wcześniej, około tydzień po pogromie spotkałam gdsieś we Włodzimierzu Wołyńskim moją koleżankę Helenę Bojko, rodzoną siostrę Jana i Antoniego. Zapytałam ją z ciekawością: „*Kto z waszej rodziny się uratował?*”. Ona odpowiedziała mi wtedy tak: „*Wszystkie nasze przeżyli i nawet Antoś uciekł, tylko moją bratową Marysię i jej dzieci zamordowano oraz naszego ojca Mikołaja lat ok. 60.*”. Ponieważ na nią właśnie ktoś czekał, umówiliśmy się później i tak się rozstałyśmy. Jeszcze wiele razy się z nią widziałam w mieście, ale do tamtego tematu, już więcej nie wróciłyśmy.

Rodzina Bojków wojnę przeżyła i wyjechała do Polski. Najstarsza z rodzeństwa Wiktoria, zamieszkała z mężem Mieczysławem Zielińskim w Kałowie u podnóża Gór Stołowych. Helena zaś zamieszkała w Karłowie, ale już pomarła i jest pochowana na cmentarzu w Radkowie.

PRZEZ LUFE PATRZYŁAM SZWABOWI PROSTO W OCZY

Od końca sierpnia Niemcy dość często zabierali mnie, siostrę Halinkę oraz Janinę Dubiel do kopania okopów dla wojska niemieckiego. Niemcy chodzili po domach i spisywali, wyznaczając ile osób ma z danej rodziny iść do roboty. Kopaliśmy w różnych miejscach, głównie wokół miasta Włodzimerz Wołyński. Jednego razu za Jankę, pojechała moja bratowa Helena. Kiedy skończyłyśmy już kopać i właściwie był już fajrant, stałam z dziewczynami nad okopem, a właśnie przechodził obok niemiecki żołnierz. Nie wiem dlaczego, ale chyba dla żartów Niemiec pchnął mnie do dołu, tak że wpadłam, ale na szczęście nic mi się nie stało. Nie wiem co mi strzeliło do głowy, ale pomyślałam sobie: „*Jak ty możesz mnie*

pchnąć, to ja mogę ciebie.”. I wyszłam z okopu i niespodziewanie pchnęłam Niemca do dołu, a ten się nieco poturbował. Wściekł się na mnie, wyskoczył z okopu i strasznie się wydarł: „*Ty polska świnio!*”. **I już chciał mnie na miejscu zastrzelić, już mi nawet przyłożył broń do głowy, ale ja jakoś się nie bałam i stojąc prosto, patrzyłam przez lufę karabinu w jego oczy.**

W tym czasie Halinka i bratowa Helena niemal z pałacem błagały go, aby darował mi życie, aby mnie nie zabijał. Czyściły mu przy tym gorliwie rękawy, dmuchając żeby nie było nawet najmniejszego kurzu. Na szczęście dla mnie Szwab dał się w końcu uprosić i udobruchać i coś tam sobie pod nosem markocząc, odszedł dalej. A my zaraz wróciłyśmy do domu, pamiętam że prosiłam siostry, by nic nie mówiły naszej mamie. O tego dnia już nie chodziłam więcej na okopy, tylko rozpoczęłam pracę w niemieckich koszarach. Byłam tam jako pomoc kuchenna. Tak pracowałam prawie 3,5 miesiąca. **[16]** [Niemała cała polska młodzież, ocalała z ukraińskich rzezi, zmuszana była przez hitlerowców do darmowej, niewolniczej pracy w mieście Włodzimierz Wołyński i w ogóle na Kresach. Był to jedyny właściwie sposób na uniknięcie wywiezienia na ciężkie roboty do III Rzeszy. Piszą o tym w swoich wspomnieniach **Czesław Albingier oraz jego rodzona, starsza siostra Waclawa Roch z d. Albingier ze wsi Sierakówka** na Wołyniu. Relacja ta zawiera także wiele cennych informacji o mordach banderowców na Polakach w pow. Włodzimierz Wołyński oraz o polskiej partyzantce na Bielinie. Znajdziemy w niej także informacje na temat, powojennych losów Bolesława Roch ps. „*Jaworski*”, żołnierza 27 Wołyńskiej DP AK. Wspomnienia te (17 stron), opublikowane 20 maja 2011 r., dostępne są na stronie: <http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/167-wspomnienia-wacawy-roch-i-czesawa-albingiera-ze-wsi-sierakowka-w-pow-wodzimierz-woyski-na-woy.html>, Dod. autor opr. S. T. Roch].

SAMOOBRONA W CHOBULTOWEJ

Ziemia Swojczowska wydała wielu walecznych i oddanych żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK. Na Bielinie w polskiej partyzantce służył mój szwagier Antoni Szczepański, który miał za żonę Antoninę Rusiecką. Antoś razem z nami uciekł z Teresina, a zaraz po przybyciu do miasta, dowiedział się od wielu, że Niemcy robią właśnie nabór do polskiej policji, która miała chronić także polską ludność przed ukraińskimi bandami rezunów. Ponieważ Niemcy dawali broń, postanowił w ten sposób bronić swojej rodziny oraz innych rodzin polskich. Wraz z nim zgłosili się do tej policji także: Eugeniusz Bortnowski, Stefan Bojko, nasz brat rodzony Leonard Rusiecki i Bolesław Kukułka, wszyscy z kolonii Teresin. Antka przydzielili na placówkę do ukraińskiej wsi Chobułtowa i stał tam na służbie, gdzieś do późnej jesieni, może nawet do listopada 1943 r..

Często chodziłam z moją siostrą Michaliną na placówkę do Chobułtowej, czsami to nawet co drugi dzień. Nie było co robić w mieście, a tam było tylko ok 3 km, zatem kiedy to było tylko możliwe, to dziarsko szłyśmy i zbierałyśmy w drodze orzechy. Były tam takie laski, po wyrąbanym lesie. Przy naszych chłopakach, czułyśmy się bezpiecznie. Jednego razu do Chobułtowej wybrał się ze mną mój tatuś Jan i Helena. Tego dnia Antek zapowiedział, że będzie wyprawa po żywność do wsi Mikulicze. To była wioska polsko – ukraińska, ale Polaków już tam nie było. Było to dość daleko, ale nie baliśmy się gdyż z nami było 12 chłopaków pod bronią i przewodził Niemiec, poza tym wielu cywilów również miało ze sobą broń. Gdy dojeżdżaliśmy już do wsi, Ukraińcy już byli ostrzeżeni i całą wielką gromadą wiali do lasu, aż się za nimi kurzyło. I gdy nasza policja weszła do wsi, oddała kilka strzałów na postrach, ale z Ukraińców już nie było nikogo. A tak szybko uciekali, że nawet krowy zostawili na pastwisku, ale tych nie dało się wziąć, gdyż były za rzeką. **Teraz każdy brał z domów wszystko, co tylko nadawało się do jedzenia, brali także ciuchy i ogólnie wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Wszyscy łupili jak trza, a każdy myślał, że oto nie obce, ale swoje bierze.**

Jeszcze niemal, jak wczoraj, każdy z tych biednych ludzi, uciekał z duszą na ramieniu z własnych chat w jednej koszulinie. Teraz wreszcie mieli szansę wziąć swoje i wszyscy, jak jeden mąż brali ile tylko mogli zmieścić na fury. Również i ja wpadłam do piwnicy jednego z domów, bo właśnie tam uciekł mi kogut i wtedy zobaczyłam tam Ukraińca, lat około 30, który przestraszył się, ale szybko złapał tego koguta i podał mi. Widać chciał się ukryć przed Polakami i abym go nie wydała, podał mi koguta. Ale mi to nie było wcale w głowie, wzięłam koguta i wróciłam do swoich. Jeszcze trochę żeśmy tam nałupili, a potem wszyscy powiadali na furmanki i tak obładowani zdobyczą, wróciliśmy do wsi Chobułtowa.

Tymczasem nasz tatuś potajemnie oddalił się i zamiast oddać dużą część na placówkę, lasem wrócił do miasta. Dzięki temu przez następne dni, było co jeść i w końcu nie byliśmy już głodni. Zabraliśmy wtedy dużą jałowkę, dwie świnie po 80 kilo, dużo kur, fasolę powiazaną w snopki i kapustę.

SAMOOBRONA NA CEGIELNI

Ale najwięcej razy jeździłam na wypadach z bratem Leonardem Rusieckim z Cegielni, do której było z miasta tylko 3 km. Cegielnia była wciąż używana, wyrabiano w niej cegłę, a przy niej stało kilka domków i właśnie w jednym z nich, była placówka chłopców z polskiej policji. Było tam około 15 chłopaków pod bronią i prócz tego, było też wielu cywilów, którzy się do nich dołączyli. Był tam z nimi jeden Niemiec, a Leonarko był zastępcą komendanta. Oni także często organizowali wypadki w teren, aby ratować zagrożonych ludzi oraz w poszukiwaniu niezbędnej żywności. Właśnie z nimi jeździłam i ja, zresztą niemal każda moja siostra, była na takim wypadzie. Byliśmy na takich wypadach w kolonii Barbarówka, we wsi Kohylno, we wsi Ludmiłpol i w trzech Marcelówkach. Wszędzie braliśmy, co się nadawało do jedzenia i ubrania. [17] [Pewne b. ważne fakty z życia chłopaków z samoobrony na Cegielni, podał w swoich osobistych wspomnieniach (18 stron), **uczestnik tej samoobrony, pan Bolesław Sawa z kolonii Ludmiłpol** na Wołyniu. Praca ta jest także spontaniczną relacją z ludobójstwa, dokonanego przez reżim na polskich mieszkańcach Ludmiłpola bowiem pan Sawa jest naocznym świadkiem, tych strasznych wydarzeń. Jest to także piękny przykład miłości córki Krystyny do swego ojca i matki, pragnącej zachować pamięć o ich przeżyciach dla potomnych, przykład zdrowego patriotyzmu. Wspomnienia pana Bolesława mogą być wzorem, doskonałym przykładem dla każdego, kto pragnie spisać jeszcze własne przeżycia z Kresów, czy losy kogoś z najbliższej rodziny, lub nawet bliskiego znajomego. Oto adres pod którym można przeczytać, opublikowane 15 września 2013 r. wspomnienia: <http://lubiehrubie.pl/region/wspomnienia-boleslawa-sawa-z-kolonii-ludmilpol-w-pow-wlodzimierz-wolynski-na-wolyniu>, Dod. autor opr. S. T. Roch].

Raz jeden wybraliśmy się do Barbarówki i chcieliśmy jechać do Kohylna, ale przed samą wsią ktoś wjechał końmi na minę i jemu konie i wóz rozerwało, a on sam został trafiony odłamkiem w głowę. W drodze powrotnej do szpitala, ten woźnica niestety zmarł. W tej sytuacji Niemcy wycofali się, a nasza policja i ludzie, łupili co się dało z ogrodów Barbarówki. I wtedy ktoś zaczął strzelać do nas z Kohylna. Ponieważ było od nas około 2 km, to strzelali niecelnie, ale prości ludzie i tak wpadli w panikę i zaczęli się pośpiesznie cofać. Po paru dniach, a było to około 10 września 1943 r., nasza policja znów wybrała się do Kohylna, przeszła przez całą wieś, ale nikogo już tam nie było. Wszyscy Ukraińcy uciekli, zabierając ze sobą wszystko co się dało, tak że zostały tylko puste domy. Ja sama doszłam aż do prawosławnej cerkwi. Stała na wzgórzu i była otoczona lipami, była drewniana.

Tymczasem nasz tatuś Jan zatrzymał się na Zastawiu, bo most był zerwany i nie mógł przejechać do Kohylna. Most był tam zbudowany ponieważ, gdy staw wylewał, to nadmiar wody, był odprowadzany rowem na łąki, które w ten sposób nawadniano. Ponieważ w Kohylnie nic nie było, wróciliśmy z siostrą Michalinką na Zastawie. **Domy rodziny Rochów jeszcze stały całe i nie były jeszcze naruszone.**

Ja sama weszłam do domu Amelki Roch, wdowy po Władysławie Roch. Wszystko było porozrzucane, a na posadzce dużo pierza z poduszek i dużo słomy. Na ziemi tuż przy progu leżał święty Obrazek. Michalinka zabrała go ze sobą i dała Helence Rusieckiej z d. Roch, jako pamiatkę z jej rodzinnego domu. Ona wzięła ten Obrazek ze sobą, pamiętam że jeszcze w Horodle go miała, to był chyba św. Antoni. Zaraz też wyszliśmy z siostrą z tego domu bowiem jakiś taki lęk mnie ogarnął, chociaż nigdzie nie widziałam ciał ludzkich, ani nawet śladów krwi. Zaraz udałam się do drugiego domu Grzegorza Rocha, który stał ledwie 20 m dalej. Tam było już schludnie, ten dom o dziwo nie był jeszcze splądrowany. Natomiast dom Antoniego i Anny Roch, gdzie mieszkali Bolesław i Anastazja, stał trochę dalej, ale ja tam nie zachodziłam, bo się bałam. Zaraz wsiedliśmy na wóz z tatusiem i pojechaliśmy na pole, uzbieraliśmy samego żyta, co stało w kopcach i tak obładowani wróciliśmy do miasta Włodzimierza Wołyńskiego na ul. Kowelską.

POGROM NA ZASTAWIU

Jednego dnia do naszego domu przyszedł pod wieczór Tadeusz Roch i był b. załamany, gdy wszedł do magazynu, w którym mieszkaliśmy, powiedział od razu: „*Helenka mama z Zosią zamordowane!*”. Usiadł i zaczął opowiadać, co się w ostatnich godzinach wydarzyło, mówił tak: „*Nasza mamusia spała z Zosią w naszej stodole, (stała na rogu domu, tylko około 5 m). Ja z Mietkiem Roch, tej nocy, jak zawsze spaliśmy na wysepce, która była prawie na środku stawu. (to było około 20 m od domu tylko bowiem staw, dochodził prawie do samej stodoły) Nad ranem, już się zrobiło jasno, usłyszałem jakieś krzyki i piski, dochodzące ze strony naszych domów, ale nie sądziłem, że to na naszym podwórku, więc leżeliśmy z Mietkiem i nasłuchiwaaliśmy uważnie, co będzie się dalej działo i po chwili zrobiła się cisza. Zaraz jednak usłyszałem głos naszej mamy Amelii, która prosiła kogoś, widać znajomego, dość głośno i wyraźnie tymi słowami: ‘Co wy ze mną zrobicie, przecież my tyle żyli razem i nie zrobili sobie krzywdy.’ I zaraz już słabszym, jakby zmienionym głosem dodała: ‘Nie było między nami krzywdy, tyle co za paznokciami brudu!’.* I po tych słowach nastąpiła głęboka cisza i już nic nie słyszeliśmy, a baliśmy się wyjść z ukrycia, żeby nas Ukraińcy nie wypatrzyli i jeszcze długie godziny siedzieliśmy na wysepce w trzcinach. Gdy już długo było cicho i spokojnie i nie było widać żadnego ruchu poszliśmy ostrożnie do domu, ale tam już nikogo nie było, tylko wszystko było porozrzucane, pióra z pościeli i dużo słomy z łóżek oraz szmat na podłodze. Zobaczyliśmy to i ponieważ nikogo nie mogliśmy znaleźć żywego, zaraz przedostaliśmy się do miasta Włodzimierz Wołyński. A teraz jestem tu u was.”.

Pamiętam b. dokładnie, że Tadeusz przyszedł do nas na wieczór, już w niedzielę, tego samego dnia, co mordowali mieszkańców Teresina, jak się potem okazało. Bowiem ja już wiedziałam od Zenka, że bili Teresin, ale jeszcze nie mówiłam, że o tym wiem. Tadek długo u nas nie był, ale jeszcze tego samego wieczoru, gdzieś się udał, ale nie mówił gdzie idzie. W tym czasie nie było wiadomo też, gdzie się podział Mietek Roch. Tego samego wieczoru była jeszcze narada, co dalej robić, ale ja i siostra musiałyśmy się chować na noc przed łapanką. Gdzieś po dwóch tygodniach dowiedzieliśmy się, że Tadek i Mietek poszli do polskiej policji. [18] [W 2003 r. pierwszą osobą, która w ogóle zgodziła się złożyć pisemne świadectwo o życiu rodziny Roch na Zastawiu w Kohylnie, był **Roman Szymanek syn Wacława i Michaliny Szymanek z d. Roch**. Było to zarazem pierwsze pisemne świadectwo o ludobójstwie, dokonany na naszej rodzinie przez ukraińskich nacjonalistów w roku 1943. Zatem trudno było Romkowi, który w tamtych tragicznych dniach wojny, miał zaledwie 10 lat, uniknąć pewnych błędów w pamięci, co do wszystkich zdarzeń, jednak jego osobiste świadectwo nie będzie mu zapomniane w duchu wdzięczności w naszej rodzinie nigdy. Wspomnienia te (14 stron), opublikowane 02 maja 2011 r. na stronie: „*Wołyń wola o*

prawdę”, dostępne w internecie można przeczytać pod adresem: <http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/156-wspomnienia-romana-szymanka-ze-wsi-kohylno-w-pow-wodzimierz-woyski-na-woyniu-1939-1944.html> Dod. autor opr. S. T. Roch].

SAMOOBRONA W POPÓWCE I W NOWOSIÓLKACH

Mietek Roch stał we wsi Popówka, tam był ich ośrodek samoobrony i tam służył od września 1943 r., aż do czasu kiedy uciekli z bronią na Bielin do polskiej partyzantki. W tej placówce polskiej, u Mietka ja nie byłam jednak nigdy, tak że nic więcej nie mogę powiedzieć. Z kolei Tadeusz Roch służąc w polskiej samoobronie, został skierowany do mieszanej wsi polsko – ukraińskiej Nowosiółki, gdzie jego oddział stacjonował w dużym majątku poza wsią. Do rzeki Bug było już tylko kilka km. Polskich żołnierzy na tej placówce, było około 15 i jeden Niemiec, byli dobrze uzbrojeni. Raz wybrałyśmy się tam z moją bratową Heleną, aby ich odwiedzić, dojechałyśmy bezpiecznie. Wizyta nasza jednak była dość krótka bowiem Tadeusz rozmawiał przede wszystkim z siostrą Heleną, a mnie raczej unikał, jakby się mnie trochę wstydził. Zaraz zatem wróciłyśmy do miasta, pojechałyśmy raz jeszcze tam za jakieś dwa tygodnie, znowu w niedzielę, a właśnie miał wyznaczoną wartę, więc też b. krótko rozmawialiśmy. To był ten ostatni raz, jak widziałam Tadeusza żywego.

SAMOOBRONA W LESIE PIATYDNIA

Potem Niemcy przenieśli Antoniego Szczepańskiego do lasów Piątdni i tam też mieli swoją bazę samoobrony. O ile dobrze sobie przypominam, było to w grudniu 1943 r., jakby tuż przed świętami Bożego Narodzenia. To było tylko około 5 km od miasta Włodzimierza Wołyńskiego. W tej bazie samoobrony ja nie byłam ani razu, ale jeździł tam mój tatuś Jan, przynajmniej dwa razy. Raz jeden pojechała z nim także nasza siostra Michalinka i gdy byli już w bazie w nocy, baza samoobrony została zaatakowana przez ukraińskich rezunów. Zażarta walka trwała przez całą noc i nawet przez cały następny dzień bowiem Ukraińcy zawzieli się, by zdobyć placówkę i wszystkich wymordować. Tatuś opowiadał nam później, że na początku wydawało się, iż Ukraińcy obchodzą ich z każdej strony, jakby chcieli zastraszyć broniących się na placówce. **Widząc jednak twardy opór Polaków, próbowali za wszelką cenę zdobyć ten punkt oporu, atakując wściekle raz po raz. I może w końcu daliby i radę, mordując niechybnie wszystkich, gdyby nie pomoc jaka nadeszła z miasta.** Gdy Ukraińcy zobaczyli zbliżającą się odsiecz, szybko wycofali się i placówka została uratowana. Tatuś Jan i Antek opowiadali także, że dużo Ukraińców poległo w tej bitwie, gdyż Ukraińcy strzelali przeważnie do ukrytych celów, niejako na oślep, a chłopcy z samoobrony mieli ich nacierających, jak na patelni. Polacy mając po prostu dużo lepsze pole widzenia, strzelali gęsto do wybranych celów, stąd straty po stronie rezunów, były poważne.

Tym razem Boża Opatrzność i męstwo obrońców ochroniły ludzi przed kolejną straszną rzezią, a było tam wtedy dużo cywilów. Polscy żołnierze na tych placówkach mieli bowiem broń i mieli realne możliwości zdobycia w terenie żywności, dlatego rodziny czepiały się tych placówek, bo tam była żywność. Niemiec żywności nie dawał, trzeba było sobie prowiant zdobyć, ale za to dawał dużo amunicji. O ile dobrze pamiętam, to święta Bożego Narodzenia, chłopcy spędzili jeszcze na placówce w lesie, ale zaraz po świętach dostali rozkaz, aby rozbroić Niemca, który był komendantem i z pełnym uzbrojeniem zbiec do głównej bazy polskich partyzantów na Bielinie. I tak się stało. W każdym razie już na Nowy Rok, cała placówka licząca 15 chłopaków, w tym Antoni Szczepański, wszyscy byli się z bronią na Bielinie.

PARTYZACKA BAZA NA BIELINIE

W styczniu 1944 r. ja i moja siostra Antonina zauważyłyśmy, gdzie Niemcy trzymają amunicję. Potem udało nam się wynieść kilka paczek ok 25 sztuk amunicji, chcieliśmy to przenieść na Bielin do bazy polskich partyzantów. Gdy już opuszczaliśmy miasto o mało, a wpadłybyśmy w ręce niemieckiego wartownika. Naboję miałyśmy ukryte w płaszczach, gdy Niemiec zatrzymał nas na zwykłą kontrolę i gdy właśnie z nami rozmawiał, Jance wysunął się jeden dziesiątek pod nogi. Na szczęście Niemiec właśnie rozmawiał ze mną i stojąc tyłem do Janki nie mógł tego widzieć, udało nam się, ale tym razem także b. mało brakowało. Teraz spokojnie dotarliśmy do pierwszej miejscowości, gdzie stali polscy partyzanci. To była kolonia Ułanówka, zatrzymaliśmy się w jednym z domów, kwaterował tam Stanisław Bojko, który też był w partyzantce. [19] [Cenny opis przygód na partyzanckim szlaku 27 Wołyńskiej DP AK, zawdzięczamy panu Janowi Feliksowi Jakubiak ps. „Klin”, zwiadowcy w konnym batalionie por. Franciszka Pukackiego ps. „Gzmys”. Pamiętnym dniem w jego życiu partyzanckim był dzień 16 stycznia 1944 r.. W tym dniu na polanie przy wsi Suszybaba, w zimowy słoneczny i mroźny dzień, stanął na białym śniegu Ołtarz Polowy. Na przeciw w czworoboku 300 nowych partyzantów, gotowych do złożenia przysięgi wojskowej. Wypowiedane słowa przysięgi wojskowej ścisnęły za gardło, a łzy z oczu popłynęły przy śpiewaniu Mazurka Dąbrowskiego: „*Jeszcze Polska nie zginęła....*”. Tego hymnu, którego nie można nam było śpiewać przez ostatnich kilka lat. W tej pięknej relacji znajdziemy także opis napadu banderowców na polską kolonię Ossa oraz inne polskie osiedla w okolicy. Przeżycia w obozie koncentracyjnym w Chełmie oraz na robotach przymusowych w Prusach Wschodnich. Wspomnienia te (12 stron) są dostępne na stronie: „*Kresy Wschodnie Ludobójstwo*”, pod adresem: <http://darnokx.no-ip.org/~kresy/wspomnienia/2.html> , Dod. autor opr. S. T. Roch].

Byłyśmy tam około trzech dni, gdy przyjechał nasz tatuś Jan oraz Antonina Szczepańska z dzieckiem, a reszta na razie została w mieście. Zajeliśmy jeden z domów na tej kolonii, stał pusty. Tam mieszkaliśmy tylko około tydzień czasu. Właśnie wtedy **Ukraińcy zaatakowali naszą partyzancką bazę na Bielinie, było dość groźnie, gdyż z drugiej strony w tym samym czasie atakowali także Niemcy. Polacy zdołali odeprzeć jednak atak i tego dnia gnali uciekających Ukraińców, aż po rzekę Turię**, następnie spokojnie wycofali się na pozycje wyjściowe. Podczas tych walk zginął jeden ze znanych polskich partyzantów z naszej kolonii Teresin, nazywał się Bolesław Kukułka.

Po tej walce, która zaczęła się z wieczora i trwała przez całą noc, a ucichła dopiero rano, wyszliśmy z piwnicy, a na kolonii już nikogo nie było, wyglądała jak opuszczona. W tej sytuacji i my powiadaliśmy na wóz i wróciliśmy z tatusiem do miasta Włodzimierz Wołyński. Na tej kolonii byliśmy zatem od 20 do 26 stycznia 1944 r. bowiem zaraz po powrocie do miasta, szybko zorganizowaliśmy się i wyjechaliśmy całą rodziną za rzekę Bug na spokojniejszą, jak dotąd Zamojszczyznę. [20] [Pewne cenne informacje na temat polskiej bazy partyzanckiej na Bielinie, przekazała w swoich wspomnieniach **pani Lucyna Schiesler z d. Różycka ps. „Róża”, żołnierz 27 Wołyńskiej DP AK**. Jest to niezwykle dokładna i przejmująca relacja z zagłady Dominopola, Mikołajpola, Swojczowa oraz polskości w całej okolicy w ogóle. Zarazem żywe świadectwo pamięci pani Lucyny o ukochanych rodzicach i rodzeństwie, którzy na kolonii Mikołajpol na Wołyniu, pozostali już na wieczną wartość. Znaleźć tam można także list otwarty pana Płk Jana Niewińskiego, ostatniego, żyjącego dowódcy polskiej samoobrony w Rybczy na Wołyniu do Ks. Abp Józefa Michalika Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski w sprawie Deklaracji Kościołów z Polski i Ukrainy z dn. 26 sierpnia 2013 r. ws. zbrodni wołyńskiej. Wspomnienia te (33 strony), opublikowane 06 kwietnia 2014 r. są dostępne na stronie Ziemi Hrubieszowskiej pod adresem: <http://lubiehrubie.pl/region/wspomnienia-lucyny-schiesler-z-d-rozycka-z-kolonii-mikolajpol-na-wolynium> , Dod. autor opr. S.T. Roch].

PODŁOŚĆ UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW

Z miasta wyjechało nas 12 furmanek i szczęśliwie dojechaliśmy, aż do Uściługa, gdzie byliśmy już około południa. Tam na przedmieściach zatrzymała nas

ukraińska policja i sprawdzała nasze dokumenty. Młodych chłopaków i mężczyzn oddzielała i zabierała na swoją placówkę, która mieściła się w murowanym domu, tuż przy szosie. Co chwilę któryś był tam odprowadzany i dochodziły nas jęki, słyszeliśmy że są tam katowani. Wozy sprawdzało czterech z bronią, ale w środku musiało być ich więcej. Był tam też jeden Niemiec, albo dwóch. Razem odprowadzono tam ośmiu chłopaków, wśród nich był także Mieczysław Zieliński z Teresina.

Gdy tylko wrócił do nas zaraz pierwszej nocy w Uściługu, w tej kamienicy, w której nocowaliśmy, opowiadał nam jak ich tam ćwiczyli, mówił tak: „**Niemiec siedział w pokoju i przyglądał się, jak Ukraińcy nas przesłuchują. Dwoch chłopaków tak pobili, tak skatowali, że już nie mogli ustać na nogach o własnych siłach. Przyszła kolej na mnie i Ukrainiec, najpierw bez żadnego słowa, jakby na przywitanie, żebm wiedział dobrze z kim rozmawiam, rąbnął mnie kolbą karabinową w plecy, dwa albo trzy razy i pyta się: ‘Czy ty byłeś na Bielinie?’.** A ja zdołałem odpowiedzieć, że nie. Wtedy on pyta mnie drugi raz: ‘Czy Ty słyszał strzały na Bielinie?’. A ja odpowiedziałem, że słyszałem ale nie wiedziałem właściwie skąd strzelają. A ten Ukrainiec wtedy do Niemca: ‘Ten Polak mówi, że był na Bielinie i teraz stamtąd ucieka za Bug’. **Gdy to usłyszałem, zrozumiałem że ten drań po prostu podle kłamie i chce sprowadzić na nas nieszczęście, chce by Niemiec mścił się na nas.** Dlatego zaraz powiedziałem po niemiecku do tego Niemca: ‘Czy ja mogę coś powiedzieć?’. Niemiec zgodził się, wtedy ja mówię tak: ‘On mnie zapytał, czy ja słyszałem strzały na Bielinie, a panu mówi, że ja byłem na Bielinie.’ Niemiec wściekł się na Ukrainca, a do nas wrzeszczał: ‘Raus! Wynosić się!’. Wtedy my zabraliśmy dwóch naszych ciężko pobitych chłopaków, których już właściwie trzeba było nieść, tak byli skatowani.”. [21] [Lecz opisanej powyżej podłości nie można w żadnym stopniu porównać do urządzanych alkoholowych libacji z b. radosnym świętowaniem ryzunów, zwykle od razu po zakończonej rzezi i zwykle w domach najbogatszych, bądź znaczących rodzin polskich. Naocznym świadkiem takich upiornych scen z piekła rodem jest **pan Marian Sikorski z kolonii Ułanówka** na Wołyniu. W jego relacji znajdziemy także opis ludobójstwa, dokonanego przez banderowców na ludności polskiej w kolonii Ułanówka i w okolicy. Wspomnienia te (10 stron), opublikowane 10 maja 2011 r. na stronie „Wołyni”, można przeczytać pod adresem: <http://wolyn.org/index.php/wolyn-wola-o-prawde/166-wspomnienia-mariana-sikorskiego-z-kolonii-uanowka-w-pow-wodzimierz-woyski-na-woyniu-1939-194.html> , Dod. autor opr. Sławomir Tomasz Roch].

LUDZIE GINĘLI NA TRZASKAJĄCYM MROZIE

Już spokojnie dojechaliśmy do rzeki, ale tam nie chcieli nas przepuścić bowiem już było za późno. Musieliśmy wszyscy czekać, aż do drugiego dnia do godz. 10.00. A mróz był straszliwy, ludzie marzli strasznie. **Całą noc siedzieliśmy w rozwalające się ruderze, dzieci, bo starsi całą noc stali na mrozie i pilnowali tego, co nam jeszcze zostało z całego dorobku życia. Tam dało się jeszcze wytrzymać, ale gdy o 06.00 wjechaliśmy na most okazało się, że na drugim brzegu szlaban zamknięty. Tu dopiero mróz dał się nam we znaki,** chwilami nie szło wytrzymać, tak że dwie osoby zamarły na śmierć: niemowlę i staruszka lat około 80. Nawet ja już zamarzałam, czułam dziwne uczucie. Od pewnego momentu, pomimo trzaskającego mrozu, zaczęło mi się robić tak ciepło, tak dobrze, chciało mi się bardzo spać. Zauważył to mój tatuś Jan, a ponieważ właśnie otworzyli szlaban i zaczęli puszczać ludzi na drugą stronę, tatuś wziął mnie z Władysławem Karbowiakiem za rękę i kazali mi iść. Nie mogłam, ale mnie pociągnęli i tak mnie poprowadzili. W końcu poczułam, że mi strasznie zimno, powiedziałam o tym tatusiowi. Wtedy o mi rzekł: „*To dobrze, to bardzo dobrze, idź tak dalej.*”. Jeszcze trochę się przesłam i już zrobiło mi się ciepło.

Jechaliśmy dalej całą kolumną. W pewnym momencie na drodze pojawił się

Polak, chyba musiał być z Armii Krajowej (AK), który nam powiedział: „*Gdzie wy idziecie? Za druty was gonią. Uciekajcie!*”. A ojciec tłumaczył, że nie ma którędy, bo wszędzie zasypany śniegiem i nie ma jak wozem przejechać. Widzi jednak, że ten człowiek skręcił w jakiś wąwóz i pojechał za nim. Tam niestety woźnica zniknął nam z oczu, a my i jeszcze dwie furmanki, w tym rodzina Władysława Bortnowskiego **dojechaliśmy do polskiej wsi Rogalin. Tu jednak nie przyjęto nas wesóło. Wszystkie chłopcy byli w lesie, a jakaś babcia krzyknęła w naszym kierunku: „Cholery na was nie ma, ażeby was tam wszystkich wybili, co do nogi.”. Naturalnie było to dla nas bardzo bolesne, ale nie było czasu tego roztrząsać.** Nasza sytuacja była bardzo ciężka, zimno, trzaskający mróz, a my nikogo tu nie znaleźliśmy. Byliśmy już także głodni i bardzo zmęczeni ostatnimi doświadczeniami. I wtedy **Opatrzność Boża, która nad nami czuwała, postawiła na naszej drodze innego Polaka z Rogalina, który powiedział: „Ludzie ja mam całą chatę zapchaną uciekinierami, ale mam jeszcze miejsce za piecem, tam można się ogrzać i trochę odpocząć.”.** I Zabrał ze sobą czworo dzieci oraz moją chorą siostrę Antoninę Szczepańską. Antosia na dzień przed naszym wyjazdem urodziła niemowlę, ale już nie żyło i teraz była nie tylko obolała, ale także poważnie osłabiona.

A my pojechaliśmy dalej i właśnie wtedy spotkaliśmy znajomego Polaka ze wsi Ludmiłpol Juliusza Pic, który od pewnego czasu mieszkał w tej wsi, ale pod zmienionym nazwiskiem. On to poznał naszego brata Leonarka, który prosił go o pomoc, mówiąc: „*Julek ratuj, bo ginę z dziećmi!*”. A Juliusz na to: „*Żebyś mnie tylko nie wydał, gdyż ja teraz nazwywam się Bis.*”. Potem zabrał nas do swojej gospodyni, która co prawda niechętnie, ale w końcu nas przyjęła i zamieszkaliśmy tam na dwie noce. Brat w tym czasie udał się do sąsiedniej wsi, jakieś 5 km od Horodła, gdzie znalazł dla nas dom. Tam się przenieśliśmy i tam zamieszkaliśmy do lipca 1944 r., kiedy przyszedł do nas front. W tych niebezpiecznych dniach uciekliśmy do lasu, a gdy się uspokoiło wróciliśmy do Horodła.

TOBIE JESZCZE NIE CZAS TU WRACAĆ

W mieście zatrzymaliśmy się jednak tylko na kilka dni bowiem zaraz z tatusiem wróciliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego. Tatuś zamierzał wrócić na swoje gospodarstwo. W mieście spotkał Michała Rocha i jeszcze kilku chętnych, którzy chcieli wracać na swoje. I razem w dwunastu chłopów udali się do Swojczowa, tam niedaleko było nasze pole, a obok mieszkał Ukrainiec, którego ojciec dobrze znał. Rozmawiali dość przyjaźnie i wtedy powiedział do ojca: „*Rusiecki ja twoje zboże dwa lata już zbieram. Ja ci oddam co do ziarenka, ale tobie jeszcze nie czas tu wracać, bo nasze durnie jeszcze bardzo się jeżą.*”. Zawrócili w tej sytuacji konie, pojechali wzdłuż Teresina i właśnie wtedy zajechali przed dom Ukraińca Stolaruka. Nie bardzo chciał z nami rozmawiać i wtedy podszedł z karabinem syn jego i pyta: „*Ojciec co to za jedne? Czego oni tu przyjechali?*”. Widząc, że zanoszą się na bójkę, a może i na strzelaninę, odjechali z powrotem do Włodzimierza Wołyńskiego. Obawiali się poważnie, że ci dwaj zameldują w lesie o pobycie Polaków na Teresieniu i banda zrobi na nich zasadzkę.

Wróciliśmy zatem do miasta, a tu powszechna mobilizacja do wojska. W tej sytuacji ja brat Leonard oraz jego rodzina, wyruszyliśmy ponownie przez rzekę Bug na Zamojszczyznę. Tu okazało się, że na rzece granica zamknięta. My jednak nie rezygnowaliśmy i jechaliśmy dalej wzdłuż rzeki ok 2 km. Tam gospodarz przeprowadził nas tratwą na drugi brzeg, a koń poszedł po dnie. Reszta rodziny została w mieście, ale już za tydzień dołączyła do nas, tą samą drogą. Znowu zamieszkaliśmy w Horodlu i byliśmy tam do sierpnia 1946 r., a potem wyjechaliśmy do wsi Matcze, około 5 km od

Horodła. Tam zamieszkaliśmy w domu, który odstąpiła nam Polka Marta Matecka. Tam mieszkałam do kwietnia 1947 r..

NA NOWEJ DRODZE ŻYCIA Z ROMANEM ROCH

Losy naszych międzywojennych roczników są różne i b. trudne bowiem gdy my cierpielieśmy, już tułaczkę na Ziemi Zamojskiej wielu wciąż przebywało na mroźnej Syberii, a wielu z tych którzy wyszli z Gen. Władysławem Andersem, musieli pozostać na zachodzie. Tymczasem Roman Roch który został wywieziony na przymusowe roboty do III Rzeszy, po wyzwoleniu tych ziem w 1945 r. przez Sowietów, trafił do poniemieckiej wsi Łężyce k. Karłowa na Donym Śląsku. Zajął tam sobie wygodny dom i przez krótki czas mieszkał tam od czerwca 1945 r. do lutego 1946 r., kiedy to dowiedział się, że jego siostra Helena Rusiecka z d. Roch jest w Horodle nad Bugiem, zostawił wszystko i przyjechał do niej.

Kiedy po czterech latach ujrzałam Romka, radości było co nie miara, mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. Czasy były ciężkie, a my oboje nie mieliśmy właściwie nic, ale byliśmy młodzi, silni i mieliśmy siebie, wierzyliśmy w siebie. Wysłałam za mąż za Romana Roch, nasz ślub był w kościele w Horodle 06 grudnia 1946 r., była to piękna uroczystość i choć było mało gości, byłam b. szczęśliwa, gdyż teraz miałam, już swoją własną rodzinę. Na naszym weselu był Stanisław Roch z Zofią, była z pochodzenia Ukrainką oraz Mieczysław Roch z żoną Heleną oraz moja rodzina najbliższa. Przyjęcie weselne było w domu we wsi Matcze, który dostaliśmy od państwa, tam mieszkaliśmy jeszcze kilka miesięcy, aż do 01 kwietnia 1947 r., kiedy wyjechaliśmy do wsi Mieniany k. Hrubieszowa.

Z Mieczysławem Roch spotkałam się po raz pierwszy, już po wojnie w Horodle, kiedy wstąpił do naszego domu po Romka. Wraciał właśnie z kościoła i zaprosił Romka do siebie do Kopyłowa. Następnym razem spotkaliśmy się, już na naszym weselu we wsi Matcze, parafia Horodło, było to krótko po ślubie Mietka z Heleną z d. Zabłocka. Nie minęło wiele czasu, a Mietek odwiedził nas we wsi Matcze ponownie. Siedząc tak przy stole mieliśmy teraz okazję, tak na spokojnie raz jeszcze powspominać to wszystko, co działo się na Wołyniu. Naturalnie Mietek zaczął opowiadać, co działo się podczas napadu reżunów na Zastawie, mówił tak: *„Miałem dużą rodzinę, a teraz zostałem sam i nawet nie wiem, jak oni tam zginęli.”*. Pomyślałam sobie: *„Tadzik opowiadał, a ty nie wiesz?”*. Ale już go o to nie pytałam.

Kiedy już przybyliśmy z Romkiem do wsi Mieniany, zabawiliśmy tam jedynie miesiąc czasu bowiem przyszli do naszego domu, jacyś dziwni ludzie, można powiedzieć jakby takie złodzieje – bandziory, którzy żyli widać z rozboju i nakazali nam do rana się wyprowadzić. Przy czym podpalili całą wioskę, tak że jedynie nasz dom się ostał, mieliśmy szczęście, że nas tam nie pozabijali. Romka mojego męża i jeszcze jednego chłopca, nieznacznie wtedy pobili. W tej dramatycznej sytuacji, wyjechaliśmy do Hrubieszowa i tam mieszkaliśmy w jakiejś pożydowskiej kamienicy, jeszcze przez miesiąc czasu.

Potem wróciliśmy z powrotem do wsi Mieniany i tam mieszkaliśmy w oborze wraz z siostrą Michalinką i jej mężem Edwardem Kisielewiczem oraz ich 1-rocznym synkiem Ryszardem. Tam w tej oborze w tych trudnych warunkach, urodziło się nam pierwsze dziecko Tadeusz. Wtenczas moja bratowa Helena, już wdowa, przyjęła nas do siebie. Jej mąż, a nasz brat Leonard zmarł 27 kwietnia 1945 r. w szpitalu w Zgorzelcu, gdy z odniesionej, poważnej rany, wdało się zakażenie. Został pochowany na ogromnym cmentarzu wojskowym w Zgorzelcu.

Po jakimś czasie na zaproszenie Mietka Rocha, pojechałam z Romkiem i naszym synem Tadzikiem oraz z bratową Heleną do Kopyłowa. Przyjął nas wtedy b.

miło i pięknie ugościł. Trzeba to przyznać, że Mietek był człowiekiem b. rodzinnym i przyjaznym. Właśnie wtedy na tym przyjęciu, po kilku kieliszkach, gdy rozwinęły się trochę wszystkim języki, Mietek zaczął opowiadać, jak to było w partyzantce na Wołyniu. Mówił nam tak: **„Romek ja z Twoim bratem Tadeuszem, trzymaliśmy się w partyzantce prawie do końca. Walczyliśmy w szeregach 27 Wołyńskiej DP AK, braliśmy razem udział w wielu potyczkach z Niemcami i Ukraińcami. Na wiosnę 1944 r. mocno natarli na nas Niemcy, sytuacja stała się trudna i niebezpieczna. Niedaleko byli już Sowieci. Nasze dowództwo podjęło decyzję o przebijaniu się do Ruskich. Zatem rozgorzała walka, a my rzuciliśmy się przez bagnistą rzekę Prypeć, a gdy już część z naszych przeprawiła się na drugi brzeg do Ruskich, wtedy oni nieoczekiwanie otworzyli do nas ogień. Kilku naszych chłopaków zginęło od pierwszych sowieckich salw. Właśnie wtedy został lekko ranny Tadeusz. Wiem o tym bo powiedział do mnie: ‘Wiesz że ja ranny!’, ale nie mówił gdzie dostał. Zaraz obaj wskoczyliśmy do rzeki z zamiarem przepłynięcia na drugi brzeg, pomimo ognia ze strony Sowietów. W tym czasie padł rozkaz: ‘Wycofujemy się!’ i ja się wróciłem, ale Tadek w tej rzece zniknął mi z oczu. Jeszcze na niego czekałem, ale już się więcej nie pojawił i musiałem wracać do oddziału. Od tej pory słuch wszelki po nim zaginął. Tadek zginął, jak wielu naszych kolegów na Prypeci.”** Pod dachem bratowej Heleny mieszkaliśmy do września 1949 r., ale potem musieliśmy przenieść się w inne miejsce.

W GÓRACH STOŁOWYCH NA ZIEMI KŁODZKIEJ

Szczęśliwie moja starsza siostra Janina, poinformowała nas, że w Kotlinie Kłodzkiej na Ziemiach Odzyskanych jest dla nas dom, gdzie moglibyśmy zamieszkać. Razem z mężem Romanem zdecydowaliśmy, że tam pojedziemy. I tak oto zamieszkaliśmy we wsi Pasterka w gm. Radków w pięknych Górach Stołowych. To był opuszczony dom poniemiecki, b. piękny, murowany, siedem pokojów, ale brakowało zajęcia, gdyż ziemia tu nie rodzi. Romek podjął pracę w lesie. Może byśmy tam i zostali gdyby nie to, że jesienią roku 1954 z gm. Radków, przyjechali urzędnicy partyjni i namawiali ludzi, aby przystąpili do kołchozu. Niestety wiele rodzin, przeważnie nasiedleńcy z Kieleckiego na czele z Jaworskimi i Lechnowskimi, postanowili zgodzić się i przystąpić do kołchozu.

Tymczasem nasza rodzina oraz młodsza siostra Halinka z mężem Józefem Kozelko, **byliśmy nieprzejednani i o kołchozie nie chcieliśmy nawet słyszeć. Jakoś nie przemawiało do nas wspólne gospodarzenie z ludźmi, których właściwie nie znaliśmy.** Poza tym byliśmy inaczej wychowywani w rodzinach i nie ufaliśmy komunistom oraz ich nowym pomysłom. Po prostu chcieliśmy być na swoim, a nie na czyimś, na obcym. Poza tym my przyjechaliśmy dość późno na te ziemie i przez kilka pierwszych lat, pracowaliśmy dość ciężko, by mieć coś swojego, choćby tego konia i choćby te swoje krowy. **Po temu nie było czasu w naszym domu na balety i strojenie się, gdy tymczasem Kielczanie byli tu pierwsi, nabrali naturalnie wszystkiego po Niemcach i bawili się, jak za najlepszych czasów. Teraz zaś żądano od nas, byśmy owoce naszej ciężkiej, mrówczej pracy, ohotnie przekazali do wspólnej kasy. No po prostu żyć nie umierać!**

To była w naszym mniemaniu, tak wielka niesprawiedliwość, że nawet nie chcieliśmy o tym słyszeć, ani wcale. Ale z władzą komunistyczną nie było lekko, nie dawali nam spokoju, w końcu część ludzi uciekła z Pasterki, ale większość podpisała i zostali w tym kołchozie. Ja z mężem Romanem wybraliśmy przeniesienie się do spółdzielni do Gajowa i udało nam się. Niestety i tu, jak się potem okazało, był już kołchoz, ale jednak woleliśmy tu, niż tam we wsi Pasterka. Zatem komunistycznego

dobrodziejstwa kolchozowego, uniknąć nam się nie udało, jeszcze musieliśmy zapłacić 3 tys. kary, że opuściliśmy Pasterkę i przyszedliśmy do Gajowa. **Przy okazji mnożyły się na nas różne donosy, jakobyśmy dom zniszczyli i tym podobne oskarżenia. Byliśmy po prostu wrogiem klasowym, który nie chce pracować społecznie**, a to się oczywiście komunistom i ich poplecznikom b. nie podobało i nie pasowało.

INNE KOMUNISTYCZNE PRZEŚLADOWANIA

Mieliśmy tylko nadzieję, że tu w Gajowie nareszcie zaznamy trochę spokoju, otrzymaliśmy drewnianą lepiankę, ale do takich warunków, byliśmy już mocno zaprawieni. Tym bardziej, że mój brat Stanisław Rusiecki obiecywał zabrać nas stąd do miasteczka Złotoryja na Dolnym Śląsku, gdzie pracował w tartaku i był nawet kierownikiem. Ale nasze życie potoczyło się zgoła inaczej, już mieliśmy troje dzieci i po krótkim czasie przenieśliśmy się do domu większego, murowanego i tu zamieszkaliśmy, już na całe nasze życie i tu mieszkam, po dziś dzień. Niedługo po przeprowadzce na to nowe miejsce, urodziło się nam czwarte dziecko, nasza jedyna córka Barbara. A w tej sytuacji, już nie myśleliśmy o wyjeździe do Złotoryi, tym bardziej że zaczęto szeptać, iż kolchozy będą rozwiązywać. A to znów tchnęło w nas nadzieję na wolne i samodzielne życie i na swojej, a nie wspólnej, kolchozowej własności. Krótco po czerwcowych zamieszkach i krwawych walkach w roku 1956 w Poznaniu, rzeczywiście do władzy przyszedł Władysław Gomułka i znenawidzone kolchozy rozwiązano, oddając ludziom ziemię i ich własność.

Dostaliśmy w zamian za to, co zostawiliśmy za Bugiem 7 ha ziemi. Tak oto po długich latach tułaczki i prześladowań, mogliśmy wreszcie spokojnie gospodarować, już na własnej ziemi i mieszkać we własnym domu. Niestety wciąż nie dane było jednak zaznać spokoju bowiem wciąż borykaliśmy się z komunistycznym systemem, który moją rodzinę prześladował i to w sposób bezpośredni. Otóż mój mąż Roman uchodził za człowieka dobrego i spokojnego, właściwie nie lubił się włuczyc i nie lubił obcego towarzystwa. To zwróciło uwagę komunistycznej bezpieki, która już w roku 1950, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Pasterce, postanowiła nakłonić Romana do tajnej współpracy.

Zaczął się to dość niewinnie. Mieliśmy już troje małych dzieci, zatem sytuacja była dość wymagająca wysiłku i zaradności. W tym niełatwym dla nas czasie męża „*przypadkowo spotkał*”, dowódca placówki wojskowej na granicy czeskiej w Pasterce o nazwisku Mastalerz. Umówił się wtedy z mężem na następne spotkanie do którego rzeczywiście doszło i **powiedział Romkowi wprost: „Panie Roch chcielibyśmy, aby pan podjął z nami współpracę, jako tajny współpracownik. Oto instrukcja dla pana, co ma pan dla nas robić.”**. Romek opowiadał mi później, że wtedy podczas tego pierwszego spotkania, ten człowiek zaświecił światło w tym pomieszczeniu, w którym przebywali i pokazywał, co było w tej ubeckiej instrukcji. Ubek Mastalerz mówił tak: **„Chcielibyśmy, aby pan chodził pod ludzkie okna i słuchał, co kto mówi, a następnie wszystko nam donosił”**. Mąż Roman zwierzał mi się potem z tego nachodzenia ubeków tak: *„Po prostu chcieli zrobić ze mnie konfidenta, tajnego współpracownika ich służb, ale ja nie zgodziłem się, odmówiłem. Za jakieś pół roku znowu przyjechał do mnie, tym razem z Dusznik – Zdrój, wojskowy w stopniu majora i znów poprosił mnie na rozmowę. Przebieg tej rozmowy, był taki sam jak poprzednia wizyta, ale tym razem dali więcej czasu do namysłu. Miałem im dać odpowiedź.”*

Ja w tym czasie znalazłam się w szpitalu, tak poważnie byłam chora. I właśnie wtedy znów przyjechali do męża i to wprost do naszego domu. Chcieli mu wręczyć

pieniądze, tak już byli bezczelni, a może zdeterminowani. **Mówili tak: „Panu pieniądze się przydadzą, przecie to żona chora, a dzieci macie małe. Niech pan weźmie te pieniądze i zacznijcie dla nas pracować!”**. Ale Romek i tym razem odrzucił propozycję współpracy z UB mówiąc: „*Ja nie mogę wziąć tych pieniędzy, bo na te pieniądze nie zapracowałem. Ja będę miał z tego powodu wyrzuty sumienia!*”. Tym razem jeszcze rozmawiali b. spokojnie i nawet delikatnie prosili, przy czym zaznaczyli, że czekają na pozytywną odpowiedź.

Za jakieś dwa tygodnie, gdy już byłam w domu znowu przyszedli do naszej szopy na podwórko i tam wywołali mojego męża. Tym razem ich cierpliwość się skończyła i **zaczęli wręcz wygrażać mężowi: „*Słuchajcie dobrze Roch, jak ty się nie zgodzisz na współpracę, to my tobie tak damy, że ty popamiętasz, a i tak będziesz dla nas pracował!*”**. I zaraz pojechali. Romek był ostatnim spotkaniem tak przestraszony, że postanowił wszystko mi opowiedzieć. I wtedy właśnie po raz pierwszy poznałam cel ich dotychczasowych wizyt, gdyż do tego czasu nic jeszcze nie wiedziałam.

To było straszne, co czuliśmy i przeżywaliśmy. Po krótkim namyśle poradziłam mężowi tak: „*Idź i powiedź im, że ty chętnie byś dla nich pracował, ale jesteś przestraszony od kiedy wróciłeś z III Rzeszy i po nocach przez sen krzyczysz różne rzeczy, a to może zdradzać wiele ubeckich tajemnic. Do tej pory o tym nie mówiłeś ponieważ się tego wstydzisz*”. I rzeczywiście mąż poszedł na świetlicę na Pasterkę i tam się z nimi spotkał i powtórzył wszystko, jak to razem zaplanowaliśmy. A oni na to zaczęli stawiać pytania: „*To dlaczego pan się nie leczy? My pana chcemy mimo wszystko. My pana damy na leczenie.*”. Naturalnie i tym razem mąż się nie zgodził, tym razem wymawiając się moją chorobą, bo to przecież ktoś musi być przy dzieciach. Widocznie postanowili cierpliwie czekać, gdyż wciąż nie odpuszczali. A ja widząc też jaśniej co się dzieje, postanowiłam być blisko męża i nie opuszczać go ani na krok. W tym właśnie czasie przeprowadziliśmy się Gajewa.

Za jakiś czas ubecy znowu przyjechali do męża i tym razem kazali mu wyjść pod gajewską górę na mostek, chcieli solidnie porozmawiać. Widząc zmieszanie Romka i słysząc, jak pomstuje: „*Jeszcze się mnie nie odczepili!*”. Widząc że on idzie, poszłam za nim i krzyczę, jak wariatka na całą wieś: „*A ty dumny do kina idziesz. A dzieci ma i nie obchodzą go wcale. Idzie sobie gdzie chce!*”. **No i siłą rzeczy do tego spotkania z ubekami nie dopuściłam. A gdy wróciliśmy oboje do domu, to śmialiśmy się z Romkiem, co nie miara i mówiliśmy: „*Mój Ty Boże trzeba jeszcze z siebie wariata robić, aby godność zachować.*”**

Znów minęło trochę czasu. Ostatnie najście ubeków na naszą rodzinę, było w październiku 1955 r., tuż przed chrzcinami Barbary. Przed naszym domem zatrzymał się wojskowy gazik. Widząc na co się znowu zanoszą, pogoniłam natychmiast, aby być przy mężu, a on właśnie robił klatkę dla świń. Patrzę a za chwilę wchodzi ten major z Dusznik. Ukłonił się i coś sugeruje tak: „*A pani to zawsze musi, tak przy mężu usługiwać?*”. A ja do niego ostro i niemal ordynarnie: „*A tak bo on mnie nie robi, tak jak trzeba, a potem ja chodzę przy klatce i tylko roboty więcej i męczę się.*”. I tłumaczę Romkowi, co ma dalej przy klatce robić, a na ubeka nawet nie spojłam. A wydieram się na męża ile wlezie. On tymczasem powstał i widząc, że znów nic nie wskóra odjechał. To był ostatni raz, jak nas nachodzili i już więcej, u nas ich nie było. Widać dali sobie w końcu z nami spokój, ale i czasy się wyraźnie polepszyły, gdyż nastał Gomułka i powszechnie mówiło się o komunistycznej odwilży.

NIE POMARLI CI KTÓRZY ŻYJĄ W PAMIĘCI NARODU

Życie rodzinne, ciężka praca i żywa pamięć o Tych, co zostali na Wołyniu, wypełniały nasze kolejne dni i lata na Ziemi Kłódzkiej. W życiu rodzinnym byliśmy

szczęśliwi, żyliśmy z Romkiem zgodnie, pobożnie i dobrze staraliśmy się wychować nasze dzieci. Trzeba było zakasać rękawy i wytrwale pracować, a wiadomo że na gospodarce jest przy czym robić każdego dnia. A jednak nigdy nie zapominaliśmy o naszych bliskich. Szczególnie mocną więzy łączyły nas z rodziną siostry Halinki Kozełko ze wsi Tłumaczów, do której mieliśmy tylko przez górę oraz z rodziną drugiej rodzonej siostry Michalinki Kisielewicz, która wyszła za mąż za Edwarda. Mocne i trwałe więzy pozostawały z jeszcze jedną naszą rodzoną siostrą z Janiną Topolanek z d. Rusiecka, która również mieszkała niedaleko, we wsi Grochowa, gm. Bardo Śląskie, pow. Wałbrzych.

Poza tym na Ziemi Kłodzkiej, jak i na całym Dolnym Śląsku, osiadło b. wielu dawnych naszych parafian oraz mieszkańców Wołynia, z którymi utrzymywaliśmy mniej, lub bardziej ściśle kontakty. Dla przykładu w miasteczku Nowa Sól na Dolnym Śląsku, zamieszkała wraz z mężem Michałem nasza serdeczna koleżanka Helena Wójtowicz z d. Karbownik z osady Budki Kohyleńskie na Wołyniu. Stałe kontakty rodzinne, listowne i nie tylko, łączyły nas także z Ziemią Hrubieszowską, gdzie we wsi Mieniany, gm. Hrubieszów, pozostała po wojnie bratowa Helenka Rusiecka z dziećmi. Właściwie cała dalsza rodzina męża Romana, pozostała na Zamojszczyźnie, a specjalnie we wsi Kopyłów, gm. Horodło oraz we wsi Siedliska, gm. Zamość. Naturalnym biegiem rzeczy wspomnienia z rodzinnych stron z Teresina, Kohylna i Swojczowa, były w naszej rodzinie b. żywe i wciąż powracały, podczas wszystkich spotkań rodzinnych i towarzyskich. [22] [Wiele b. cennych informacji o losach mieszkańców Teresina i okolic, w tym z rodziny Roch, można znaleźć w osobistych wspomnieniach Eugeniusza Świstowskiego, żołnierza 27 Wołyńskiej DP AK ps. „Dąb” z kolonii Teresin na Wołyniu, który po wojnie osiadł we wsi Kopyłów na Ziemi Hrubieszowskiej. Jest to b. cenny dokument, zawierający zeznania naocznych świadków ludobójstwa, dokonanego na ludności polskiej Teresina w sierpniu 1943 r. przez ukraińskich nacjonalistów. Poza tym jest tam dość ważny opis powojennej działalności żołnierzy 27 Wołyńskiej DP AK, skupionych licznie przy kole kombatantów w Hrubieszowie. Wspomnienia te opublikowane 15 czerwca 2010 r., można przeczytać w całości (21 stron) pod adresem: <http://27wdpak.pl/wolyn/107-wspomnienia-eugeniusza-wistowskiego> Dod. autor opr. S. T. Roch].

Pamiętam, że raz jeden rozmawiałam z moją bratową Heleną, która była młodszą, rodzoną siostrą Kazimiery Brzezickiej z d. Roch, a ona tak mi się zwierzyła: „*Mój tato Władysław umarł wcześniej na zapalenie płuc.*”. **Gdy zaś ja przy okazji wspomniałam moją mamę Zofię, która była z Kalinowskich, ona dodała: „A moja z Gronowiczów i powiązała się z Rochami.”** Rozmowa ta miała miejsce, już po wojnie w naszym rodzinnym domu w Gajowie, to było na około 3 lata przed jej śmiercią. Nigdy nie wyrzuciliśmy także z naszych serc, Tych naszych najbliższych, którym winniśmy wieczną pamięć. Szczególnie przeżywał to mąż Roman, któremu nigdy nie było dane stanąć nad grobem mamy Amelii, brata Tadeusza oraz sióstr Kazimiery i Zofii. **Odebrane mu zostało nawet zapalenie znicza na grobie ojca Władysława Roch, który pomarł jeszcze przed II wojną światową, a którego mogiłę banderowcy haniebnie zniszczyli, wraz z całym parafialnym cmentarzem w Swojczowie.** Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć w jakiej atmosferze, przeżywaliśmy zatem święta Wszystkich Świętych, czy Dzień Zaduszny. Dla męża był to czas szczególnej pamięci i głębokiej zadumy nad losem naszej rodziny.

Naturalnie pomimo morza wylanych przez całe życie łez, ogromnego bólu, zadanego przez bezlitosnych oprawców, spod znaków Bandery, naszym najbliższym, żywiliśmy z mężem Romanem w sercach przekonanie, że choć zapomnieć się tego nie da i to do samej, naturalnej śmierci, ale wybaczyć koniecznie trzeba. Nienawiść bowiem sieje straszne zniszczenie i paradoksalnie wyniszcza w pierwszym rzędzie, tych wszystkich, którzy ją w sobie noszą i nieustannie żywią przez podsycanie pragnienia zemsty. Tego w naszym domu nie było i tego naszych dzieci nie

uczyliśmy. I choć trudno wybaczyć, gdy straciło się najbliższych i gdy na własne oczy widziało się, tamte „czerwone noce” na Wołyniu, jednak droga przebaczenia jest jedyną, której człowiek, tak naprawdę z głębi serca pragnie i do której naprawdę tęskni. Po temu i my z serca wybaczyliśmy. Mój kochany mąż Roman odszedł do wieczności 11 marca 1995 r.. Żegnaliśmy go z wielkim żalem, gdyż na tamtą stronę życia, odszedł jeszcze jeden dobry człowiek. Jego ciało spoczęło na cmentarzu parafialnym w miasteczku Radków, u podnóża pięknych Gór Stołowych.

OPATRZNOŚĆ BOŻA NAD NASZĄ RODZINĄ

W 1998 r. moja młodsza siostra Halinka Kozelko po raz pierwszy pojechała do Otwocka pod Warszawą, prywatnie pielgrzymując przed ukochane oblicze Matki Bożej Swojczowskiej. Dla nas wszystkich, było to wielkim przeżyciem. Naturalnie opowiadała nam potem wszystko w szczegółach. Najwięcej Swojczan przybywa tam każdego roku 08 września na uroczysty odpust, by modlić się do Matki Bożej, Pani Ziemi Wołyńskiej, patronki ich tułaczego losu. W tym dniu na ordynansach, u swojej Matki i Królowej, od lat stawiają się także licznie żołnierze 27 Wołyńskiej DP AK. Tego roku uroczystość była jednak szczególnie uroczysta, gdyż połączona z koronacją obrazu, której dokonał Arcybiskup Lwowa Marian Jaworski.

Od tego czasu jeździła tam przynajmniej raz, bodajże w każdy kolejny rok. W roku 2003 po uroczystej mszy świętej w przykościelnej salce, poznała pana Sławomira Rocha, młodego historyka, który pisze książkę o losach byłych mieszkańców Swojczowa i całej naszej, byłej parafii Narodzenia NMP w Swojczowie. Po pierwszych rozmowach, okazało się pan Sławek jest wnukiem Bolesława Roch, stryjecznego brata mego męża Romana. Wymienili się z Halinką adresami i tak rozpoczęła się nasza korespondencja.

W pierwszym liście z 17 listopada 2003 r. do Sławomira Roch do Zamościa, starałam się pokrótce opisać, to co przeżyłam na Wołyniu i to co najlepiej zapamiętałam, tak pisałam: *„Nazywam się Adela Roch z d. Rusiecka, urodzona 07 maja 1927 r. w Swojczowie, córka Jana i Zofii z d. Kalinowska. Obecnie zamieszkała we wsi Gajów 9, gm. Radków, pow. Kłodzko, woj. Dolnośląskie. Moja najgorsza tragedia zaczęła się w 1943 r.. Kiedy były łapanki, rewizje, zastraszania, to jeszcze można było wytrzymać. Ja wówczas miałam 16 lat. W kwietniu 1943 r. byłam na zabawie, u państwa Omańskich. Mieli oni czworo dorosłych dzieci: córka Zosia lat 17, synowie Tadeusz lat 22, Kazimierz lat 20 i jeszcze jeden lat 19, którego imienia nie pamiętam. Byli jeszcze chłopcy z innej wioski. **Przyszło 4 banderowców z bronią. Pani Omańska poczęstowała wódką i jak się napili, tej wódki, zaczęli śpiewać po ukraińsku: ‘Smert Lachom i Żydom....’. Wszyscy Polacy zaczęli uciekać i ja też uciekłam do domu. Od tej pory z moją siostrą Michaliną spałyśmy w stajni na strychu.***

Po naszej wiosce Teresinie jeździły po nocach bandy ukraińskie z bronią na koniach. Wszędzie było często widać pożary. Ja z moim ojcem Janem Rusieckim i bratową Rusiecką Heleną z d. Roch, poszliśmy składać siano do wioski Kohylno. Tam na łąkę przyszło do nas dwóch Ukraińców, ojciec z synem. Poprosili ojca o papierosa i powiedzieli, że to siano nie będzie nam już potrzebne. W nocy nie spaliliśmy już wszyscy w domu, ale uciekliśmy do lasu. Całą noc padał deszcz. Strasznie przemoknięci rano wróciliśmy do domu. W domu były pootwierane wszystkie drzwi, porozrzucane papiery i dokumenty. Mieszkanie było nie do poznania. Wtedy zrozumieliśmy, że naprawdę czeka nas straszna śmierć. Każdy z nas z osobna, polami, rowami, zbożami uciekał do miasta do Włodzimierza Wołyńskiego. Tam zaczęłam pracować w kuchni w niemieckich koszarach

wojskowych.

W styczniu 1944 r. wojsko niemieckie poszło na front, a w koszarach została tylko warta. Ja wiedziałam gdzie jest magazyn z bronią. Brałam po trochę broni i nosiłam partyzantom polskim na Bielin. W tym czasie na Włodzimierz Wołyński napadli ukraińscy banderowcy i musieliśmy wszyscy z rodzicami uciekać na Bielin. Na Bielinie banderowcy napadli na polskich partyzantów, kule leciały ze wszystkich stron. Schowałam się z moim ojcem do piwnicy pustego domu. Tam leżały trzy ciała zabitych mężczyzn, już w rozkładzie. Jak strzelanina trochę ucichła, wróciliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego.

*Pewnego razu wybrałam się z koleżankami do lasu na orzechy do Piatydnia. Tam zatrzymali nas Niemcy i ukraińska policja i nie wpuścili nas do lasu. **Przywieźli cały samochód małych dzieci żydowskich, rozbierali ich, brali za nóżki i główkami tłukli o ziemię i rzucali do dołu, a nam kazali się przyglądać na te okropieństwa. We Włodzimerzu Wołyńskim było getto żydowskie. Wszystkich Żydów, dzieci i dorosłych, wywieźli do lasu do Piatydnia i tam Ich pozabijali.***

W lutym 1944 r. wyjechaliśmy z transportem za rzekę Bug. Na moście Niemcy nas trzymali, tak długo aż dwie osoby zmarzło na śmierć. Ja też zaczęłam zamarzać, ale mój ojciec z panem Karbowiakiem, zaczęli mnie ciągnąć i rozgrzewać i po jakimś czasie doszłam do siebie. Dopiero po południu nas puścili. Za mostem podszedł do ojca młody mężczyzna i powiedział: 'Uciekajcie bo was zaprowadzą za druty do Zamościa.'. Ojciec wozem uciekł z tego transportu, który prowadził niemiecki żołnierz i pojechał na Horodło. Noc nas zastała na Rogalinie, tam nocowaliśmy w stodole. Nie pamiętam u kogo. W Horodle mieszkaliśmy u pana Bacańskiego do końca wojny. Tam chodziłam na kopanie okopów, od Niemców dostawałam kwitki. Kto miał kwitki z okopów nie był zabierany do Niemiec na roboty.

*Tam wyszłam za mąż za Romana Rocha, który powrócił z Niemiec. Mężowi banderowcy zabili dwie siostry: Kazimierę i Zofię oraz matkę Amelię. Brat Tadeusz Roch uciekł z Kohylna i zginął od banderowców na Bielinie. Z mężem Romanem wyjechaliśmy na Ziemię Odzyskane do Gajewa na Dolny Śląsk. Mąż mój już nie żyje, a ja do dziś modłę się do Matki Boskiej Swojczowskiej i dziękuję jej za życie, które mi ocaliła podczas, tej strasznej pożogi.". Na odpowiedź z Zamościa nie musiałam czekać długo bowiem na zbliżające święta Bożego Narodzenia, otrzymałam kartkę z serdecznymi życzeniami oraz spisane wspomnienia Romana Szymanek ze wsi Kohylno i Antoniego Sienkiewicza z kolonii Piński Most na Wołyniu. [23] [Wspomnienia te są dostępne i dziś na stronie: <http://wolyn.ovh.org/>, trzeba tylko kliknąć na drobną ikonkę: **wspomnienia** i wybrać spośród 55 relacji Kresowian z całego Wołynia, w tym wielu z okolic Swojczowa. Dla przykładu wspomnienia pani Marii Roch z d. Tymoczko z kolonii Ludmiłpol na Wołyniu. Jest to cenny dokument o ludobójstwie, dokonany na mieszkańcach Ludmiłpola i okolic przez ukraińskich nacjonalistów. Relacja ta zawiera także b. dużo informacji o losach rodziny Roch na Wołyniu i po wojnie. Wspomnienia te (10 stron), opublikowane są dostępne pod adresem: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/ludmilpol-tymoczko_maria.html . A także wspomnienia Czesławy Roch z d. Rusiecka z kolonii Teresin na Wołyniu, które są b. cennym dokumentem o dokonany ludobójstwie na kolonii Teresin. W relacji tej znajdziemy także opis mordu na rodzinie Roch na Zastawiu w Kohylnie, a także wiele innych ważnych informacji, dotyczących się dużych rodzin Rusieckich i Rochów i ich losów powojennych. Wspomnienia te (8 stron), opublikowane są dostępne pod adresem: http://wolyn.freehost.pl/wspomnienia/teresin-czeslawa_roch.html , Dod. autor opr. S.T. Roch].*

W odpowiedzi na ten list Sławomira Rocha, tak pisałam w drugim liście z Gajewa 25 grudnia 2003 r.: „Drogi kuzynie. Dziękuję Ci bardzo za te życzenia i za te wiadomości. Tylko dużo jest tu nieprawdy. Przeważnie o Amelii Roch. Ja te sprawy chyba najlepiej wiem, ile miała dzieci i jakie. Starsza córka Kazimiera, była mężatką na Teresinie za Brzezickim i miała jedną córeczkę, a z drugą była w ciąży. I razem

uciekła z mężem, ale wróciła coś jeszcze wziąć i ją tam zamordowali w domu. A druga Helena była żoną mojego brata i też na Teresinie. Mieli troje dzieci: dwóch synów i jedną córkę. Uciekli z całą rodziną do Włodzimierza Wołyńskiego. Wtedy ścignęli tam Amelię. Miała krowę. Byli z nią syn Tadeusz i córka Zofia. Pobyła tydzień i była uparta. Brat prosił, żeby nie wracała, a ona postanowiła wracać. A Romka tam nie było, bo był w Niemczech na robotach i nic o mordach nie wiedział. W 1946 r. w lutym dopiero przyjechał do nas na Horodło. A w 1945 r. w kwietniu mój brat zginął na wojnie.

U Helenki było troje dzieci i ona była razem z nami. Romek namawiał ją, żeby jechała z nim na zachód, ale ona bała się i nie chciała teściów opuścić. W 1946 r. w grudniu my się pobrali. Żadnym sposobem nie mógł on opowiadać o mordach na wschodzie, bo go tam nie było. A co do tego kuzyna w kapuscie, to był Mietek Roch, syn Grzeška. A Grzeška nie było w mieście, bo jak jechaliśmy ze swoim obozem to Staška szła z miasta i krzyczała na Helkę, po co wywozić dzieci na głód. Ale mój tatuś był uparty i powiedział, że ludzie gołe się rodzą i gołe giną.

A teraz pisalesz, jak ja się znalazłam na zachodzie. Jak się pobraliśmy, to mieszkaliśmy razem z Helenką, ale po dwóch latach ona sobie znalazła towarzysza i było nam już ciasno. Postanowiliśmy wyjechać w te strony. Zaczął się dramat, bo Romka prześladował pech. Chcieli NKWD-dziści zrobić z niego konfidenta, żeby chodził i podsłuchiwał, co ludzie mówią i donosił. A on się bronił wszystkimi siłami. Powiedzieli, że nie ma prawa nikomu o tym mówić, nawet własnej żonie. A on już był tym zmęczony i wyznał mnie. Ja go namówiłam, żeby mówił że w nocy wszystko wyjawia w śnie. Chcieli wysłać go na leczenie, a ja nie dawałam, bo nie dam sobie rady z trojgiem dzieci. **Później mnie wzywali parę razy na przesłuchania, ale my mówiliśmy to samo. I to się ciągnęło do roku 1952. A później dali mu spokój. Ale on był już chory na serce, ciągle tylko chorował. Jeszcze zdążył pożenić dzieci i powysłać ich z domu (trzech synów i córkę). Zostawili mnie samą w tym Gajowie i muszę jakoś żyć. Więcej nie mam nic ciekawego. Pozdrawiam całą rodzinę i napisz mi, czy jeszcze żyje Anastazja, bo najlepiej ją pamiętam. Adela”.**

Z WIZYTĄ W GAJOWIE

Pod koniec stycznia 2004 r. do mojej siostry Halinki Kozełko, przyjechał pan Sławomir Roch i przez kolejne dni spisywał wspomnienia siostry z Teresina oraz z Wołynia. A kiedy wszystko starannie zanotował, Halinka osobiście przeprowadziła go przez górę i las do mojego domu w Gajowie. Radość z naszego spotkanie była obopólna, szczerą i była wielką. Przez następne dni gościłam kuzyna Sławka w swoich skromnych progach, tak rodzinnie, tak po staropolsku: czym chata bogata. Rozmawialiśmy, wspominaliśmy i pisaliśmy w dniach od 01 do 07 lutego całą historię Rusieckich i Rochów na Wołyniu. Kuzyn Sławek chciał także koniecznie odwiedzić naszą starszą siostrę Janinę Topolanek z d. Rusiecka i kiedy do niej pojechał, to wsiąkł tam na cały tydzień.

Do Gajowa kuzyn Sławek wrócił ponownie 14 lutego w godzinach wieczornych i przebywał, u mnie jeszcze przez parę dni, podczas których spisywaliśmy wytrwale kolejne, ważne relacje rodzinne i moje wspomnienia. 17 lutego na wieczór, przyjechała do mnie w odwiedziny także moja wnuczka Amelia Cisek, która w tym czasie studiowała we Wrocławiu. Po temu nasze rodzinne spotkanie, upływało w jeszcze miłszej atmosferze.

Owoce tych niezapomnianych dni są właśnie powyższe wspomnienia, które osobiście opowiedziałam kuzynowi Sławkowi w moim domu w Gajowie w dniach od 01 do 07 i od 14 do 19 lutego 2004 r.. Po przepisaniu i opracowaniu, zostały mi

przesłane do przeczytania, dwukrotnie w roku 2014. Po zapoznaniu się z opracowaniem, w odpowiedzi pisałam 06 października: „Przeczytałam z uwagą moje wspomnienia spisane przez Sławomira Rocha i jeszcze raz potwierdzam, że są zgodne z tym co zapamiętałam z tamtego okresu mojego życia. Jestem wdzięczna Sławkowi, że zajął się spisaniem wspomnień, bo dzięki Niemu więcej osób poznaje nasze dzieje, a ja sama czytając relacje innych, dowiaduję się o ich losach. Dziękuję Sławkowi! Adela Roch”. A zatem rzetelność opracowania, a tym samym prawdziwość treści wspomnień, potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Adela Roch

DO STÓP MATKI MATKI BOŻEJ SWOJCZOWSKIEJ

W 2003 r. pielgrzymowałam do tronu Matki Bożej Swojczowskiej ze Swojczowa na Wołyniu, której cudowny obraz znajduje się obecnie w Otwocku pod Warszawą, w Kościele św. Wincentego a Paulo. Pojechałam na uroczysty Odpust ku czci Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, tak jak czyniła to moja rodzina, już od pokoleń na Wołyniu. Tego dnia, każdego roku, spotykają się dawni mieszkańcy tej dużej, katolickiej parafii, przed wojną obejmującej Swojczów i szerokie okolice, w tym 55 wsi i kolonii, razem około 4300 wiernych. Nie muszę dodawać, że pielgrzymka ta miała dla mnie znaczenie wielce szczególne, tym bardziej że odbywała w 60 rocznicę rzezi wołyńskiej.

Z różnych źródeł ustnych udało się ustalić, że w nocy 31 sierpnia 1943 r. podczas której mordowano mieszkańców Swojczowa i okolic, po wcześniejszym obrabowaniu, Ukraińcy dwukrotnie, bezskutecznie, usiłowali zniszczyć także murowany kościół. Po dwóch nieudanych próbach wysadzenia kościoła w powietrze, ktoś powiedział: „**To Mater Boża nie pozwala wysadzić Kościoła. Trzeba wpiernusnąć święty obraz.**”. Jak zamierzili, tak i zrobili! Obraz rzeczywiście wydarto brutalnie z ram ołtarza głównego i wyrzucono na zewnątrz świątyni, którą zaraz spalono i zburzono. Z woli Bożej Opatrzności obraz udało się ocalić dwóm Ukrainkom, które podniosły go z ziemi i zabrały do cerkwi w Swojczowie. Dzięki temu ks. Stanisław Kobyłecki, mógł rozpocząć starania o przewiezienie obrazu do parafii Św. Joachima i Anny we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie był proboszczem.

Obraz ze Swojczowa trafił zatem do kościoła we Włodzimierzu Wołyńskim. Następnie po tułaczce, którą odbył wraz z żołnierzami 27 Wołyńskiej DP AK i z ocalałą ludnością polską, obraz został ofiarowany Zgromadzeniu Sióstr Świętej Teresy od Dzieciątka Jezus w Świdrze. **W 1945 r. ks Ludwik Wolski, otwocki proboszcz, umieścił wizerunek w bocznej kaplicy kościoła św. Wincentego a Paulo w Otwocku k. Warszawy.** Obraz był b. zniszczony. Dwa razy poddawano go konserwacji i restauracji. W 1987 r. gruntownej renowacji wizerunku dokonał pan Marian Paciorek z Krakowa. W tej renowacji odsłonięte zostało całe piękno obrazu. Określono czas jego powstania na XVII w..

Dawni parafianie ze Swojczowa i mieszkańcy okolic, którzy ocalili z pożogi wojennej, przybywają do Otwocka w dniu 08 września każdego roku, by modlić się do Matki Bożej, Pani Ziemi Wołyńskiej, patronki ich tułaczego losu. 27 września 1993 r. dokonano uroczystego aktu zawierzenia miasta Otwocka opiece Matki Bożej. Radość była jeszcze większa, gdy w 1996 r. staraniem zamojskiego Stowarzyszenia Polaków Pomordowanych na Wołyniu, postawiony został krzyż w Swojczowie w miejscu zburzonego przez Ukraińców kościoła. Niedługo później przyszło kolejne pocieszenie. Decyzję o koronacji wizerunku Matki Bożej Swojczowskiej, podjął ks. bp Ordynariusz Kazimierz Romaniuk, spełniając prośby

byłych parafian ze Swojczowa i obecnie mieszkających w Otwocku. Koronacja odbyła się 08 września 1998 r. i została dokonana przez Arcybiskupa Lwowa, Mariana Jaworskiego. Miałem łaskę uczestniczyć osobiście w tych pięknych uroczystościach. O wielkiej czci, jaką odbiera Matka Boża w Otwocku, świadczy niezwykle ilość wot wiszących wokół obrazu i przechowywanych w archiwum parafii.

JAK ODNALAZŁEM RODZINĘ NA ZIEMI KŁODZKIEJ

Zatem to był już drugi raz, jak osobiście pielgrzymowałem do stóp Matki Bożej Swojczowskiej w Otwocku. Po pięknych uroczystościach, odbyło się bardzo wzruszające i słodkie spotkanie w przykościelnej salce. To już taka wieloletnia, słodka, swojczowska, kresowa tradycja. Tam na powrót właściwie zawsze odżywają wspomnienia i przyjaźnie. W trakcie tych rozmów i ja poznałem panią Halinę Kozelko z d. Rusiecka. Okazało się, że jako mała dziewczynka, żyła i mieszkała na polskiej kolonii Teresin w parafii Swojczów, a ponieważ w tym czasie, już pisałem swoje opracowanie, o losach polskich rodzin na tym terenie, umówiłem się z nią co do ewentualnego spisania jej wspomnień w przyszłości. Zgodziła się chętnie i tak zaczęła się nasza korespondencja w której **wyczytałem, że jej rodzona siostra to Adela Roch z d. Rusiecka, a jej mąż miał na imię Roman. Tak oto zupełnie nieoczekiwanie, odnalazłem stryjecznego brata, mojego dziadzia Bolesława i jego rodzinę, którzy po wojnie wyjechali na Ziemię Odzyskane, a z którymi nie miałem kontaktu.**

Naturalnie na wskazany adres pani Halinki Kozelko oraz jej siostry Adeli Roch, przesłałem kopie, już spisanych i opracowanych wspomnień, w tym Romana Szymanka ze wsi Kohylno, oraz Antoniego Sienkiewicza z kolonii Piński Most, by mogły się z nimi zapoznać i napisać coś od siebie. W krótkim czasie otrzymałem listy, a w nich ciekawe opisy i cenne, osobiste wspomnienia. Po lekturze, byłem przekonany o konieczności osobistego wysłuchania pani Halinki i Adeli Roch. Zacząłem zatem czynić przygotowania do mojego wyjazdu do Kotliny Kłodzkiej. 29 stycznia 2004 r. w czwartek zadzwoniłem do Tłumaczowa i usłyszałem, że pani Halinka czeka na mnie, już od dawna. Zatem spakowałem wszystkie potrzebne rzeczy i w drogę.....

DO STÓP MATKI BOŻEJ WAMBIERZYCKIEJ KRÓLOWEJ RODZIN

30 styczeń 2004 r. Piątek

Wspomnienie św. Hiacynty i św. Martynty. Droga w pociągu relacji Zamość – Wrocław, trwała całą noc. Czas spędziłem na modlitwie. Potem dobrze spałem, gdy ktoś inny pilnował moich bagaży. Około 05.25 dojechałem na miejsce i od razu udałem się na Ostrów Tumski do Archikatedry pw. Św. Jana Chrzciciela. Modliłem się gorąco i uczestniczyłem we mszy świętej, a potem odmówiłem różaniec w Kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej. W drodze powrotnej na dworzec kolejowy, wstąpiłem jeszcze do OO. Dominikanów i pokłoniłem się bł. Czesławowi, patronowi Wrocławia. Byłem szczęśliwy, że znów mogę się modlić w tym świętym miejscu. Potem udałem się na dworzec i wyruszyłem pociągiem do Wałbrzycha, a stamtąd pojechałem autobusem do Nowej Rudy. Tam miałem trochę czasu, odwiedziłem więc duży i piękny kościół św. Mikołaja i kościół Bożego Ciała. Następnie autobusem dotarłem do nadgranicznej wsi Tłumaczów i odnalazłem dom pani Halinki. Przyjęty zostałem b. miło, zjedliśmy posiłek i zaczęło się wielce interesujące wspomnianie i dzielenie się informacjami na żywo. Zapisałem pierwsze notatki.

31 styczeń Sobota

Wspomnienie św. Jana Bosko. Pobudka 08.30. Modlitwa poranna. Śniadanie, a po nim rozpoczynamy spisywanie wspomnień z kolonii Teresin na Wołyniu. Około 12.00 odmówiliśmy wspólnie modlitwę Anioł Pański i dalej wytrwale pisaliśmy wspomnienia. Około godz. 14.00 był obiad, a o 15.00 odmówiliśmy wspólnie koronkę do Bożego Miłosierdzia. Teraz był czas na odpoczynek, a potem wspólnie z panią Halinką, udaliśmy na mszę świętą do kościoła św. Piotra i Pawła. Służyłem do mszy świętej, jako ministrant i czytałem Słowo Boże do mszy świętej. **Po błogosławieństwie końcowym i tuż po opuszczeniu świątyni, ujrzałem piękną tęczę, która była nad górami, nad kamieniołomem.** Wróciliśmy do domu i po kolacji dalej spisywaliśmy wspomnienia. Oglądaliśmy także zdjęcia rodzinne i wybieraliśmy, co ważniejsze.

01 luty Niedziela

Pobudka 08.30. Modlitwa poranna. Śniadanie. Na godzinę 10.00 udałem się do kościoła św. Piotra i Pawła na nabożeństwo. Służyłem do mszy świętej. Po nabożeństwie jeszcze chwilę wpatrywałem się w Pana Jezusa, a potem wraz ze Zbyszkim Kozelko, który z pokorą czekał na mnie, wróciliśmy do domu. Wspólnie zjedliśmy smaczny obiad, a potem długo oglądaliśmy rodzinne zdjęcia, niektóre z nich otrzymałem w prezencie. Na koniec pożegnałem się i za wszystko serdecznie podziękowałem. Pani Halinka udała się teraz ze mną do rodzonej siostry Adeli Roch, szliśmy przez las i górę, choć nie było mrozu i śnieg ginął nam w oczach, wszelako były jeszcze duże zaspasy i było dość mokro. Gdy weszliśmy na górę byłem b. zaskoczony, że ujrzałem tak piękne widoki gór. Z jednej strony było widać piękny masyw Śnieżki. **Bardzo daleko białą masyw Śnieżki, najwyższej z masywu Gór Karkonoszy oraz okoliczne szczyty. Nie mogłem oderwać oczu. Z drugiej strony przepiękny widok na Góry Stołowe, z najpiękniejszym masywem Szczelińca, jakby na wyciągnięcie ręki lub wprost przeniesiony z Arizony z planu jednego z amerykańskich westernów.**

Byłem po prostu oczarowany i szczerze dziękowałem Bożej Opatrzności, że dane mi było tu przyjechać i to zobaczyć oraz że to właśnie tu Pan pozwolił osiąść Romanowi i jego rodzinie. W duchu tej szczerzej i głębokiej radości, zeszliśmy z góry i ujrzelśmy cel naszej drogi, małą wieś Gajów. Gdy weszliśmy do domu Adeli Roch, przyjęła nas z największą radością. Przywitałem się z nią serdecznie i od razu zacząłem opowiadać, co słyhać w naszej dużej rodzinie Rochów w Zamościu i w okolicach. To był długi, ciepły wieczór, mieliśmy sobie wiele do powiedzenia.

02 luty Poniedziałek

Uroczystość Matki Bożej Gromnicznej. Pobudka 09.00. Modlitwa poranna i śniadanie. Z samego ranka oglądaliśmy zdjęcia rodzinne, a potem do południa spisywałem wspomnienia Adeli Roch z Wołynia. Po obiedzie około 14.00 pojechaliśmy ze Zbyszkim Kozelko do Wambierzyc do Sanktuarium Matki Bożej Królowej Rodzin. Bazylika jest okazała, niezwykle piękna i na wzniesieniu, prowadzą do niej liczne stopnie. W godzinie Bożego Miłosierdzia odmawiałem koronkę, modliłem się żarliwie, dziękując Bożej Opatrzności, że dane mi było pielgrzymować do tego świętego miejsca.

Zwiedziłem też samą Bazylikę, a w jednym z bocznych krużganków, natrafiłem na historyczne, pierwsze miejsce kultu w tym świętym miejscu. Jest tam b. stary, kamienny ołtarz. Oto co doczytałem o tym miejscu: „*Z początkami wsi wiąże się przekazane w 2 połowie XVII wieku opowieści. Według jednej z nich właściciel pobliskiego Ratna około 1200 roku sporządził figurę Matki Boskiej i kazał umieścić ją na przydrożnej lipie. Przy tej figurce modlił się często niewidomy Jan z Raszkowa (z Ratna?), którego przyprowadzała i odprowadzała córka. Pewnego razu Jan, nie*

czekając na córkę, sam postanowił wrócić do domu. Zakończyło się to uderzeniem o drzewo i upadkiem. Kiedy jednak ślepiec podnosił się z ziemi zauważył, że dostrzega zarysy drzew i samą figurkę. W tym momencie nadeszła córka i wraz z ojcem cieszyła się z odzyskania wzroku. To cudowne zdarzenie wzbudziło zaciekawienie okolicznych mieszkańców i spowodowało pielgrzymki do cudownej figury.

W 1218 w miejscu tym ustawiono kamienny ołtarz ze świecznikiem i kropielnicą. Świadectwem tego ma być data na płycie ołtarza umieszczona w krużgankach obecnej świątyni. Jednak wzbudza ona spore wątpliwości, jako że zapis łączy cyfry rzymskie i arabskie: MCC 18. Tego typu zapisywanie dat nie stosowano w XIII wieku i musi pochodzić on z czasów późniejszych. Podobnie jest z figurką, której czas powstania badania konserwatorskie kładą nie na XIII wiek, ale na koniec wieku XIV. Dopuszczają jednak, że obecny wizerunek Madonny Wambierzyckiej może być oparty na wcześniejszym ludowym wizerunku.

W 1263 roku właściciel Ratna, Ludwik von Pannwitz z Łomnicy, miał ufundować kościół w miejscu cudownego zdarzenia, co było potwierdzeniem dużego zainteresowania Wambierzycami i wzrastającego kultu cudownej figurki. Jednak potwierdzone wzmianki o kościele we wsi mamy dopiero z początku XV wieku (1418). Tu również pojawia się Ludwik von Pannwitz jako fundator świątyni. Początków kultu maryjnego w Wambierzycach nie można więc jednoznacznie określić w oparciu o dostępne źródła.”

Napisałem na karteczkach wiele prośb do Matki Bożej, a potem odwiedziłem jeszcze lokalny cmentarz, modląc się za wszystkich, którzy poprzedzili nas swoją ofiarą i modlitwą w tej pięknej świątyni. Wróciłem na mszę świętą w Sanktuarium Matki Bożej i służyłem jako ministrant. Po błogosławieństwie końcowym poprosiłem kapłana o poświęcenie dwóch aniołków, które kupiłem z myślą o babci Julii Marut z Piotrowic. Tymczasem Zbyszek czekał na mnie w domu zaprzyjaźnionej rodziny Undro. Razem wróciliśmy zatem do Gajowa, gdzie po wspólnej kolacji z Halinką Kozelko, było jeszcze wiele czasu na wspomnienia z Teresina i okolic.

03 luty Wtorek

Wspomnienie św. Błażeja i św. Oskara. Pobudka 09.00. Po smacznym śniadaniu wspólnie z Adelą Roch i Halinką Kozelko, pisaliśmy przez kilka godzin wspomnienia z parafii Swojczów. Po godzinie Bożego Miłosierdzia, odprowadziłem Halinkę na górę, gdyż wracała do swego domu w Tłumaczowie. **A sam zbiegłem do miasteczka Radków (ok 2 km), udając się na mszę świętą do parafialnego kościoła pw. Św. Doroty Męczennicy. Wcześniej wstąpiłem na lokalny cmentarz, by choć przez dłuższą chwilę, pomodlić się przy grobie Romana Rocha.** Potem udałem się do kościoła i służyłem jako ministrant do mszy świętej. Po błogosławieństwie końcowym pani zakrystianka, pokazała mi miejsce, gdzie w kościele tym, przechowywane są relikwie św. Doroty Męczennicy. Ucieszyłem się zatem i zaraz udałem się, by relikwie te z miłością uczcić, zanosząc swoje gorące wezwania i modlitwy. Gdy wróciłem do domu w Gajowie, było o czym Adeli wieczorem opowiadać.

04 luty Środa

Pobudka 09.00. Modlitwa poranna i śniadanie. Potem dość wytrwale spisywaliśmy wspomnienia Adeli, aż po czas koronki o Bożym Miłosierdziu. Po wspólnej modlitwie, dalej pisaliśmy wspomnienia z Wołynia. Około 16.00 pobiegłem do Bazyliki Matki Bożej Wambierzyckiej. Nie udało mi się znaleźć drogi przez wzgórze i pola i dlatego pobiegłem przez Radków. To było jednak o wiele dalej, niż zakładałem (ok 12 km). Tak że się spóźniłem, wszedłem właśnie gdy czytano słowa Pisma Św. Wcześniej kupiłem w Wambierzycach dwa duże chleby i trzy kilo soli.

Nabożeństwo było piękne. Stałem między ołtarzem ofiary, a ołtarzem głównym i wprywałem się w cudowną Figurkę Matki Bożej Wambierzyckiej. Byłem szczęśliwy, że już po raz drugi mogłem nawiedzić, to święte miejsce. Modliłem się gorąco i czułem, jak wielka w moim sercu wyzwala się wiara, a przede wszystkim miłość, która rodzi nadzieję, ta zaś nie może nas zawieść. Po błogosławieństwie końcowym poszedłem do zakrystii i poprosiłem kapłana, by poświęcił mi sól i chleb bowiem niestety spóźniłem się dziś na mszę świętą i zapewne święcenie ogólne, już się odbyło. **A on na to, że wspomnienie św. Agaty przypada jutro, a nie dziś. Byłem b. zaskoczony, że się tak pomyliłem, ale zaraz przytomnie dzięki łasce Bożej, powiedziałem tak: „Ale dzisiaj jest już wigilia św. Agaty, więc już możemy dziś poświęcić ten chleb i sól, czy mogę prosić?”**. Kapłan zaraz powiedział z radosnym uśmiechem: „*Oczywiście że można!*”. Wziął kropidło i książeczkę, pięknie odmówił błogosławieństwo św. Agaty i poświęcił. Byłem jakże szczęśliwy. Wczoraj błogosławieństwo św. Błażeja, a dziś i to w Bazylice Wambierzyckiej błogosławieństwo św. Agaty. Zaraz potem udałem się w drogę powrotną i gdy już dotarłem do domu, to rzeczywiście odczułem, że to jednak niezły kawał drogi. Ale dla pielgrzyma takie chadźki, to właśnie żyć, a nie umierać.

05 luty Czwartek

Wspomnienie św. Agaty Męczennicy i św. Izydora. Pobudka 09.00. Modlitwa poranna i śniadanie. Od rana pisaliśmy z babcią Adelą wspomnienia rodzinne z Teresina i z całej parafii Swojczów. Po południu obiad i znowu pisaliśmy kolejne karty historii. Na godzinę 18.00 pobiegłem do Radkowa do kościoła św. Doroty na mszę świętą. Po nabożeństwie odbyło się właśnie poświęcenie chleba i soli i choć już miałem własną, poświęconą w dniu wczorajszym, nie pogardziłem i wziąłem sobie odrobinę chleba. Po powrocie do domu jeszcze nieco spisywaliśmy z babcią Adelą wspomnień z Wołynia.

06 luty Piątek

Wspomnienie św. Doroty Męczennicy. Pobudka rano. Modlitwa poranna i śniadanie. Potem przez cały dzień z małymi przerwami, pisaliśmy wspomnienia babci Adeli. Późnym popołudniem przyjechała Halinka Kozelko oraz jej córka Irena i wszyscy pojechaliśmy samochodem na uroczysty odpust do kościoła św. Doroty w Radkowie. Msza święta była przepiękna, przybyło wielu księży i stawilo się w tym dniu wielu ministrantów. Ja też służyłem do mszy świętej jako ministrant. Po uroczystym błogosławieństwie końcowym i głośno odśpiewanym, chwalebny *Te Deum*, każdy mógł pocałować z należytą miłością i czcią relikwie św. Doroty. Uczyniłem to z największą radością i ja sam. Potem wróciliśmy samochodem do domu babci Adeli, wziąłem swoje rzeczy i od razu pojechaliśmy do Tłumaczowa do domu do Halinki.

Tu przenocowałem, gdyż następnego dnia razem z Halinką oraz z jej córką Ireną, udaliśmy się do Janiny Topolanek. Kiedy już bowiem spisałem bogate wspomnienia obu sióstr, zdecydowałem się skorzystać z zaproszenia i choć nie byłem przekonany, o takiej konieczności, postanowiłem wysłuchać jeszcze ich najstarszą siostrę Janinę Topolanek z d. Rusiecka, zamieszkałą we wsi Grochowa w okolicy Ząbkowic Śląskich. Pojechałem i to co usłyszałem, stało się udziałem kolejnego, b. bogatego opracowania, o którym pisałem już powyżej. Wspomnienia te spisywałem niemal przez cały tydzień od 07 do 13 lutego 2004 r..

14 luty Sobota

Wspomnienie św. Cyryla i Metodego Apostołów Słowian. Pobudka 05.30. Modlitwa poranna i śniadanie. Zaraz potem pożegnałem się z babcią Janiną, gdyż już czekał na mnie bodajże Robert. Jego maluchem przyjechaliśmy do historycznego

miasteczka Bardo Śląskie. Pierwsze kroki skierowałem naturalnie do b. starego Sanktuarium Matki Bożej Bardzkiej w kościele OO. Redemptorystów pw. Nawiedzenia NMP. Tu służyłem jako ministrant do mszy świętej. Bardzo się cieszyłem, że dziś dane było modlić się przed świętym obliczem Figury Matki Bożej Bardzkiej. Po rannej modlitwie czytałem historię tego miejsca oraz opis objawienia się Matki Bożej na górze Bardo. Tak mi się ta historia spodobała, że koniecznie postanowiłem wejść na górę, by nawiedzić kaplicę, miejsce objawienia się Maryi Płaczącej nad ciężkim losem Ziemi Śląskiej.

Poszedłem zatem zaraz na tą górę. Droga wiodła pięknym wąwozem w górę. Idąc z wolna odprawiałem Drogę Krzyżową. Gdy dotarłem na szczyt, byłem poruszony niezwykłym opisem, objawienia się Matki Najświętszej w tym miejscu w roku 1400. A było to tak: *„Maryja w tym miejscu siedziała na głazach, w rękę trzymała chustkę i b. głośno płakała. Matka Boża płakała rzewnymi łzami. Ludzie ten płacz posłyszeli, aż na dole i wyszli na górę, aby zobaczyć kto i dlaczego, tam na górze, tak głośno rozpacza i lamentuje. Gdy wreszcie dotarli na sam szczyt, zobaczyli że na głazach siedzi sama Matka Boża i bardzo żałośnie płacze. Po pewnym czasie Matka Boża na ich oczach, uniosła się do góry i tak znikła. Jednak na kamieniu na którym siedziała Maryja, pozostały po Niej ślady Jej stóp i ślady Jej dłoni. Tkwiły one tam przez całe wieki, dopóki ludzie po kawałku, tych kamieni nie rozłupali, unosząc ze czcią do swoich domów.”*

Dziś na tym miejscu stoi piękna kaplica na cześć objawienia się płaczącej Matki Boga. Właśnie przy tej kaplicy gorąco i radośnie się modliłem, tam też nieco potem odpoczywałem. Obdarowany spokojem, zbiegłem w ramach sportu z góry i wstąpiłem choćby na chwilę na miejscowy, obszerny cmentarz, usytuowany na takiej górze. Jest tam ładna kwatera OO. Redemptorystów. Jeszcze na chwilę tylko wstąpiłem do Sanktuarium Matki Bożej Bardzkiej, a potem udałem się autobusem do Kłodzka. Tym razem miałem niemal natychmiastowe połączenie do Radkowa, po temu dość szybko dotarłem i do Gajowa. Babcia Adela b. się ucieszyła, że dotarłem do niej jeszcze przed nocą, cały i zdrowy. Po kolacji był czas na serdeczne rozmowy i dzielenie się ostatnimi przeżyciami.

15 luty Niedziela

Pobudka 09.00. Modlitwa poranna i śniadanie. Potem sumiennie spisywaliśmy wspomnienia babci Adeli, które jeszcze nie były zanotowane. Po południu udałem się na mszę świętą na godz. 17.15 do Wambierzyc. Tym razem byłem nieco wcześniej i przez całą godzinę, czuwałem na modlitwie w kaplicy Matki Bożej Wambierzyckiej. Po błogosławieństwie wróciłem do domu biegnąc, tak w ramach sportu. W zdrowym ciele zdrowy duch.

16 luty Poniedziałek

Pobudka około 08.30. Modlitwa poranna i śniadanie. Potem wspólnie z babcią Adelą pracowaliśmy, spisując wspomnienia aż do godz. 14.30. Potem ponieważ chciałem dziś koniecznie kupić Figurkę Matki Bożej Wambierzyckiej, poszedłem znów do Wambierzyc. Tu wstąpiłem na Górę Kalwarię, która majestatycznie wznosi dosłownie na przeciw Bazyliki Nawiedzenia NMP. Odprawiłem w skupieniu Drogę Krzyżową. Następnie wstąpiłem do pustelnika Henryka, który mieszka na Kalwarii, sprawując opiekę nad tym miejscem. Przyjął mnie z wielką radością. Razem udaliśmy się na mszę świętą do Bazyliki NMP. Po modlitwie poprosiłem kapłana o poświęcenie dwóch Figurek Matki Bożej Wambierzyckiej. Potem pożegnaliśmy się z Heniem i wróciłem do domu w Gajowie. W drodze powrotnej biegłem, robiąc swój codzienny, wieczorny trening. Przed udaniem się na spoczynek, pisaliśmy jeszcze z babcią Adelą przez krótki czas wspomnienia z Teresina i okolic.

17 luty Wtorek

Pobudka 08.00. Modlitwa poranna i śniadanie. Potem znów pisaliśmy wytrwale z babcią Adelą wspomnienia z Kresów. Około południa odmówiliśmy wspólnie modlitwę Anioł Pański i dalej spisywaliśmy wszystko, co babcia żywo opowiadała. **Około 15.10 z radością raz jeszcze poszedłem, przez zaśnieżone pola do Bazyliki NMP w Wambierzycach. Byłem tam przed czasem i zdążyłem wstąpić do pustelnika Henia.** Razem udaliśmy się na mszę świętą do Bazyliki. Służyłem jako ministrant i czytałem Słowo Boże. Po nabożeństwie kawałek drogi powrotnej przeszedł ze mną Henio. Dalej biegłem swoim zwyczajem, spełniając swój codzienny trening sportowy. Gdy wróciłem do domu, drzwi otworzyła Amelia, córka Barbary Cisek, a wnuczka babci Adeli Roch. Kuzynka Amelia była młoda, uśmiechnięta i miła, a co najważniejsze wierząca. Po przwitaniu rozmawialiśmy miło o tym wszystkim, co nas łączy, co sprawia że jesteśmy jedną rodziną. Mieliśmy sobie wiele do opowiedzenia. Pokazałem jej niektóre ze swoich prac, a ona chętnie słuchała i czytała fragmentami. O 21.00 odmówiliśmy wspólnie z babcią Adelą Apel Jasnogórski, potem jeszcze długo rozmawialiśmy.

18 luty Środa

Wspomnienie św. Konstancji i św. Szymona. Pobudka 08.30. Śniadanie, a po nim spisałem właśnie powyższy dziennik. Gdy po jakimś czasie skończyłem powyższe notatki, dalej spisywałem wspomnienia babci Adeli. Gdy dołączyła do nas Amelka razem odmówiliśmy modlitwę Anioł Pański, a po godzinie trzeciej koronkę do Bożego Miłosierdzia. Około 17.15 wyszliśmy do kościoła na mszę świętą. Ja chciałem znów iść do Wambierzyc, ale Amelka nie chciała iść tak daleko, chciała mnie odprowadzić tylko kawałek drogi. Więc zaproponowałem, byśmy razem poszli do kościoła św. Doroty w Radkowie i zgodziła się. Po nabożeństwie, w którym razem przyjęliśmy komunię świętą, pokłoniłem się jeszcze relikwiom św. Doroty Męczennicy i poprosiłem o dalszą pomoc w życiu. **Po mszy świętej udaliśmy się na cmentarz, gdzie nawiedziliśmy grób śp. Romana Roch. Pomodliliśmy się gorąco w jego intencji, o łaskę życia wiecznego dla niego.** Po powrocie do domu była kolacja, szczęśliwe rozmowy i wspólny Apel Jasnogórski. Na koniec dnia, jak zwykle rachunek sumienia i konieczny odpoczynek.

19 luty Czwartek

Pobódka około 07.30. Modlitwa poranna. Śniadanie wspólnie z babcią Adelą i Amelką. Zaraz potem było pożegnanie z Amelką, która wracała na uczelnię do Wrocławia. A ja z kolei czule pożegnałem się z babcią Adelą i przez górę, udałem się do Halinki Kozelko do Tłumaczowa. Tam miło przyjęty i raz jeszcze ugoszczony, zegnałem się z żalem ze wszystkimi, że muszę już wyjeżdżać, gdyż to był naprawdę piękny i b. szczególny, niezapomniany czas. A już o 12.00 odjeżdżałem autobusem z Nowej Rudy do Wałbrzycha, gdzie wstąpiłem do b. dużego i pięknego kościoła pw. Aniołów Stróżów. Tu modliłem się gorąco i prosiłem gorąco, bym szczęśliwie odnalazł dom naszej rodziny, którego adresu nie byłem pewny. Poszedłem i od razu, bez żadnych problemów, znalazłem dom cioci Agnieszki Kawalec z d. Marut. Jest to rodzona siostra mojego dziadka Michała Marut. Tak mógłbym jeszcze pisać i pisać, ale to już przy następnej okazji.....

O ile dobrze pamiętam babcia Adela Roch opowiadała mi w tych dniach w Gajowie, że **mąż Roman często wspominał swoją rodzinę, z której praktycznie wszyscy zostali na wschodzie. Wiele wskazuje na to, że nie było mu z tym lekko. Tak po ludzku brakowało mu tych kontaktów rodzinnych** i chyba niekiedy tęsknił. Zdawało się że rozumiał, iż nie łatwo przyjechać w odwiedziny dość daleko, aż w Kotlinie Kłodzkiej, choć w jakimś sensie, trudno mu się było z tym pogodzić.

Adela wspominała także o ich kontaktach ze stryjecznym bratem Stefanem Roch z Krakowa, który nawet raz osobiście, miał ich w Gajowie odwiedzić. Stefan Roch był człowiekiem rodzinnym i zatroskanym o pamięć o naszej rodzinie. Potwierdza to jego córka Elżbieta Zelek z d. Roch, która w liście z 11 listopada 2009 r. pisała do mnie z Krakowa, tymi słowami: *„Witam! Jestem córką Stefana Roch, syna Grzegorza Roch z Zastawia na Wołyniu. Mój ojciec opowiadał mi o swojej rodzinie i jej losach. Bardzo żałuję, że nie zapisywałam Jego wspomnień (ojciec nie żyje). Poszukując informacji na temat ludobójstwa na Wołyniu natrafiłam na wspomnienia świadków tamtych wydarzeń spisane przez Pana. Pozwoliły mi one uporządkować dane o moich przodkach i przypomnieć wydarzenia, o których opowiadał mi ojciec. Bardzo mnie poruszyły zamieszczone artykuły.*

W latach swojego dzieciństwa (mam obecnie 60 lat) bardzo często przebywałam, u braci mojego ojca Stanisława i Mieczysława w Kopyłowie. Mieszkam w Krakowie gdzie również mieszkali moi rodzice. Kilka miesięcy temu postanowiłam napisać kronikę swojej rodziny i w związku z tym poszukuję danych oraz osób, które udzieliłyby mi na ten temat informacji. Bardzo proszę o wiadomość, czy Pan posiada jakieś informacje na ten temat, lub nazwiska osób, które mogłyby mi udzielić informacji o moich przodkach? Pozdrawiam Elżbieta Zelek z d. Roch” .

NIE DLA WOJNY I ZABIJANIA!

Tak dla pokoju i rozwoju narodów! Tymi słowami z Częstochowy z dnia 26 sierpnia 2014 roku, pasterze polscy modlą się i apelują do narodu polskiego o czuwanie i tak potrzebny, we wszystkich decyzjach umiar i rozsądek. Zatroskani o pokój w Europie i na świecie w 75. rocznicę wybuchu II wojny światowej, raz jeszcze przypominają w liście cienie i blaski ostatniego stulecia. Jest to znakomita synteza polskiego patriotyzmu i ofiarności polskiego narodu, jego niezbywalnego wkładu w walce i mozolnej pracy dla życia w wolności i o godność we współczesnej Europie. Subtelnie ujęta niemal cała historia ostatnich, dramatycznych dekad, oto treść tego listu: *„Umiłowani Bracia i Siostry! Od Jasnogórskiego Tronu Maryi kierujemy do Polaków w Ojczyźnie i poza jej granicami słowo pasterskie z okazji 75. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Była ona strasliwym doświadczeniem dwudziestowiecznej Europy i świata. Pochłonęła dziesiątki milionów istnień ludzkich, odcisnęła się na losach narodów i państw. Stała się początkiem wieloletniego czasu przemocy, bezprawia i bezsilności, straty najbliższych oraz utraty Ojczyzny. II wojna światowa ujawniła otchłań zła, do jakiego zdolne są zbrodnicze ideologie i systemy polityczne, które odwróciły się od Boga, przekreślając Jego prawa. Z drugiej zaś strony ukazała też piękno i siłę ludzkiego ducha, czerpiącego często swą siłę ze źródeł wiary: gotowość do poświęceń w imię niezbywalnego prawa narodów do życia w wolności, stawanie w obronie wartości, które kształtowały drogę pokoleń, czynne przeciwstawianie się dyktatowi zła.*

Papież Benedykt XVI zachęcał nas: „Musimy pamiętać o dramatycznych wydarzeniach, które zapoczątkowały jeden z najstraszliwszych konfliktów w dziejach, który spowodował dziesiątki miliony ofiar i przyniósł tak wielki ogrom cierpień umiłowanemu narodowi polskiemu. Konflikt, w czasie którego doszło do tragedii Holokaustu i zagłady innych zastępów niewinnych istot”.

Los zwyciężonych, lecz niepokonanych

Polska jako pierwsza doświadczyła tragedii i skutków tej wojny. We wrześniu 1939 roku dwaj najeźdźcy, dokonując czwartego rozbioru Rzeczypospolitej, nie tylko odebrali nam wolność, ale zaczęli też burzyć utrwalony porządek życia, dając pierwszeństwo sile przed prawem, moralnemu bezładowi przed porządkiem

chrześcijańskich zasad, narzucając bezbożną ideologię narodowego socjalizmu i ateistycznego komunizmu.

Nie sposób ustalić liczby ofiar rozpętanego wtedy na terytorium Rzeczypospolitej misterium iniquitatis – misterium nieprawości. Jego symbolami stały się Katyń i Auschwitz, miejsca, gdzie w szczególny sposób objawiła się bezwzględność zła, nienawiści i pogardy dla człowieka. W okupowanej Rzeczypospolitej rozpoczął się czas zaprogramowanego ludobójstwa, które w szczególnie tragiczny sposób dotknęło Żydów. Był to okres eksterminacji różnych grup społecznych, w pierwszym rzędzie kapłanów i inteligencji, czas terroru, więzień, egzekucji, wywózek, negacji praw obywatelskich, niepewności jutra, trudności codziennego życia.

Mimo tych strasznych doświadczeń rozpoczął się wtedy także czas heroicznych zmagania o wolność. Tysiące naszych braci i siostr wkroczyło na trudną, znaczną ofiarami drogę, która miała doprowadzić do odzyskania Polski Niepodległej. Była to droga zwyciężonych, ale niepokonanych. Szedł nią Rząd Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, ukazując światu, że państwo polskie ciągle istnieje, i Polskie Państwo Podziemne, które w okupowanej Ojczyźnie stworzyło sprawnie i skutecznie działające konspiracyjne struktury życia narodu. **Ku upragnionej wolności prowadził żołnierski, ofiarny czyn Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, także czyn żołnierzy, którzy swoją drogę do Polski zaczęli nad Oką. Na tej drodze Warszawa rozegrała samotny bój w dniach sierpniowego i wrześniowego Powstania 1944 roku. W ten sposób naród dał dowody, że gotów jest do największych poświęceń dla odzyskania i utrwalenia niepodległości.**

Tamten wojenny czas ukazał heroizm świętego ojca Maksymiliana Marii Kolbego, który ofiarował swoje życie za nieznanego brata, a także świadectwo dane Bogu i Polsce przez błogosławionych 108 męczenników II wojny światowej i przez wielu innych naszych Braci i Siostr, wiernych Chrystusowi, Jego Ewangelii i Kościołowi.

Po wojnie

Kres II wojny światowej nie rozpałił nad Polską jutrzeńki wolności. Nowy powojenny porządek zadekretowany przez zwycięskie mocarstwa włączył Polskę do bloku państw podporządkowanych Związkowi Radzieckiemu. **Emigracyjną tulaczkę rozpoczęli żołnierze polskiej wolności, ci spod Monte Cassino, spod Ankony, ze zwycięskiego pochodu brygady gen. Stanisława Maczka – żołnierze, których zdradził świat. W więzieniach poniosło śmierć wielu bohaterów Polski Niepodległej, skazanych za ofiarną służbę Ojczyźnie, zwłaszcza tak zwanych Żołnierzy Wyklętych.**

Tak jak w chwili zagrożenia Ojczyzny w 1920 roku, tak również po 1945 roku z Jasnej Góry rozlegał się apel biskupów polskich w obronie narodu, któremu odebrano prawo do stanowienia o wspólnym dobru, jakim jest wolna, niepodległa Polska. Umacniali oni nadzieję i wiarę w zwycięstwo za przyczyną Królowej Polski. Pośród nich ze szczególną mocą rozbrzmiewał głos Sługi Bożego Kardynała Stefana Wyszyńskiego, przewodnika Kościoła i Narodu.

Później Polska i świat usłyszały słowa Jana Pawła II wypowiedziane 2 czerwca 1979 roku na Placu Zwycięstwa: „Nie może być Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej na jej mapie”. I przyszedł wreszcie czas wolności. Ofiarnym trudem pokoleń, zaufaniem nadziei, zawierzeniem polskich dróg Chrystusowi i Jego Matce, scalone zostało pęknięte we wrześniu 1939 roku ogniwo polskiej wolności i niepodległości. Nawiązywał do tego Święty Jan Paweł II w liście w 50. rocznicę bitwy o Monte Cassino: „**My Polacy nie mogliśmy uczestniczyć bezpośrednio w tym procesie odbudowy Europy, który został podjęty na Zachodzie. Zostaliśmy z gruzami**

własnej Stolicy. Znaleźliśmy się, jako alianci zwycięskiej koalicji, w sytuacji pokonanych, którym narzucono na czterdzieści lat dominację ze Wschodu, w ramach bloku sowieckiego. Tak więc dla nas walka nie skończyła się w roku 1945. Trzeba ją było podejmować wciąż na nowo”.

Wołanie o pokój dzisiaj

Czy dzisiaj – po dwudziestu pięciu latach życia w wolności – pamiętamy o trudzie drogi, która do niej prowadziła? Czy pamiętamy o poniesionych przez naród ofiarach? Jest to naszą świętą powinnością. „Nie można dopuścić do tego, ażeby w Polsce, zwłaszcza w Polsce współczesnej, nie zostało odtworzone martyrologium Narodu polskiego” (Jan Paweł II, List w 50. rocznicę bitwy o Monte Cassino, 1994).

Ten obowiązek winien nas skłaniać do przebaczenia, które jest niezbędnym warunkiem zaistnienia pokoju. Nie można rozpocząć żadnego procesu pokojowego, jeżeli w ludziach nie dojrzeje postawa szczerego przebaczenia: „Bez niego stare rany będą nadal krwawić, podsycając w kolejnych pokoleniach zawziętą nienawiść, która jest źródłem zemsty i wciąż nowych zniszczeń. Udzielenie i przyjęcie przebaczenia to nieodzowny warunek wspólnego dążenia do prawdziwego i trwałego pokoju” (Orędzie Jana Pawła II na XXX Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia 1997 r.). Święty Jan Paweł II podkreślał, że przebaczenie jest szczególnym rodzajem miłości, koniecznym dla życia w pokoju.

Pokój jest naszym obowiązkiem, do którego trzeba się wychowywać. Choć już kilka pokoleń Polaków żyje, nie mając bezpośredniego doświadczenia wojny, to jednak przygotowywanie kolejnych generacji do życia w pokoju winno być nieustannie pragnieniem tak rodzin, jak i tych, którzy mają wpływ na wychowanie dzieci i młodzieży. Niezbędnymi warunkami zaistnienia pokoju jest poszanowanie praw człowieka, szacunek dla wolności, w tym wolności religijnej i wolności sumienia, rozwój, solidarność oraz dialog. Ojciec Święty Franciszek dodał do tej listy braterstwo.

W ostatnich tygodniach wołanie: „Tak – dla pokoju i rozwoju narodów, nie – dla wojny i zabijania” nabiera nowego znaczenia. Na kontynencie europejskim, na ukraińskiej ziemi, z którą tak mocno wiąże nas historyczna pamięć, trwa niewypowiedziana wojna. Giną żołnierze i ludność cywilna, cierpią rodziny, serca ludzkie ogarnia nienawiść. Wydarzenia te, godzące w prawo narodów do wyboru własnej drogi, budzą uzasadniony niepokój także o przyszłość naszej Ojczyzny. Oczekujemy podjęcia skutecznych działań, które mogłyby pokojowymi środkami zahamować tragedię wojny.

Na ogarnięte wojną i działaniami terrorystycznymi ziemie naszych sąsiadów kierujemy z Jasnej Góry Zwycięstwa przesłanie pokoju, które przynosi człowiekowi Chrystus. To On zburzył mur wrogości rozdzielający ludzi (por. Ef 2,14). My sami już kilkakrotnie, jako wspólnota katolickiej wiary, podejmowaliśmy trud burzenia takich murów wrogości i nienawiści, czego przykładem jest List biskupów polskich do biskupów niemieckich: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” – z listopada 1965 roku, będący zachętą do oczyszczenia pamięci historycznej, do wyznania win i torowania drogi ku pojednaniu. [...]”.

*Wdzięczni polskim Pasterzom za ten piękny List, skierowany do nas wszystkich. My Kresowianie prosimy dziś pokornie Bożą Opatrzność, by przy symbolach Katynia i Auschwitz, zajaśniał Bożą łaską i ten trzeci: Wołyń. Jest to bowiem symbol nie tylko Ziemi Wołyńskiej, ale całych polskich Kresów Południowo – Wschodnich, a także Bieszczadów i Ziemi Lubelskiej. **To prawda, że w Katyniu i w innych miejscach wymordowano okrutnie i haniebnie polskich oficerów, kwiat polskiej inteligencji. To prawda, że w Auschwitz zgładzono haniebnie ponad***

milion Żydów i setki tysięcy ludzi z innych narodów w tym b. wielu Polaków. Lecz jest także prawdą, że na Wołyniu nacjonałiści ukraińscy, wymordowali w niezwykle ukrutny, wprost nieludzki sposób dziesiątki tysięcy ludzi, a na całych Kresach około 200 tysięcy. Gwoli prawdy i uczciwości do tej liczby trzeba jeszcze dodać, bodajże około 300 tysięcy Żydów, zgładzonych na Kresach (do rzeki Zbrucz) rok wcześniej, przy czynnej pomocy ukraińskiej policji pomocniczej.

Bez precedensu pozostaje fakt, że totalnie wyniszczono ludność polską, zamieszkałą na olbrzymim terenie, a kogo nie zabito, to tylko dlatego, że ratował się ucieczką, spopielaając zarazem wszelką polską mejętność do golej ziemi. Historycy doliczyli się ponad kilkaset sposobów zadawania torur (dr Aleksander Korman) i śmierci przez ryzunów na Wołyniu i Kresach. Bestialstwo banderowców i ukraińskich chłopów, przewyższało w swoich rozmiarach największe katusze i zbrodnie, dokonywane nawet przez Japończyków, czy chorwackich faszystów. Po temu Kresowianie w Polsce, a nawet rozsiani po całym świecie konsekwentnie, domagają się nazwania zbrodni wołyńskiej ludobójstwem, a sprawców tych haniebnych czynów zbrodniarzami. Po temu od wielu lat zbierane są podpisy i organizowane są przeróżne akcje i wydarzenia, w tym kulturalne, by polski parlament nazywając rzeczy po imieniu, ogłosił w końcu 11 Lipca Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian.

Chcielibyśmy prosić Pasterzy polskich, by nie rodziły się w polskich sercach uczucia pokusy opuszczenia, by nie daj Boże lud kresowy, lud zawsze niezwykle wierny kościołowi obrządku rzymskokatolickiego, a tak b. zraniony, tak b. eksterminowany przez wiernych obrządków prawosławnego i grekokatolickiego, by ten lud nie daj Boże nie czuł się gorszony w jego ziemskiej pielgrzymce do wrót Królestwa Niebieskiego przez własnych Pasterzy. Oto bowiem relacja ks. Tadeusza Isakowicza – Zaleskiego, opublikowana na jego stronie 06 października 2014 r. zatytułowana: *„Upamiętniono kapłanów pomordowanych przez UPA”*, czytamy w niej: *„Wczoraj, w Czerwonej Wodzie k. Zgorzelca (gmina Węgliniec) odsłonięty został pierwszy w Polsce pomnik upamiętniający polskich kapłanów rzymskokatolickich pomordowanych przez nacjonalistów ukraińskich z UPA i SS Galizien. Paradoksem historii jest fakt, że ich oprawcy też byli katolikami, bo należeli do Cerkwi grekokatolickiej. Jej zwierzchnikiem był arcybiskup Andrzej Szeptycki ze Lwowa, którego Ukraińcy - co jest takim paradoksem - chcą wynieść na ołtarze.*

Tablica ufundowana została przez osoby prywatne, a jej inicjatorem jest Alfred Janicki, zasłużony działacz kresowy. Na tablicy umieszczone są 84 nazwiska, ale to dopiero połowa, bo zamordowanych duchownych było dwukrotnie więcej. Obok tablicy posadzona jest aleja Aleja Pamięci. Każde drzewo dedykowane jest jednemu z kapłanów. W uroczystości uczestniczyło wielu księży, ale - jak zaznaczył w swoim przemówieniu prezes Szczepan Siekierka z Wrocławia - bez udziału choćby jednego księdza biskupa. No cóż, fascynacja Majdanem ogarnęła nie tylko polityków. A tak na marginesie, czy ktoś pamięta, ilu biskupów było na pogrzebie Bronisława Geremka, który z Kościołem katolickim niewiele miał wspólnego? Relację z uroczystości, wzbogaconą zdjęciami i fragmentami mojego kazania, czytaj na stronie: <http://legnica.gosc.pl/doc/2188522.Pamietac-nasza-powinnosc>. W serwisie wieczornym Katolickiej Agencji Informacyjnej, rozsyłanym do dziennikarzy, o upamiętnieniu w Czerwonej Wodzie nie było ani słowa.”

Niestety wiele środowisk świeckich w Polsce, wciąż zdradza elementarny brak wiedzy na powyższe b. ważne tematy, lub conajmniej brak wyczucia i wysokiej kultury, nieodzownej, wobec tak ważkich kwestii historycznych, dotyczących martyrologium Narodu Polskiego. Paskudnym przykładem takich błędów, raniących

tysiące byłych mieszkańców Kresów, wciąż żyjących naocznych świadków ludobójstwa, dokonanego na Wołyniu i w innych częściach Kresów, są przeróżne inicjatywy społeczne, organizowane w duchu, jakoby zbliżania dwóch bratnich narodów. Lecz w rzeczywistości, obliczone na korzyść tylko pewnych środowisk, budują jeszcze większe podziały i rodzą nowe poważne problemy społeczne i narodowościowe. Jaskrawym przykładem tego b. niebezpiecznego procesu jest poniższa hucpa pszczelarzy polskich.

PSZCZELARZE Z ZIEMI ŚWIĘTOKRZYSKIEJ

Bałtów kusi niezwykle atrakcyjnymi. Tak oto przedstawiano i gorąco promowano od środy 20 sierpnia 2014 r. w internecie, kolejnego kandydata do tytułu Letniej Stolicy Świętokrzyskiego. Otwieram zatem właściwą stronę (adres podany jest na końcu artykułu) i czytam tam zdumiony, że pszczelarze z Ziemi Świętokrzyskiej, polewają oto sobie dość rażno, a jakże i to słodkim miodem, piewę Bandery, Szuchewycza i innych zbrodniarzy na Wołyniu i Kresach.

W czym rzecz? Otóż były prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko miał być oficjalnym gościem, rozpoczynającego się w Bałtowie VII Świętokrzyskiego Święta Pszczoły. Lider ukraińskiej „Pomarańczowej Rewolucji” miał przyjechać do Bałtowa w piątek 22 sierpnia razem z grupą ukraińskich pszczelarzy. Czytam tam także, że ukraińscy pszczelarze, już w poprzednich latach, gościli na bałtowskiej imprezie, a w tym roku przyjeżdżają razem z byłym prezydentem oraz przedstawicielami ministerstwa rolnictwa. Imć Juszczenko miał przyjechać w piątek i uczestniczyć w popołudniowych imprezach Święta Pszczoły. Następnego dnia w sobotę miał wziąć udział w Międzynarodowej Konferencji Pszczelarskiej.

Autor artykułu posuwa się nawet do górnolotnego stwierdzenia: „*Niezwykli goście przyjeżdżają na zaproszenie ostrowieckiego Świętokrzyskiego Związku Pszczelarzy*”, by zaraz potem dolać jeszcze, bezceremonialnie i właściwie bezkarnie oliwy do ognia: „*Niezwykłe wydarzenie, jakim jest Święto Pszczoły, a tym bardziej obecność na nim tak dostojnych gości, będzie nobilitacją dla naszej miejscowości*”. Powołuje się przy tym na Piotra Lichota, prezesa Stowarzyszenia Delta, który przygotowuje pobyt Juszczenki w Bałtowie, który naturalnie zachwycony i cały w skowronkach pieje niemal z radości: „*Niewielu ludzi w Polsce wie, że były prezydent Ukrainy, Wiktor Juszczenko jest znanym w swoim kraju pszczelarzem.*”.

PIJĄ JEDZĄ LULKI PALĄ A KRESOWIANOM W PYSK

Zdecydowanie wyraził się o tym 22 sierpnia na swojej stronie zacny ks. Tadeusz Isakowicz – Zaleski w krótkim, ale jakże trafnym i dosadnym komentarzu pt.: „*Juszczenko, gloryfikator Bandery i UPA, przyjeżdża do Polski*”. Oto co możemy tam przeczytać: „*W chwili, gdy na Ukrainie wschodniej leje się krew i giną setki niewinnych osób, skompromitowany eks-prezydent ukraiński Wiktor Juszczenko, gloryfikator zbrodniarzy Stepana Bandery i Romana Szuchewycza oraz morderców z UPA i SS Galizien, przyjeżdża sobie jakby nigdy nic na piknik do Polski, aby pojeść, popić i potańczyć. Co za bezczelność! A zarazem, co za bezmyślność tych, co go zaprosili.*”.

Jak donosi portal www.echodnia.eu, ten fałszywy przyjaciel Polaków, który zniszczył owoce tzw. 'pomarańczowej rewolucji' i który za to został odrzucony w wolnych wyborach w 2010 r. przez własny naród, będzie dziś i jutro przebywać w Bałtowie koło Ostrowca Świętokrzyskiego, aby uczestniczyć w VII Świętokrzyskich Dniach Pszczoły. Na dodatek przyjeżdża wraz z przedstawicielami ukraińskiego ministerstwa rolnictwa, tego samego, co w ramach 'wdzięczności' za okazaną przez

nasz kraj pomoc Ukrainie nałożyło embargo na polską wieprzowinę. Stroną zapraszającą jest Świętokrzyski Związek Pszczelarzy. Zaproszenie wystosowano, gdyż ponoć Juszczenko jest - uwaga! - znanym pszczelarzem. Śmiechu warte.

***Taka wizyta i to w obecnej sytuacji, to wręcz prowokacja. Zapraszający ponoszą za to pełną odpowiedzialność.** Także za ewentualne incydenty, które ta wizyta może wywołać. Świętokrzyskim pszczelarzom trzeba życzyć więcej roztropności. Wspólna fotografia z tak kontrowersyjnym politykiem, chciałoby się powiedzieć: trutniem i szkodnikiem, może być bowiem dla nich nie tylko kompromitacją, ale i strzałem w stopę. Oby tylko nie spotkał ich za to los polskich producentów jabłek, papryki, czy wspomnianej wieprzowiny, którzy z powodu embarga nałożonego, czy to przez Rosję, czy Ukrainę, tracą źródło utrzymania dla siebie i swoich rodzin”.*

Doprawdy nic dodać, nic ująć! Można tylko raz jeszcze gorąco podziękować ks. Tadeuszowi za Jego modlitwę, siły i czas, który poświęca dla Kościoła Ormiańskiego w Polsce dla własnych parafian, dla niepełnosprawnych dzieci i dla Fundacji im. Brata Alberta oraz naturalnie dla nas Kresowian. Gdyż słowem bym o tej hucpie nie wiedział, na tak zacnej i zasłużonej przeciwieństwie dla naszej ojczyzny Ziemi Świętokrzyskiej, gdyby nie strona ks. Tadeusza, którą odwiedzam przynajmniej raz dziennie, a właśnie tam o tym zakalcu pszczelarzy wyczytałem.

PIŹDZI JAK W KIELECKIEM

Naturalnie zbulwersowany powyższym faktem, poniewierania pamięci o wszystkich Męczennikach, którzy pozostali na Wołyniu i na całych Kresach, już na wieczną wartość, nie omieszkalem natychmiast zamieścić pod artykułem stosowny, własny komentarz, oto jego treść: „*Piżdzi jak w Kieleckiem - znaczy: zimno jak w Kieleckiem! To stare polskie porzekadło ludowe, które nawiązywało do niskich temperatur zimową porą w Górach Świętokrzyskich. W tej ludowej wersji zatem nie jest ono, ani naganne, ani obraźliwe dla kogokolwiek, daje za to mocno do myślenia. Pszczelarze z Bałtowa i z okolic Ostrowca Świętokrzyskiego nie tylko narazili się na ostrą krytykę ze strony normalnych ludzi, a szczególnie gęsto rozsianych, po Polsce i po całym świecie Kresowian, ale nade wszystko znieważają pamięć setek tysięcy zamordowanych w latach II wojny światowej: Polaków, Żydów, Ormian, przeważnie niewinnych kobiet, dzieci i ludzi w podeszłym wieku. Zaproszenie Wiktora Juszczenki na ich pszczelarski piknik, pozostaje w zdecydowanej opozycji wobec najbardziej humanistycznych praw jednostki ludzkiej bowiem Imć Juszczenko jest oficjalnym gloryfikatorem, a zatem publicznym wyznawcą, niezwykle okrutnych, wprost niehumanitarnych autorów i realizatorów ludobójstwa, dokonanego na ludności Kresów w latach 1939 - 1947.*

***Poza tym poraża brak wyczucia pszczelarzy świętokrzyskich nie tylko, już w aspekcie odpowiedzialności zbiorowej, rzecz można państwowotwórczej, ale nawet i tej regionalnej, osobistej.** Otóż to właśnie na Świętym Krzyżu złożono ciało jednego z najwybitniejszych wodzów rycerstwa I Rzeczypospolitej Polskiej, mianowicie księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Rusina do końca wiernego ojczyźnie Jego i naszej, którego wojska pod Jego niepokonaną buławą, zdołały uratować i wyprowadzić, spod kozackiego noża, tysiące niewinnych Polaków i Żydów z czasów I krwawego ludobójstwa na Kresach, podczas Powstania Bohdana Chmielnickiego w roku 1648. **To właśnie w Kałkowie - Godowie zbudowano słynną Kalwarię Narodu Polskiego, na której jedna z Kaplic jest poświęcona Męczennikom Wołynia i całych Kresów oraz bohaterskiej 27 Wołyńskiej DP AK.** Czyżby te symbole nie były znane pszczelarzom świętokrzyskim, a może nie są już po prostu w stanie stopić sopli lodu,*

ociekających z ich pszczelarskich serc? Osądzać nam nie wolno, ale pytać i owszem, a nawet w tej sytuacji koniecznie trzeba.

Na koniec niepokoi pewne podobieństwo. Otóż wszyscy doskonale wiemy, jakim powodzeniem zakończyła się akcja I Kompanii Kadrowej Józefa Piłsudskiego w Kielcach w roku 1914. Jeszcze lepiej zaś znany jest końcowy owoc polskiej ofensywy majowej w roku 1920 na Kijów. I w pierwszym przypadku nie było widać animuszu, a w drugim było chyba nawet znacznie gorzej. Czyżby polscy pszczelarze, aż tak dobrze znali historię, która jak powiadają prości ludzie od wieków: kołem się toczy? Naturalnie ktoś mógłby mi zarzucić, tu wprost złośliwość. Broń mnie Panie Boże, otóż daleki jestem od takiej wrednej postawy, ale wobec tak nieużytecznej, wprost nieodpowiedzialnej akcji pszczelarzy świętokrzyskich, mamy prawo my Kresowianie pytać. A jeśli to konieczne, to może i niekiedy, niestety i co niektórych, może niedouczonech (bez obrazy), lub niedomyślnych, nieco historycznie uświadomić, o co niektórych tylko konsekwencjach, ich miodoustnych pikników i z innych, tuż podobnych akcji”.

Na szczęście ostra reakcja wielu środowisk Kresowian w Polsce sprawiła, że b. prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenko, dopadły podobnie skrupuły, a może i przedwczesna niestrawność. Dość powiedzieć na tym, że oficjalnie Juszczenko wymówił się kieleckim pszczelarzom b. trudną sytuacją na ogarniętej wojną domową Ukrainie Wschodniej, znaczy w Donbasie. Niesmak jednak pozostał, a szkoda bowiem miód osobiście b. lubię i b. często z niego korzystam. Można sobie tylko życzyć, aby więcej już pszczelarze nie psuli, wspaniałego smaku polskiego miodu.

Proszę zarazem każdego, a w szczególności Kresowian w Polsce i na świecie, by w ramach własnych możliwości, umieszczać swoje własne i dosadne wpisy, tak by w przyszłości, nikt o zdrowych zmysłach nie liczył na nasze „milczenie owiec”, zarzynanych brutalnie przez obłąkanych banderowców, raz jeszcze owiec. Niezwykle celnie ujął to śp. zacny Jan Zaleski, tato ks. Tadeusza Isakowicza – Zaleskiego, miał bowiem za życia powiadać: „Kresowian zabito dwukrotnie. Raz przez okrutne ludobójstwo na Kresach, a drugi raz przez przemilczanie owego ludobójstwa, już po wojnie”.

W tym przypadku, było już wiele ciekawych i dosadnych wpisów, a niektóre z nich zasługiwały nawet na uwiecznienie, jak choćby ten napisany 22 sierpień 2014 przez Gucio: „Cyt: *‘obecność na nim tak dostojnego gościa, będzie nobilitacją dla naszej miejscowości.’. Ludzie czy wy nie znacie historii? Nobilitacja piewcy banderyzmu jest dla was powodem do dumy? Czy wyście się dymiarką zaczadzili? Czy was pszczoła w głowę ukąsiła? To nie jest żaden powód do chwały, raczej do smutku i zadumy, że się własnej historii nie zna i ma gdzieś rolników z Kresów, którzy zostali wyrżnięci przez banderowskie sotnie w tak bestialski sposób, jak się nawet świni w gospodarstwie nie zarżyna. Ta pszczoła która go ukąsi (Wiktora Juszczenko), będzie mieć więcej oleju w głowie, niż cała wierchuszka związku świętokrzyskich pszczelarzy, taka prawda panowie.”. Ale chyba ktoś się mocno postarał i ostatnio nie mogłem się ich (tych wpisów) doszukać. Pomimo to nie trzeba się zrażać, gdyż nawet jeśli zdarzy się, że ktoś postępuje nieuczciwie i usuwa niewygodne dla siebie wpisy, warto próbować i bywa, że nasz głos jest słyszany, przynajmniej przez pewien czas na szerokim forum społecznym. Istnieje jeszcze inny, doniosły wymiar naszej aktywności bowiem pozostawiamy ślad, który innym dodaje odwagi i mobilizuje do pracy nad samym sobą. Poza tym odpowiedzią Kresowian na wszelkie próby izolacji i inne tego typu praktyki, ale nade wszystko wobec spychania inicjatyw środowisk Kresowian w Polsce na margines społeczny, są także ważne inicjatywy, które zrodziły się oddolnie, jak ta właśnie poniżej.*

PATRIOTYCZNY ZWIĄZEK ORGANIZACJI KRESOWYCH I KOMBATANCKICH

„Nie ma zbrodniczych narodów,
są zbrodnicze ideologie i organizacje.” Wiktor Poliszczuk

20 września 2014 r. w Warszawie, w siedzibie Związku Kombatantów RP i BWP, powołano nową organizację „*Patriotyczny Związek Organizacji Kresowych i Kombatanckich*”, którego założycielami stały się liczne organizacje kresowe i kombatanckie, a także inne stowarzyszenia i fundacje sympatyzujące ze środowiskiem Kresowian. Inspiracją tej inicjatywy stały się fakty coraz wyraźniejszej aktywizacji środowisk mniejszości ukraińskiej, o wyraźnym nasyceniu ideologią banderowską oraz brak wrażliwości władz III RP na zgłaszane od lat postulaty środowiska Kresowian. Z niepokojem obserwujemy rozwój sytuacji i kierunki przemian politycznych zachodzące na Ukrainie. Nie ukrywam, że ważnym impulsem, który doprowadził do powołania Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatanckich była postawa najwyższych władz III RP i władz Warszawy wobec postulatów, zgłaszanych przez środowisko Kresowian w latach 2013 - 2014.

Aby zrozumieć istotę problemu przybliżę fakty. Nadzieje środowiska Kresowian na skuteczne podjęcie działań prawnych ożyły z dniem narodzin III RP. Silnym impulsem była tu inicjatywa podjęta w sierpniu 1996 r. przez 95 członków Parlamentu ukraińskiego, którzy wystosowali apel do rządów Polski, Białorusi, Rosji, Słowacji, Jugosławii i Izraela, o potępienie OUN – UPA oraz powołanie międzynarodowej komisji do ustalenia skali faszystowskiego charakteru tych organizacji i faktu ich zbrodni ludobójstwa. Podobną inicjatywę parlamentarzysty ukraińscy podjęli ponownie w 2013 r. składając na ręce pani marszałek Sejmu RP stosowne przesłanie. Niestety, także tym razem satysfakcjonującej reakcji władz III RP nie odnotowano.

Wniesiony do Sejmu RP, w czerwcu 2013 r. z inicjatywy Kresowego Ruchu Patriotycznego projekt uchwały w sprawie ludobójstwa dokonanego na ludności polskiej Kresów Wschodnich w latach 1939 - 1947 został odrzucony. W 70 rocznicę apogeum ludobójstwa, dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na Kresach Wschodnich II RP, wbrew prawdzie historycznej i stanowisku historyków z IPN, którzy jednoznacznie określili tę zbrodnię, jako ludobójstwo, **polscy politycy w przyjętej uchwale nazwali zbrodnię wymordowania ok. 200 tys. Polaków na Kresach Wschodnich II RP, językowym potworkiem, nic nie znaczącym w prawie międzynarodowym określeniem „... czystka etniczna o znamionach ludobójstwa”**. Trudno w tym momencie oprzeć się wrażeniu, że okres transformacji ustrojowej wyraźnie sprzyja pojawianiu się coraz liczniejszej rzeszy polityków o „*znamionach polskości*”. **Sejm RP nie zdobył się nawet na ustanowienie dnia 11 lipca – wówczas w 1943 r. niedzieli będącej dniem apogeum zbrodni na Wołyniu - „Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich II RP dokonanego przez OUN-UPA w latach 1939-1947”**. Także władze Warszawy wpisały się w ten haniebny scenariusz działań nie wydając pozwolenia na wzniesienie w Warszawie symbolicznego Pomnika Pamięci Kresowian i utworzenie na warszawskich Powązkach Symbolicznej Mogiły zamordowanych Polaków na Kresach.

Prawda o Kresach Wschodnich II RP, o działalności nacjonalistów ukraińskich spod znaku OUN-UPA, w tym faktu ich kolaboracji z III Rzeszą, popełnienia zbrodni ludobójstwa na Polakach, Ukraińcach, Białorusinach, Żydach, Rosjanach, Węgrach, Słowakach, Ormianach i innych mniejszościach narodowych zamieszkujących Kresy Wschodnie II RP jest dzisiaj w III RP powszechnie skrywana. Nie ma publicznej debaty o zbrodni i jej sprawcach, nie mówi się o tych faktach na

lekcjach historii w szkołach. Ta ważna i wciąż bolesna dla Polaków kwestia jest przemilczana. Osoby próbujące upublicznić tą problematykę spotykają się z szykanami. W opinii wielu historyków, m. in. z Kanady, USA, Niemiec, Francji, Ukrainy, Rosji i Polski, powstała w 1926 r. i rozwijana później, **doktryna nacjonalizmu ukraińskiego, stworzona przez Dmytro Doncowa jest ideologią faszystowską, kierującą się darwinizmem społecznym. To odmiana panującego wówczas w Europie włoskiego faszyzmu Benito Mussoliniego, wyraźnie wpisująca się w nurt niemieckiego nazizmu Adolfa Hitlera.** Innymi słowy określa to trafnie Encyklopedia Ukrainoznawstwa (Paryż - Nowy Jork 1955 i nast., s.1724): *„Nacjonalizm ukraiński podchodzi pod pojęcie ruchu totalitarnego, głosi tezę o nacji ukraińskiej, jako wiecznej kategorii, nacji mają być podporządkowane interesy poszczególnych ludzi, członków nacji”*.

Strategiczny cel nacjonalizmu ukraińskiego został sformułowany na I Kongresie OUN w Wiedniu 1929 r. i sprowadzał się on do programu zbudowania państwa ukraińskiego na wszystkich, w sposób arbitralny przez OUN ustalonych ukraińskich terytoriach etnograficznych. Zbudowanie państwa ukraińskiego miało odbywać się drogą usunięcia wszystkich „okupantów” z ziem ukraińskich. W dokumencie czytamy: *„Tylko całkowite usunięcie wszystkich okupantów z ziemi ukraińskiej stworzy możliwość rozwoju państwowego Nacji Ukraińskiej”*, i dalej: *„Całkowite usunięcie wszystkich zajmanców (innych narodowości) z ziem ukraińskich... nastąpi w toku rewolucji narodowej, ... stworzy możliwość rozwoju Nacji Ukraińskiej w granicach własnego państwa”*. **Od tego strategicznego celu żadna z frakcji czy transformacji OUN po dzień dzisiejszy nie odstąpiła. Nie potępiono antyhumanitarnej ideologii nacjonalizmu ukraińskiego, nie potępiono także zbrodniczej kolaboracji z III Rzeszą niemiecką, popełnionego ludobójstwa, nigdy nie odseparowano się od zbrodniczej przeszłości.** Wprost przeciwnie – wszystkie istniejące frakcje OUN nadal gloryfikują tę ideę, gloryfikują także organizatorów zbrodni, przez co w dalszym ciągu identyfikują się z nimi.

Cel strategiczny OUN stoi w jaskrawej sprzeczności z postanowieniami Karty Narodów Zjednoczonych, szczególnie z jej art. 1, jest zaprzeczeniem Aktu Końcowego Konferencji Helsińskiej z 1975 r. i podpisanych dwustronnie przez Ukrainę umów o nienaruszalności istniejących granic państwowych. W tym kontekście chciało by się zapytać, czy jest możliwym, aby dzisiaj w Niemczech, czy jakimkolwiek innym państwie europejskim, wznoszono pomniki Adolfa Hitlera czy innych przywódców III Rzeszy, czy jest możliwe aby na ulicach miast europejskich, organizowano marsze, ku czci Adolfa Hitlera i takich organizacji, jak Gestapo czy inne formacje SS? Chyba dopiero takie postawienie sprawy, wskazuje jasno z czym mamy tu do czynienia, a takie zdarzenia mają dzisiaj miejsce na Ukrainie i o zgrozo w Polsce, przy całkowitym przyzwoleniu władz. Na to nie ma naszej zgody.

Na Zebraniu Założycieli „*Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatantkich*” uczestnicy wyrazili wolę wspólnego działania na rzecz zmiany polityki wschodniej państwa, także relacji władz wobec środowiska Kresowian w kraju i za wschodnią granicą oraz objawienia prawdy historycznej o zbrodniach dokonanych na Kresach Wschodnich II RP na ludności polskiej w latach 1939 – 1947. W uznaniu zasług i długoletniej aktywności na rzecz środowiska Kresowian pana pułkownika Jana Niewińskiego, ostatniego żyjącego dowódcę oddziałów samoobrony na Kresach Wschodnich II RP, weterana II wojny światowej, **jako wybrany prezes Zarządu Związku, postawiłem wniosek o uhonorowanie pana pułkownika Jana Niewińskiego tytułem „Honorowy Prezes Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatantkich”**. Zebrani, na stojąco, przez aklamację zaaprobowali

wniosek.

Przyjęto statut i wybrano władze Związku. Trwa proces rejestracji w Krajowym Rejestrze Sądowym w Warszawie. Do władz „*Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatanckich*” zostali wybrani: Witold Listowski, ze Stowarzyszenia Kresowian w Kędzierzynie – Koźlu, przyjmując funkcję prezesa Zarządu; wiceadmirał Marek Toczek, ze Stowarzyszenia „*Klub Inteligencji Polskiej*” w Warszawie, przyjmując funkcję wiceprezesa Zarządu; Prof. dr hab. Leszek Jazownik, ze Stowarzyszenia Kresowian w Kędzierzynie-Koźlu, przyjmując funkcję wiceprezesa Zarządu; Tadeusz Nowacki, ze Stowarzyszenia Kresowian w Dzierżonowie, przyjmując funkcję wiceprezesa Zarządu; dr Ryszard Ślęzak ze Stowarzyszenia „*Klub Inteligencji Polskiej*” w Warszawie, przyjmując funkcję sekretarza generalnego Zarządu; Mec. Dariusz Raczekiewicz ze Stowarzyszenia „*Porozumienie Orła Białego*” w Zakopanem, przyjmując funkcję skarbnika Zarządu; dr Krzysztof Lachowski, ze Stowarzyszenia „*Klub Inteligencji Polskiej*” w Warszawie, przyjmując funkcję członka Zarządu; Mec. Jarosław Świderek, ze Stowarzyszenia „*Upamiętnienia Polaków Pomordowanych na Wołyniu*” w Zamościu, przyjmując funkcję członka Zarządu. Na Zebraniu Założycieli Związku wybrano także skład Komisji Rewizyjnej Związku oraz Komisję Rejestracyjną Związku.

Decyzja o zamiarze utworzenia nowej, silnej organizacji skupiającej środowiska Kresowian, kombatantów i szeroko rozumiane organizacje patriotyczne ma na celu przede wszystkim zwiększenie potencjału oddziaływania. Liczne i słabe organizacje działające spontanicznie na dotychczasowym poziomie nie mają większych szans w zderzeniu z silnymi organizacjami mniejszościowymi wspieranymi przez swoje delegatury zagraniczne. Oczywiście sama zmiana organizacyjna środowiska nie zmieni radykalnie naszej dzisiejszej sytuacji. Potrzebne jest większe zaangażowanie i determinacja w działaniu. Do pracy trzeba zachęcić młodsze pokolenia, połączyć ogniwa w tym łańcuchu pokoleń. Dla każdego ogniwa trzeba określić przestrzeń satysfakcjonującej aktywności. Spraw jest dużo, ale i zapału do pracy nie brakuje. Oddźwięk na naszą inicjatywę w terenie jest już widoczny, nie ukrywam że na to liczyliśmy.

Nasze działanie to zdecydowana inicjatywa przeciwko odradzającemu się nacjonalizmowi banderowskiemu w Polsce, „sukcesom” polskiej polityki zagranicznej na wschodzie i bojkotowaniu przez władze III RP postulatów środowiska Kresowian. Nasze główne cele sprecyzowane na Zebraniu Założycielskim to doprowadzenie do: 1. Uznania zbrodni nacjonalistów ukraińskich z OUN - UPA dokonanej na ludności Kresów Wschodnich II RP w latach 1939 - 1947 za ludobójstwo; 2. Uznania 11 lipca – apogeum mordów na Wołyniu, za symboliczną datę „*Dnia Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich II RP dokonanego przez OUN – UPA w latach 1939 – 1947*”; 3. Wydania pozwolenia na postawienie w Warszawie „*Pomnika Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich II RP dokonanego przez OUN – UPA w latach 1939 – 1947*”; 4. Uzyskania pozwolenia na utworzenie na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie symbolicznego grobu zamordowanych Polaków, Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez OUN - UPA na Kresach Wschodnich II RP, w latach 1939 - 1947; 5. Utworzenia Instytutu Historycznego i Muzeum Kresów Wschodnich oraz Centralnej Biblioteki Kresów Wschodnich; 6. Wpisania jako stałej pozycji w kalendarzu przedsięwzięć Związku – organizację manifestacji Środowiska Kresowian w Warszawie – „*Marszu Pamięci Ofiar Ludobójstwa Polaków na Kresach Wschodnich II RP, dokonanego przez OUN – UPA w latach 1939 – 1947*”; 7. Uruchomienia programu pomocy dla Polaków, którzy pozostali za wschodnią granicą III RP; 8.

Uruchomienia programu repatriacji wszystkich, wyrażających taką wolę, polskich rodzin do Polski, bez żadnych warunków wstępnych; 9. Wypłaty odszkodowań dla Polaków za utracone mienie i rekompensatę za doznane krzywdy; 10. Wdrożenia systemowych rozwiązań wspierania młodzieży w ich edukacji, zdobywaniu miejsc pracy, własnej przedsiębiorczości, działalności społeczno – politycznej, a także pielęgnowania kultury i tradycji Kresów. Warszawa, dn. 04. 10. 2014 r. Witold Listowski Prezes „P.Z.O.K.i K.

Powyższa relacja pana Witolda Listowskiego z odbytego zjazdu założycielskiego w Warszawie i z powołania do życia, nowej i w jakimś sensie centralnej organizacji Kresowian jest dość czytelna i jasna. Nic dodać, nic ująć! Zatem pozostaje mieć nadzieję, że wspólnymi siłami, organizacjom Kresowian w Polsce, uda się raz jeszcze uchwycić „wiatr w żagle” i zrealizować, te wszystkie szczytne i b. potrzebne naszej ojczyźnie zamierzenia.

DODATKI I UZUPEŁNIENIA

[1] Wspomnienia Petroneli Władysław z d. Rusiecka ze wsi Swojczów w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1945, Sławomir Tomasz Roch, 30 grudzień 2011 r., Glasgow, s. 68.

[2] Wspomnienia Antoniego Sienkiewicza z kolonii Piński Most w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 21 listopad 2003 r., Moroczyn, s. 17.

[3] Wspomnienia Ludwika Podskarbi z d. Szewczuk z kolonii Mohylno w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 19 lipiec 2009 r., Glasgow, s. 29.

[4] Wspomnienia Kazimiery Kowalczyk z d. Czerwieniec z kolonii Karczunek Wołyński w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1940 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 13 maja 2003 r., Zamość, s.11.

[5] Wspomnienia Jadwigi Grusiewicz z d. Rusiecka z kolonii Czesnówka w pow. Horochów na Wołyniu 1935 – 1945, Sławomir Tomasz Roch, 29 sierpień 2012 r., Glasgow, s. 8.

[6] Wspomnienia Heleny Wójtowicz z d. Karbowski z Osady Budki Kohyleńskie w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 12 czerwiec 2011 r., Glasgow, s. 26.

[7] Wspomnienia Kazimierza i Antoniny Sidorowicz z d. Turowska ze wsi Dominopol w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1944 r., Sławomir Tomasz Roch, 01 maj 2003 r., Zamość, s. 22.

[8] Wspomnienia Janiny Topolanek z d. Rusiecka z kolonii Teresin w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1930 – 1945, Sławomir Tomasz Roch, 25 marzec 2011 r., Glasgow, s. 45.

[9] Wspomnienia Leokadii Pawłowicz z d. Gaczyńska z kolonii Mohylno w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1939 – 1945, Sławomir Tomasz Roch, 02 czerwiec 2012 r., Glasgow, s. 3.

[10] Wspomnienia Leokadii Michaluk z d. Południowska z kolonii Jesionówka w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 11 lipiec 2010 r., Glasgow, s. 17.

[11] Wspomnienia Zdzisława i Reginy Schab z d. Kaliniak z kolonii Władysławówka w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 14 wrzesień 2009 r., Glasgow, s. 20.

[12] Wspomnienia Czesława i Heleny Życzko z d. Furtak z kolonii Kisielówka w pow. Horochów na Wołyniu 1925 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 25 kwiecień

2010 r., Glasgow, s. 41.

[13] Wspomnienia Zdzisława Doleckiego ze wsi Swojczów w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1939 – 1947, Sławomir Tomasz Roch, 22 kwiecień 2013 r., Glasgow, s. 21.

[14] Wspomnienia Wiktorii Baumgart z d. Sobolewska z kolonii Teresin w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1938 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 15 kwiecień 2012 r., Glasgow, s. 16.

[15] Wspomnienia Wiesławy Danuty Nowackiej z d. Sadło z kolonii Bolesławówka w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu, Sławomir Tomasz Roch, 01 lipiec 2012 r., Glasgow, s. 7.

[16] Wspomnienia Czesława Albingier i Waclawy Roch z d. Albingier ze wsi Sierakówka w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1938 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 07 październik 2003 r., Zamość, s. 17.

[17] Wspomnienia Bolesława Sawa z kolonii Ludmiłpol w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1945, Sławomir Tomasz Roch, 08 września 2013 r., Glasgow, s. 18.

[18] Wspomnienia Romana Szymanek ze wsi Kohylno w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1939 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 29 wrzesień 2003 r., Siedliska, s. 14.

[19] Wspomnienia Jana Feliksa Jakubiak z kolonii Hirki, pow. Kowel na Wołyniu 1939 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 05 kwietnia 2011 r., Glasgow, s. 12.

[20] Wspomnienia Lucyny Schiesler z d. Różycka z kolonii Mikołajpol w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 20 luty 2014 r., Glasgow, s. 33.

[21] Wspomnienia Mariana Sikorskiego z kolonii Ułanówka w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1939 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 01 maj 2003 r., Kolonia Siedliska, s. 10.

[22] Wspomnienia Eugeniusza Świstowskiego z kolonii Teresin w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 12 czerwiec 2010 r., Glasgow, s. 21.

[23] Wspomnienia Marii Roch z d. Tymoczko z kolonii Ludmiłpol w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1935 – 1944, Sławomir Tomasz Roch, 03 maja 2003 r., Zamość, s. 10.

Wspomnienia Czesławy Roch z d. Rusiecka z kolonii Teresin w pow. Włodzimierz Wołyński na Wołyniu 1940 – 1946, Sławomir Tomasz Roch, 31 maj 2010 r., Glasgow, s. 8.

ZIARNKO DO ZIARNKA I ZBIERZE SIĘ MIARKA

Na koniec ze swojej strony nie mam słów podziękowania, jako wnuk Bolesława Roch za wszystko, co w swoim życiu wymodlili i wypracowali, Tych dwoje wspaniałych ludzi, małżonków i rodziców: Roman i Adela Roch z d. Rusiecka. Na zawsze pozostaną w naszej pamięci, za ich nietuzinkowe świadectwo życia oraz żywe przywiązanie do rodzinnych tradycji oraz związków pamięci. Można by pisać i pisać, ale i tak byłoby mało. Poczesa fakt dyktowany nadzieją, ale nie tylko, że to nie koniec, ale początek naszej drogi, ku wspanialszej, autentycznej wieczności, okraszanej pięknym i męznym życiem, już tu na ziemi.

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanymi mi jeszcze faktów, nadsyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie

zamieszczam w książce. I tak z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Swojczowie.

Powyższe wspomnienia pani Adeli Roch z d. Rusiecka, zostały opracowane na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego krzyża katolickiego na swojej, często zapomnianej, już dziś mogile.

Mgr historii
Sławomir Tomasz Roch